

Każdej niedzieli

PETER PEZZELLI

ROZDZIAŁ pierwszy

Usiądźcie, pogadamy. Rozluźnijcie się. Mam zamiar opowiedzieć wam o paru sprawach, więc słuchajcie uważnie. Kto wie, może się czegoś nauczyć. Mówi się, że Bóg ma jakiś wielki plan, dzięki któremu na świecie panuje porządek. Nikt nie śmie tego kwestionować, a już na pewno nie na głos, ale wy w to nie wierzcie. Tak między nami, czasem po prostu nie sposób się nie zastanawiać, czy przypadkiem ten tam na górze nie improwizuje. Rozumiecie, o co mi chodzi, prawda? Bóg jest jak jeden z tych ulicznych artystów, którzy usiłują żonglować mnóstwem talerzy nad głową. Nieustannie dorzuca następny, ale niektóre z nich spadają i się tłuką, choćby nie wiem jak się koncentrował. No więc Bóg próbuje inaczej - w ogóle o tym nie myśleć, tylko płynąć z prądem. Niekoniecznie jest wtedy lepiej, ale przynajmniej nie jest gorzej - tłucze się mniej więcej tyle samo talerzy. Koniec końców, trudno wykombinować, co Bóg sobie wymyślił, bo niewiele o tym mówi, ale ja tak właśnie to widzę. Bo niby jak inaczej wytłumaczyć życie i to niekończące się szaleństwo, na które się narażamy? Trzeba się starać i mieć nadzieję, że na samym końcu wszystko się ułoży. Przecież nikt nie obiecywał, że będzie łatwo, prawda?

No więc tak - śni mi się koszmar, ale jakiś bez sensu, o dinozaurze. Wiecie, o jaki sen mi chodzi: taki, po którym aż ciarki chodzą po plecach i człowiek czuje się jak wyżęta ścierka. Sen jest brutalny, a dinozaur to kawał drania i do tego warczy. Kroczy za mną przez całe miasto, zrywając druty telefoniczne, depcząc samochody i autobusy na swojej drodze, i chce dopaść właśnie mnie.

Biegnę chodnikiem tuż przed nim i nagle ludzie w wejściach do sklepów i biur zaczynają do mnie krzyczeć. To przyjaciele, krewni i ci, z którymi przez lata robiłem interesy. Część z nich od dawna nie żyje, innych wieki całe nie

widziałem, a teraz wszyscy wrzeszczą: „Hej, Nicky, frajerze! Schowaj się tutaj, będziesz bezpieczny!”. Zanim jednak zdołam się ruszyć, bestia wypada zza rogu, pochyla się nade mną i wiem, że już po mnie. Mój los jest przypieczętowany.

Uciekam dalej, stuprocentowo pewny, że lada chwila zostanę pożarty żywcem. Ostatnie, co pamiętam, to uczucie, że moje płuca i nogi płoną, całkiem jakby ktoś posypał je czerwonym pieprzem. Ledwo się poruszam, więc dinozaur szybko mnie dogania, a w chwili gdy czuję jego gorący, wilgotny oddech na karku i uświadamiam sobie z przerażeniem, że zbliża się koniec mojego nędznego życia, nagle się budzę, otwieram oczy i rozglądam się po pokoju.

Ani śladu dinozaura, tylko żona i córki nachylają się nade mną.

- Azzo, co to ma być, konkurs, kto się będzie najdłużej gapił? - burczę. - Jeszcze nie umarłem.

W tej samej chwili wszystkie cztery wybuchają płaczem, na co wpada pielęgniarzka i prowadzi moją żonę na krzesło. Dziewczyny dalej zalewają się łzami. Teresa wygląda okropnie, nawet gorzej, niż ja się czuję. Ma przekrwione i podpuchnięte oczy, włosy w strąkach. Wzdycham i znów zamykam oczy. Przez to bezustanne zawodzenie mam agita i zaczynam się zastanawiać, dlaczego na przykład nie przejechał mnie autobus, przynajmniej byłoby już po wszystkim. I gdzie jest ksiądz, do cholery? Kiedy to się wreszcie skończy?

Musicie wiedzieć, że wszystko zaczęło się trzy dni temu, kiedy chirurg mnie otworzył, rzucił okiem na moje żałosne wnętrzności i oświadczył, że nawet nie ma co próbować - to kwestia dni.

Jakbym sam nie wiedział. Już parę tygodni temu zrozumiałem, że moje dni są policzone, to się daje wyczuć. Robiłem jednak, co mi kazano, poddałem się niezliczonym

badaniom i konsultacjom, byle wszystkich zadowolić, bo inaczej doprowadziliby mnie do szaleństwa. I tak wiedziałem, że to strata czasu. Takie rzeczy ciągle się zdarzają, przecież nie można żyć wiecznie, zresztą kto by tego chciał? Przeżyłem swoje, widziałem, jak dzieciaki dorastają, jak moje córki wychodzą za mąż i same rodzą dzieci. Nie mam pretensji do nikogo.

Ten sen z dinozaurem nie daje mi spokoju. Co to niby miało być, do cholery? Samo myślenie o tym wyprowadza mnie z równowagi. Można by się spodziewać, że na łożu śmierci dostanę w prezencie od Boga sen o Raquel Welch albo o Ginie Lollobrigidzie, albo o innej kobiecie, wszystko jedno której... A tak wystraszyła mnie na śmierć jakaś Godzilla.

Co mnie tak przeraziło? Szczerze mówiąc, nie był to strach przed śmiercią, nigdy nie zawracałem sobie głowy zamartwianiem się tym, na co nie mam absolutnie żadnego wpływu. Więc może to coś głębszego? Nagle wszystko staje się jasne, niczym promień słońca przedzierający się przez chmury - mój syn. Otwieram oczy i rozglądam się po pokoju.

- Gdzie Johnny?

- Na dole, tatku - mówi moja córka Nina. - Poszedł na fajkę.

- Zawołajcie go - żądam. - Musimy pogadać.

ROZDZIAŁ drugi

Pozwólcie, że przedstawię wam Johnny'ego. W tej chwili biedny dzieciak jest w rozsypce. Wiem to, bo pali papierosa, co robi tylko wtedy, kiedy naprawdę mocno się zdenerwuje. Palenie go uspokaja. Myśli sobie, że tatko może umrzeć? Co będzie z rodziną i jak zdoła samodzielnie prowadzić sklep? Gasi niedopałek i wypuszcza ostatni kłęb dymu, pewien, że nadciąga wielka katastrofa.

Johnny, najmłodszy z czworga moich dzieci, to długo wyczekiwany dziedzic po trzech dziewczynkach. Nigdy nie przejmowałem się tym, że jest moim pupilem, w końcu to mój jedyny syn. Ojcowie kochają córki do nieprzytomności, ale między ojcem a synem tworzy się specjalna więź. Pamiętam, jak żartowałem na ten temat z klientami w sklepie, kiedy Johnny, który właśnie uczył się chodzić, dreptał dookoła i zrzucał wszystko z półek, a ja tylko ze śmiechem klepałem go po główce. Był moją przyszłością. Zawsze uważałem, że gdy umrę, interes musi poprowadzić mężczyzna.

Oczywiście, nikt nas nie uprzedził, że tak szybko będę się związał z tego świata. Johnny zaczyna myśleć o siostrach i dobrze wie, że żadna specjalnie mu się nie przyda w sklepie. Wszystkie trzy są zamężne i dzieciate, to znaczy poza Giną, która, jak Bóg da, też niedługo urodzi. Ich mężowie mają swoją pracę, więc i na nich nie będzie mógł liczyć, a zresztą i tak by się do nich nie zwrócił. Bardzo lubiłem zięciów, ale powtarzałem Johnny'emu, żeby nie ufał im na sto procent, w końcu to nie jego krew. Oczywiście, nawet swoich nie zawsze można być pewnym, dlatego chyba najlepiej z zasady nikomu nie ufać.

Jak widzicie, Johnny Catini od dnia narodzin był skazany na to, że przejmie sklep, to znaczy jeśli znajdzie na to czas między grą w bilard i uganianiem się za spódniczkami. Właśnie przechodził ten etap w życiu, kiedy uważa się, że nie

liczy się nic poza imprezami i seksem. Niektórym to mija wcześniej, innym później, jeszcze inni pozostają tacy na zawsze. Teraz już wiecie, dlaczego Johnny pali papierosa. Myśli sobie, że jeszcze nie jest na to gotowy.

Johnny wzdycha i opiera się o ścianę, obserwując ludzi, którzy wchodzą do szpitala i z niego wychodzą. To jeden z tych dziwnych dni pod koniec sierpnia, kiedy staje się jasne, że lato przeszło do historii i nadciąga jesień. Jest wilgotno i chłodno, ciemne chmury pędzące po niebie wydają się poskręcane i powyginane jak bochen sycylijskiego chleba, a do tego mży. Lekko drżąc, Johnny wsadza ręce do kieszeni.

Ma teraz twardy orzech do zgryzienia. Robiłem, co mogłem, żeby ułatwić mu życie, zwłaszcza kiedy wpadał w tarapaty. Przyznaję - miałem paru kumpli w kolegium do spraw wykroczeń drogowych w mieście, którzy zajęli się jego mandatami za przekraczanie prędkości. Gdyby nie oni, zabuliłby majątek za ubezpieczenie auta. Byłem też w dobrych stosunkach z większością miejskiej policji, więc łagodziłem sytuację, kiedy Johnny albo jego kumple za bardzo narozrabiali w barach. Chodzi mi o zwykłe sprawy, nic poważnego, w końcu zawsze był z niego dobry dzieciak.

Teraz jednak nadszedł czas, żeby zaczął się zachowywać jak mężczyzna. Fatalnie, że nie zna nikogo poza tą bandą kmiotów, z którymi lubi się szwendać. Są świetni we wciąganiu go w kłopoty, ale gorsi w wyciąganiu go z nich. Nie jak jego staruszek, który zdaniem Johnny'ego zna chyba wszystkich w stanie Rhode Island. Ale w końcu Rhode Island jest całkiem małe. Jeśli człowiek długo tu mieszka i bacznie się rozgląda, szybko się orientuje, kto jest kim i co może dla niego zrobić - i na odwrót, rzecz jasna.

- Johnny! - woła ktoś za nim.

To jego siostra Gina, macha, żeby wszedł do środka.

- Azzo - mamrocze Johnny.

Odrywa się od muru i powłócząc nogami, wchodzi do budynku. Gina chwyta go za ramię i prowadzi do windy.

- Co tam robiłeś, bez nas? - pyta szorstko.

- Chciałem być sam przez parę minut, żeby pomyśleć. Co, teraz to zbrodnia?

- Nie - odpowiada Gina łagodniej. - Wszystkim nam przydałoby się trochę spokoju. Ostatnio można zwariować, prawda?

- Uff - wzdycha Johnny. - Co się tam teraz dzieje?

- Tato chce cię zobaczyć. - Jej oczy wilgotnieją. - To już chyba długo nie potrwa.

ROZDZIAŁ trzeci

Wszyscy - ciotki, wujowie, kuzyni, przyjaciele, krewni i życzliwi znajomi - kręcą się pod moim szpitalnym pokojem, kiedy tych dwoje idzie tu korytarzem. Tłumek odwraca się i patrzy na Johnny'ego.

- Gdzieś ty był? - krzyczy jego matka. Johnny ma taką minę, jakby chciał powiedzieć:

„Znowu to samo”.

- Wszedłem na dymka - wyjaśnia.

- Matko boska! - wybucha Teresa. - Twój ojciec umiera na raka, a ty palisz papierosy!

Ma trochę racji, ale sytuacja jest napięta, trzeba dzieciakowi odpuścić.

- Mamo, daj spokój - Johnny przewraca oczami. Błąd, duży błąd.

- Ja ci dam spokój! - wrzeszczy Teresa. - W łeb ci dam, taki jesteś głupi! - Odwraca się do innych. - Tępy jak jego ojciec.

Teresa to prawdziwe tornado, kiedy się zezłości, więc Johnny dobrze wie, że nie ma co z nią zadzierać. Odwraca się i podchodzi pod drzwi mojego pokoju, przed którymi na straży stoi wuj Victor.

- Co tam, wujku Vic? - pyta Johnny. - Dlaczego wszyscy się tu pętają?

Victor kładzie palec na ustach.

- Ciii - szepcze. - Właśnie wszedł ksiądz. To sygnał dla mnie.

- Hej, Johnny, to ty? - wołam. Johnny wtyka głowę przez drzwi.

- Tak, to ja, tatku.

- Wejdz - nakazuję mu.

Ksiądz właśnie przygotowuje się do ostatniego namaszczenia, uśmiecha się do Johnny'ego z sympatią i wraca

do swojej roboty, na stoliku przy łóżku kładzie strój liturgiczny, modlitewnik i buteleczkę święconej wody.

- Johnny, to ojciec Giuliano - przedstawiam go. - Znałbyś go, gdybyś choć raz pokazał się na niedzielnej mszy.

Johnny pokasłuje nerwowo i podaje księdzu dłoń.

- Witam, ojcze - mówi. - Dziękuję, że ksiądz przyszedł.

Ojciec Giuliano kiwa głową i odwraca się do mnie.

- Pomyślałem, że może zechcesz przystąpić do spowiedzi, Nicolasio - oznajmia tym poważnym księżowskim tonem. - Zakładam, że potrzebujesz prywatności.

- Tak, co racja, to racja, ojcze - przytakuję. - Poczekaliby ksiądz na zewnątrz, kiedy będę rozmawiał z synem?

Nim zdumiony ksiądz zdąży odpowiedzieć, Johnny już łapie go za ramię i prowadzi do drzwi.

- Tylko niech ksiądz nigdzie nie odchodzi - oświadcza. - To nie potrwa długo.

Z tymi słowami wypycha ojca Giuliano na korytarz. Biedaczek nie ma pojęcia, co o tym myśleć, więc rozgląda się bezradnie po innych tam zebranych i wzrusza ramionami.

Johnny zamyka drzwi i siada na brzegu łóżka. Patrzy mi prosto w oczy. Dziwne, ale właśnie w tym momencie przypomina mi się, jak był mały, miał pięć czy sześć lat, i każdego ranka przychodził o świcie do sypialni, siadał na brzegu mojego łóżka i gapił się na mnie tymi wielkimi oczami, próbując mnie wyciągnąć, żebym się z nim pobawił, zrobił śniadanie czy coś. Nagle dopada mnie paskudne poczucie winy, bo myślę o tych wszystkich porankach, kiedy przewracałem się na drugi bok i nakrywałem głowę kołdrą, chociaż należało wstać i spędzić trochę czasu z synkiem. No ale cóż, co było, to było, i nie ma sensu o tym myśleć, prawda?

- O co chodzi, tatku? - pyta Johnny.

Już mam się odezwać, kiedy dopada mnie atak kaszlu. Jest potworny, skręca moje ciało w konwulsjach. Samo patrzenie na mnie sprawia, że Johnny się krzywi, ale na szczęście atak nie trwa długo.

- O co chodzi? - udaje mi się w końcu wyrzeźzić. - Może na początek o to, że lada chwila kopnę w kalendarz.

- Tatu, dlaczego mówisz takie rzeczy?

- Dlaczego? Bo to prawda.

- Możesz być pewny, że to wiem, ale po co się tak z tym obnosisz? - obrusza się Johnny. - Co takiego musisz mi powiedzieć na osobności?

Jedno trzeba mu przyznać, nie owija w bawełnę. Siadam i spoglądam na drzwi.

- Na pewno są zamknięte?

- Tak.

- Ech, zresztą co za różnica - wzdycham i opadam na poduszkę. - I tak pewnie przykleili uszy do drzwi.

Johnny'emu zaczyna brakować cierpliwości.

- Tatu, powiesz mi wreszcie, o co chodzi, czy nie?

- W porządku, siadaj. - wskazuję mu krzesło obok łóżka. - To, co zaraz powiem, jest bardzo ważne.

Przez chwilę przyglądam mu się w milczeniu i zaczynam pocierać brodę - to taki mój stary nawyk, który w nerwowych chwilach pomaga mi dobrać odpowiednie słowa. Dziwnie to brzmi, ale się sprawdza. W końcu oddycham głęboko i dochodzę do wniosku, że pora działać.

- A co tam, do cholery - zaczynam. - I tak mam umrzeć, więc czym tu się przejmować?

- Ty mi to powiedz - proponuje mój syn.

- Dobrze, już mówię. Przychodzi chwila, w której ojciec musi porozmawiać z synem jak z mężczyzną, nauczyć go, co w życiu jest ważne, zapytać...

Johnny unosi rękę.

- Chwileczkę, tatku - przerywa mi. - Chyba odbyliśmy tę rozmowę jakieś piętnaście lat temu, kiedy skończyłem trzynaście lat.

Nie wiem, co jest z tym dzieciakiem, ale czasem mam ochotę trzepnąć go w łepetynę. Dwie sekundy, a już mnie wkurzył.

- To co innego! - wrzeszczę. - Może się uspokoisz i dla odmiany raz posłuchasz?

- Dobra, dobra. - Johnny przewraca oczami. - Miejmy to już z głowy.

- Okej - zaczynam znowu. - Ułatwię nam to. Zanim zejdziesz z tego świata, chcę cię poprosić o dwie rzeczy.

- Przestań tak mówić!

Teraz moja kolej na przewracanie oczami.

- Posłuchaj, pierwsza rzecz jest prosta. Chcę, żebyś znalazł sobie kogoś, jakąś dobrą kobietę, i się ustatkował.

Widzę, że Johnny czuje się nieswojo.

- Mówię poważnie - ciągnę. - Nie możesz wiecznie uganiać się za jedną czy drugą małą putanna, jak to masz w zwyczaju.

- Hej, to nie są żadne putanna.

- Wiesz, o co mi chodzi, a teraz przymknij się i słuchaj dalej. Pora, żebyś zaczął myśleć o małżeństwie, rodzinie i dzieciach. Jesteś moim jedynym synem, jedynym, który może przekazać nasze nazwisko. Jeśli będziesz zbyt długo czekał, nikt cię nie zechce i nim się zorientujesz, będziesz samotnym staruszką i nasz ród wyginie jak te dinozaury, o których czytałeś.

Johnny patrzy na mnie.

- Jak to, wyginie?

Nic nie poradzę, walę dłonią w czoło.

- Wy - gi - nie, capodosso! - krzyczę. - Skoro już o tym mowa, może powinieneś wrócić do pierwszej klasy?

- Wygniesz, wygnasz, wyginiesz, kogo to obchodzi?
- Mnie. Rozmawiamy o twojej przyszłości.
- A ja myślałem, że o dinozaurach.

Nie da się ukryć, dzieciak bywa niemożliwie tępy.

- Johnny, Johnny, Johnny - wzdycham ze znużeniem. - Postaraj się przez sekundę mnie posłuchać. Chcę, żebyś był szczęśliwy, żebyś miał kogoś, kto o ciebie zadba. Chcę, żebyś spłodził dzieci, bo inaczej, koniec końców, z twojego życia nic nie wyniknie. Obiecuj mi tylko, że o tym wszystkim pomyślisz i że przynajmniej postarasz się ustatkować.

- Dobra, niech będzie. Pomyślę o tym.

- Świetnie. - Trochę mi ulżyło. Może przynajmniej uda mi się skłonić go do myślenia.

- O czym jeszcze chciałeś porozmawiać? Czuję, że żołądek zawiązał mi się w supeł. Kto wie, jak Johnny to przyjmie. Zerkam na drzwi i gestem daję mu do zrozumienia, żeby się przybliżył.

- Posłuchaj - niemal szepczę. - To, co ci teraz powiem, musi pozostać między nami. Masz zabrać to ze sobą do grobu, capisc'?

Johnny tylko wzrusza ramionami.

- Mówię ci to jak mężczyzna mężczyźnie. I poproszę cię o coś również jak mężczyzna mężczyźnę.

- Do rzeczy, tato - ponagla mnie Johnny. - Tracisz tyle czasu, że sam umrę ze starości, nim wreszcie powiesz, o co chodzi.

- Okej, do rzeczy. Wiesz, że zawsze kochałem twoją mamę, bez niej byłbym niczym. Nie mógłbym sobie wymarzyć lepszego życia.

- No i?

- No i coś się stało, parę lat temu.

- Co?

- Coś.

- O co ci chodzi, tatku? Wyduś to wreszcie!

- Była inna kobieta - wyrzucam z siebie w końcu. Sami rozumiecie, nie mogłem przewidzieć, jak zareaguje na to Johnny. Nie jest tak, jak bym chciał, bo tylko wpatruje się we mnie, a jego oczy robią się coraz większe. Lekko przechyla głowę, może myśli, że się przesłyszał.

- Co takiego? - pyta.

- Kobieta.

Johnny zrywa się z krzesła i gapi się na mnie ze zdumieniem, kręcąc głową.

- Chcesz powiedzieć - zaczyna - że przez te wszystkie lata, kiedy mama cię karmiła, prała twoje ubrania i cerowała ci skarpetki, posuwałaś jakąś putanna?

- To nie jest żadna putanna! - krzyczę. - To miła kobieta!

- Putanna!

- Nawet jej nie znasz!

- I nie muszę! Wystarczy, że wiem, że jesteś żonaty, a każda kobieta, która sypia z żonatym facetem, to moim zdaniem putanna.

Johnny nie może ustać w miejscu, miota się po całym pokoju.

- Jak mogłeś wykręcić mamie taki numer? Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiła!

- Niby co mam ci powiedzieć? - mówię ze znużeniem. - Takie rzeczy się zdarzają, nikt ich nie planuje. Myślałem, że kto jak kto, ale ty mnie zrozumiesz.

- Tak, jasne, tatku. Jak długo to trwało?

Nerwowo przygryzam i skubię kącik ust. To inny mój nawyk, zawsze to robię, kiedy mam kłopoty.

- Sam nie wiem - odpowiadam. - Trzy lata, może trzy i pół.

- O, zesz! - Tylko tyle udaje mu się powiedzieć.

Przez dłuższą chwilę żaden z nas się nie odzywa, cisza niemal ogłusza. Zamykam oczy i chyba zapadam w drzemkę, bo nagle czuję, że Johnny z całych sił szarpie mnie za ramię.

- Co jest? - warczę.

- Jezu. - Johnny wzdycha z ulgą. - Przez moment myślałem, że... no wiesz...

- Tak, wiem, ale żyję. Chwilowo.

Johnny znowu siada i przeciera oczy. To wszystko nie mieści mu się w głowie, ma to wypisane na twarzy. Mogę go zrozumieć. Coś takiego potrafi wywrócić świat do góry nogami.

- Po co mi w ogóle o tym powiedziałaś?

- Bo chcę cię prosić, żebyś coś dla mnie zrobił - wyjaśniam. - To będzie ostatnia przysługa.

- Nie mam pojęcia, o co mnie poprosisz, ale już mi się to nie podoba.

- Tylko posłuchaj i spróbuj zrozumieć. Kocham twoją matkę, ale takie rzeczy są poza kontrolą, po prostu się przydarzają. To wina Boga, On tak wszystko ułożył, że poznałem tę kobietę, zaiskrzyło i już. Ale nie chcę, żebyś myślał, że to jakaś drobnostka, bo naprawdę zależy mi na tej osobie, a jej na mnie. Właśnie dlatego chcę, żebyś mi wyświadczył przysługę.

- A konkretnie?

Plecy dają mi się we znaki, więc moszczę się niespokojnie na łóżku i kładę głowę na poduszce.

- Oczywiście, przejmuję się tym, co się ze mną dzieje, jak wszyscy - zaczynam. - Problem w tym, że wszystko to stało się bardzo szybko, więc nie miałem okazji z nią porozmawiać i się pożegnać. Nie mogła przyjechać do szpitala, bo twoja matka i siostry tkwią tu dniem i nocą, no a kiedy umrę, pewnie będzie się bała zjawić na stypie. Nie miałem nawet kiedy do niej zadzwonić i teraz jest tak, jakbym nagle zniknął z jej

życia. Rozumiem, jak się czujesz, i wcale ci się nie dziwię, proszę tylko, żebyś na moment odłożył te uczucia na bok. Pomyśl o niej jak o ludzkiej istocie, która ma takie same wady jak ty. Chcę tylko, żebyś po mojej śmierci pojechał tam, zapukał do drzwi i sprawdził, czy wszystko u niej w porządku. Powiedz jej, jak bardzo mi przykro, że sprawy tak się potoczyły. Mówimy o pięciu minutach, Johnny, wejdiesz i wyjdiesz, i już. Gdybyś to dla mnie zrobił, przynajmniej mógłbym umrzeć spokojnie. Co ty na to? Johnny kręci głową.

- Sam nie wiem, tatku - wzdycha. - Nawet nie znam tej kobiety, głupio bym się czuł.

- Proszę - mówię błagalnie. - Musisz to dla mnie zrobić.

- Kto to w ogóle jest, czym się zajmuje?

- To nauczycielka, nazywa się Victoria Sanders. Mieszka w East Side, adres znajdziesz w książce telefonicznej.

- Ale... - zaczyna, jednak zanim zdąży cokolwiek dodać, znowu dopada mnie atak kaszlu i skręcam się w konwulsjach.

- Proszę, Johnny. - Wyciągam do niego rękę. - Przecież leżę na łożu śmierci! Powiedz, że to zrobisz. Nie zostało mi dużo czasu, a jesteś jedynym człowiekiem, któremu mogę zaufać.

- Dobrze, już dobrze - zgadza się w końcu. - Jeśli tak bardzo ci zależy, zajmę się tym, jak tylko uznam, że nadeszła pora.

Po tych słowach czuję, że się uspokajam.

- Świetnie. Dobry z ciebie syn, Johnny. Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć.

- Jasne, tatku. - Zmusza się do uśmiechu. - Zrobiłbym dla ciebie wszystko, przecież wiesz.

- Wiem.

- Jeszcze jedno. - Johnny pochyla się bliżej. - Czy była jedyna? Teraz to ja się waham.

- Nie - przyznaję w końcu. - Była jeszcze jedna, ale wcześniej i na tamtej mi tak nie zależało jak na tej. Zadowolony?

- Tak, chyba tak - odpowiada.

- Doskonale. A teraz przyprowadź ojca Giuliano.

Brwi Johnny'ego podjeżdżają pod samą linię włosów.

- Nie mów mi tylko, że chcesz się mu spowiadać.

- To długa historia. - Wzruszam ramionami.

- Wolę tego nie słyszeć.

ROZDZIAŁ czwarty

Spróbujcie sobie wyobrazić, że oglądacie w kinie naprawdę interesujący film. Tak was wciągnął, że zapominacie o bożym świecie, o sobie, o tym, kim jesteście, skąd pochodzicie, co robiliście i z kim. Główny bohater jest tak wiarygodny, że wydaje wam się, iż widzicie to, co on, czujecie to, co on, jego ból, radość, smutki. To, co dzieje się na ekranie, wydaje się niesamowicie prawdziwe i dajecie się całkowicie wciągnąć w ten udawany świat.

Takie są właśnie filmy, przynajmniej te dobre. Życie jednak wcale się tak bardzo od nich nie różni. Jest tak, jakbyście się znaleźli na wielkim ekranie, nieustannie robili szalone, cudowne rzeczy i, zupełnie zniecka, film się kończy, światła się zapalają, a wy uświadamiacie sobie, że tak naprawdę nigdy nie trafiliście na ekran, że przez cały czas siedzieliście tu, przed nim. Co więcej, wokół jest mnóstwo ludzi, którzy chwilę pooglądali wasz film, a potem ruszyli do kina obok zobaczyć, co tam grają. Na zewnątrz, we foyer, wszyscy rozmawiają o widzianych obrazach. „O co w tym chodzi?“, „Powiedz, kiedy robi się ciekawie“.

I tak oto wasz film dobiega końca. Wstajecie i ruszacie do wyjścia, bo chyba tak trzeba. Na chwilę jednak przystajecie, odwracacie się i patrzycie na ekran, jak ci ludzie, którzy lubią oglądać końcowe napisy. Uświadamiacie sobie, że tam nadal coś się dzieje, ale przez to światło, do którego zmierzacie, gorzej widać. Robicie więc parę kroków, siadacie blisko ekranu i przekonujecie się, że jeśli naprawdę mocno się skupicie, okaże się, że film nadal trwa - tyle że już bez was. Wszystko jeszcze dobrze pamiętacie i decydujecie się zostać, żeby sprawdzić, jak potoczą się sprawy. To trochę przypomina oglądanie sequela.

Tak właśnie jest tam, gdzie się teraz znalazłem. Jeśli tylko zechcę, mogę wiedzieć o wiele więcej niż kiedyś. Zerkam na

to, co się dzieje, niekiedy wracam do tego, co już się zdarzyło. Przyszłość jest trochę bardziej skomplikowana. Oczywiście, nie wolno mi interweniować, ale od czasu do czasu wtrącam swoje trzy grosze.

Przekonacie się, co mam na myśli.

ROZDZIAŁ piąty

Nie da się ukryć, że stypa jest wielkim sukcesem. Vito Bombarelli z uśmiechem satysfakcji wygląda przez okno gabinetu na rząd aut czekających na wjazd na parking obok domu pogrzebowego. Tego wieczoru Broadway jest zakorkowany w obu kierunkach, odkąd po południu otwarto drzwi do sali, w której leżą zwłoki. To jedna z tych wielkich styp, o jakich inni właściciele domów pogrzebowych mogą sobie tylko pomarzyć. Rodzina Bombarellich często takie urządza. O każdym, kto ma stypę w ich domu pogrzebowym, można powiedzieć, że był najważniejszy i najlepszy.

Bombarelli odwraca się od okna i przegląda w lustrze. Poprawia krawat i myśli o tym, jak wszyscy gapią się na Nicholasa Catiniego i podziwiają jego wygląd. Nikt by się nie domyślił, że to trup. Z Vita Bombarellego to dopiero jest cudotwórca!

Niepokoi go jedna rzecz, czyli kwiaty. Nie rozumie, dlaczego się uparłem, żeby nie było ich na stypie, jego zdaniem to rujnuje wygląd sali. Trumny powinno otaczać mnóstwo kwiecica, zwłaszcza jeśli zmarły był zamożny. W najgorszym wypadku kwiaty odrywają uwagę od zmarłego.

Miałem swoje powody, gdy poleciłem Teresie zrezygnować z kwiatów, i częściowo dlatego też zależało mi na stypie u Bombarellich. Inni przedsiębiorcy pogrzebowi mogliby naciskać na rodzinę, ale nie on. Znaliśmy się od dawna i choć nie łączyła nas przyjaźń, darzyliśmy się wzajemnym szacunkiem. Pod wieloma względami byliśmy do siebie podobni - zwykli mężczyźni, dumni z tego, co robią, i szczerzy. Obaj zajęliśmy się biznesem w tym samym czasie, przed wieloma laty, jako młodzi twardziele szukający swojego miejsca w społeczności. Możecie mi wierzyć, że trzeba mieć jaja, żeby wywiesić tabliczkę z własnym nazwiskiem na drzwiach własnego sklepu. Podziwiam każdego, kto to robi,

bo kiedy tak się stanie, twoje nazwisko zaczyna coś znaczyć, więc trzeba się z całych sił postarać, by znaczyło coś dobrego. Deklarujesz się i za wszelką cenę musisz dotrzymać zobowiązania. To może zająć całe lata, ale trzeba się zawziąć i przeć naprzód. Człowiek pomaga rodzinie, przyjaciołom i sąsiadom i jeśli ma szczęście, zasłuży sobie na ich cichy szacunek, wart więcej niż całe złoto w kopalniach króla Salomona.

Tak czy owak, Bombarelli zerka na moją rodzinę i widzi, że wszyscy całkiem nieźle się trzymają. Odziane w czerń od stóp do głów, Teresa i moje córki siedzą u stóp trumny. Spełnią rolę płaczek, gdy wszyscy krewni i znajomi będą podchodzili z kondolencjami. Jeden jedyny Johnny stoi podczas tych rytuałów, posłusznie ściska dłonie gości i dziękuje ludziom za przyjście. Jeśli mu się dobrze przyjrzeć, widać, że robi to niemal mechanicznie. Niezależnie od tego, co do niego mówią, uśmiecha się i mówi: „Dziękujemy za przyjście”. Gdyby ktoś go zapytał, czy ma ochotę skoczyć na pizzę z pepperoni, odpowiedziałby to samo.

Muszę jednak przyznać, że to bardzo udany spektakl. Nikt nie robi scen, nie mdleje z rozpaczy ani nie rzuca się na trumnę, nic dziwnego zresztą. Teresa ma serce ze złota, ale kręgosłup z hartowanej stali. Nie zniosłaby żadnych wybryków ani dzieci, ani nikogo innego.

Bombarelli, jak wszyscy pozostali, obserwuje Johnny'ego i zastanawia się, czy jest ulepiony z tej samej gliny co jego staruszek. Czy uda mu się zakasać rękawy i z miejsca wziąć się do roboty? Czy zdoła budować na fundamentach, które ja zostawiłem? Bombarelli myśli o własnych synach i zadaje sobie identyczne pytania. Dobrze wie, że życie to wielka niewiadoma, poza jednym pewnikiem. Patrzy na trumnę bez kwiatów, cmoka i dochodzi do wniosku, że skoro Catini tak chciał, to ma, zresztą z kwiatami czy bez rachunek będzie taki

sam. Wzdycha z satysfakcją i wychodzi pooglądać tłumy, które zachwycają się jego dziełem.

Ach, ci przedsiębiorcy pogrzebowi. Nie można ich nie kochać.

Johnny ledwie zauważa Bombarellego, jest zbyt zaskoczony niekończącą się kolejką ludzi napływających do sali. Ilu cholernych znajomych miał jego ojciec? Patrząc, jak mijają trumnę, nie może przestać myśleć o tym, że przyjaźniłem się chyba z połową Rhode Island, a z drugą byłem spokrewniony. Pełno tu ludzi, których nie widział od wieków. Na sali słychać rozmowy i śmiechy, bardziej przypomina to jakiś zjazd rodzinny niż stypę.

Johnny najbardziej cieszy się z obecności dziewczyn. Ma wrażenie, że zjawiała się tu każda laska, z którą kiedykolwiek się zadał, i na dodatek wszystkie nieźle prezentują się w czerni. Johnny zerka na drzwi, przez które wchodzi jeszcze jedna znajoma para nóg. Należą do Angeli Antonelli, jego dawnej ukochanej z sąsiedztwa. Dobrze znałem jej rodzinę, zwłaszcza ojca budowlańca, jednego z pierwszych klientów sklepu. To było tak dawno temu! Pamiętam, jak Teresa i ja odwiedziliśmy ich po narodzinach Angeli.

Naturalnie, Johnny nie widział Angeli od lat, a dokładnie odkąd dała mu w gębę po tym, jak nakryła go na zalotach do jej własnej siostry. To wszystko działo się dawno temu i teraz nie ma większego znaczenia.

Ubrana w krótką spódniczkę z czarnej skóry i obcisły sweterek, Angela wkracza na szpilkach, z fryzurą i pełnym makijażem. Klęczy przed trumną tyle, ile wypada, czyni znak krzyża i lekko klepie mnie po rękę. Kiedy wstaje, wzrok Johnny'ego wędruje z jej bluzki i spódniczki w dół, aż po buty. Zawsze go zdumiewało, że potrafi balansować na tych obcasach i nie fiknąć kozła. Musi przyznać, że Angela nadal dobrze wygląda, właściwie nawet cholernie dobrze.

Dziewczyna, z oczyma pełnymi wymuszonych łez, mija Johnny'ego i podchodzi prosto do jego matki.

- Angela! - wykrzykuje Teresa. - Jak miło, że przyszłaś.

Tak jakby mogło być inaczej. Z drugiej strony, Teresa zawsze darzyła Angelę wielką sympatią. Pewnie myślała, że to ta jedna jedyna, przy której Johnny wreszcie się usatkuje.

- Tak mi przykro, pani Catini - pochlipuje Angela.

- Wiem, kochanie - mówi Teresa dzielnie. - Ogromnie ci dziękuję. Tak dawno cię nie widzieliśmy.

- Wiem - odpowiada Angela. - Byłam po prostu bardzo zajęta, ale obiecuję, że niedługo wpadnę.

Rzuca Johnny'emu jedno z tych swoich spojrzeń z ukosa.

- Dobrze, dobrze. Wpadaj jak najczęściej. - Teresa trąca syna w bok. - Patrz, Johnny, Angela!

- Przecież widzę, mamó.

Nie zaszczyciwszy nawet jednym spojrzeniem jego sióstr, Angela odwraca się i zarzuca Johnny'emu ręce na szyję.

- Johnny, tak mi przykro z powodu twojego taty - szłocha, przywierając do niego całym ciałem.

Johnny chętnie na to pozwala. Podoba mu się zapach jej perfum i nacisk bioder pod skórzaną spódniczką. Angela odsuwa się lekko i patrzy mu prosto w oczy.

- Dasz sobie radę? - pyta.

- Tak, chyba tak, Ange - odpowiada Johnny. Z chwili na chwilę czuje się coraz lepiej. Możecie mi wierzyć, znam swojego syna.

Nie puszczając szyi Johnny'ego, Angela zaczyna przeczesywać palcami włosy na jego karku.

- Gdybym mogła coś zrobić... - Znowu tak na niego patrzy. - Nawet jeśli potrzebujesz tylko się wygadać, zawsze możesz do mnie zadzwonić.

Żeby było jasne - wiem, że Johnny jest smutny z mojego powodu, wiem też jednak, że teraz myśli o tym, że bez trudu

do tego przywyknie, jeśli na tym ma polegać żałoba. Pochyla się i szepcze do ucha Angeli:

- Może trochę później wyskoczylibyśmy razem na drinka? - proponuje. - Zadzwoń, kiedy tutaj skończymy, dobrze?

Angela wydaje się bardzo zadowolona. Uśmiecha się i całuje Johnny'ego w policzek.

- Będę czekała - zapewnia go.

Johnny obserwuje lekkie kołysanie się jej bioder, kiedy Angela idzie wzdłuż kolejki. Z radością myśli o czekających go wieczorem atrakcjach, kiedy nagle jego spojrzenie zatrzymuje się na Ginie, która patrzy na niego wilkiem, po czym wstaje i szybko podchodzi do niego.

- To stypa, nie nocny klub - cedzi.

- A już bym się pomylił - odcina się Johnny. Zanim Gina zdąży znowu na niego naskoczyć,

podchodzi do nich ktoś z kolejki do trumny. Twarz jest znajoma, jednak Johnny nie może dopasować do niej nazwiska. Pewnie to jakiś stary przyjaciel rodziny, a może dawno nie widziany krewniak. Mężczyzna przystaje przed Johnnym i mówi coś o tym, jak bardzo mu przykro. Myśli Johnny'ego znowu krążą wokół Angeli, więc tylko się uśmiecha i dziękuje za przyjście.

ROZDZIAŁ szósty

Następnego dnia ludzie zjawiają się wcześnie, żeby wziąć udział w pogrzebie. Z szarego nieba mży lekki deszcz. Goście wchodzą do domu pogrzebowego i wpisują się do księgi. Bombarelli kieruje całą tą ceremonią i oznajmia, w jakim porządku żałobnicy będą jechali autami, przypomina też wszystkim o włączeniu świateł. Zaplanował każdy szczegół co do sekundy. Po trzydziestu latach w tym biznesie świetnie wie, ile czasu trzeba, żeby orszak pogrzebowy dotarł z domu pogrzebowego do każdego kościoła w promieniu trzydziestu kilometrów. Karawan wyjeżdża z parkingu równiutko kwadrans po dziewiątej. Za nim rusza sznur samochodów, powoli przemierzając ulice na Federal Hill w kierunku katedry w centrum Providence.

Johnny wygląda przez okno limuzyny i uśmiecha się, kiedy mijają sklep żelazny Catiniego. Miły gest, myśli sobie, tatko byłby zachwycony. Faktycznie jestem.

- Patrzcie, przejeżdżamy obok sklepu - chlipie Teresa spod czarnej woalki. Trzy siostry Johnny'ego, które nie przestają zawodzić, odkąd w domu pogrzebowym zamknięto trumnę, wyglądają przez okno.

- Czy to nie piękne? - ciągnie. - Ach, ten Bombarelli, myśli o wszystkim.

- I powinien, w końcu płacimy mu kupę forsy

- zauważa Johnny.

- Forsa, forsa! Jesteś taki sam jak twój ojciec, ciągle tylko przejmujesz się wydatkami. Gdyby mniej się martwił o pieniądze, pewnie nigdy by nie zachorował.

- Mówię tylko, że facet nie jest tani.

- Przestań już, Johnny. - Gina lekko kopie go w goleń.

Johnny wznosi oczy ku niebu i wraca do wyglądania przez okno, podczas gdy jego matka i siostry znów zaczynają zawodzić.

Kiedy zjawiają się w katedrze, Bombarelli najpierw kieruje żałobników na ich miejsca, a potem osobiście prowadzi moją rodzinę do pierwszego rzędu. Przy akompaniamencie majestatycznych dźwięków katedralnych organów mężczyźni zdejmują trumnę z karawanu i zanoszą ją przed ołtarz.

Johnny przygląda się wysokim kolumnom i widowiskowym malowidłom na suficie. Wygląda to tak, jakby dach otwierał się wprost na niebo. Johnny rzadko chodzi na msze, ale kiedy jest w katedrze, zawsze brakuje mu słów. Ja miałem podobnie, za życia. Ileż to trzeba było wybulić na budowę czegoś takiego!

Johnny zerka przez ramię na Angelę siedzącą kilka rzędów dalej. Właśnie wschodziło słońce, gdy dzisiejszego ranka opuszczał jej mieszkanie. Ledwie zdążył do domu na przygotowania do pogrzebu. Kiedy ich spojrzenia się spotykają, Angela uśmiecha się do Johnny'ego niemal niezauważalnie, a potem wskazuje głową na ołtarz, żeby Johnny się skupił. To naprawdę porządna dziewczyna, umie się zachować w kościele.

Za to Johnny nie umie. Kiedy znowu się odwraca, zauważa kobietę, która wślizguje się do kościoła jednym z bocznych wejść. Szczerze mówiąc, zauważa tylko parę intrygujących nóg wystających spod ciemnego prochowca, twarz jest przysłonięta jedwabną chustką. Kobieta przemyka się do tylnej ławki. Z tej odległości Johnny nie jest w stanie się zorientować, czy ją zna. Wędruje za nią spojrzeniem, próbuje nie stracić jej z oczu, nie wykręcając sobie przy tym szyi. Ku jego rozczarowaniu, kobieta przykłęka i znika za morzem twarzy. Głos ojca Giuliano, który recytuje modlitwę, sprawia, że Johnny znowu skupia uwagę na ołtarzu. Gina opiera głowę na jego ramieniu, a on bierze ją za rękę i stara się słuchać.

Jest bardzo uroczyście. Msza pogrzebowa w katedrze niemało kosztuje, więc ojciec Giuliano robi wszystko, aby rodzina nie doszła do wniosku, że to zmarnowane pieniądze. Pozwala Marii i Ninie czytać fragmenty Pisma, a Gina prowadzi wszystkie modlitwy wiernych. Podczas kazania ojciec Giuliano mówi o mnie miłe rzeczy, przypomina moje lata służby dla społeczności, moje poczucie obowiązku i oddanie rodzinie, słowem, te wszystkie bzdety. Johnny stara się słuchać, ale już po chwili trudno mu walczyć z opadającymi powiekami.

Nim się obejrzy, już jest po mszy. Rodzina wstaje i idzie za ojcem Giuliano przez środek kościoła do wyjścia, podczas gdy reszta wiernych czeka w ciszy. Johnny'ego uderza myśl, że tak samo jest podczas ślubów: państwo młodzi też ostatni wchodzi i pierwsi wychodzą. Na tyłach kościoła rozgląda się, szukając kobiety w ciemnym prochowcu, ale nigdzie jej nie ma. Rzuca ostatnie szybkie spojrzenie wstecz, po czym wychodzi na świeże powietrze, gdzie poranna mżawka zdążyła przerodzić się w miarowy deszcz.

ROZDZIAŁ siódmy

Widzę, że Johnny jest szczęśliwy, kiedy wreszcie docierają na cmentarz. Dla niego to jak światełko na końcu tunelu. Nabożeństwo na miejscu pochówku nie powinno długo potrwać i wkrótce będzie można się stąd zbierać. Skuleni pod parasolami ludzie gromadzą się wokół grobu, podczas gdy ojciec Giuliano odczytuje parę modlitw i kropi trumnę wodą święconą, chociaż już jest cała mokra od deszczu. Johnny niezbyt uważnie słucha księdza. Wydaje mu się, że słyszy coś o jakichś kwitach, że niby odszedłem w kwiecie wieku czy jakoś tak, kiedy znowu widzi kobietę w ciemnym prochowcu. Chociaż stoi w pewnej odległości od reszty zgromadzonych, to jednak na tyle blisko Johnny'ego, żeby mógł podziwiać jej zgrabne nogi i smukłą sylwetkę pod płaszczem. Ku jego rozczarowaniu, kobieta trzyma parasol na takiej wysokości, że Johnny dostrzega wyłącznie zarys jej brody i fragment ust, ale nic poza tym.

Wreszcie ojciec Giuliano kończy gadką o tym, że z prochu powstaniesz i w proch się obrócisz, i można już iść w pokoju, ofiara spełniona. Ludzie przechodzą obok grobu, rzucają kwiaty na trumnę. Johnny wyciąga szyję, żeby patrzeć ponad nimi, w nadziei, że ściągnie na siebie uwagę kobiety i zdoła z nią potem porozmawiać, lecz ku jego rozczarowaniu, znowu zdażyła zniknąć. Kiedy ostatni z żałobników mija grób, Johnny wzdycha z niezadowoleniem i razem z matką i siostrami wlecze się do limuzyny.

Pogrzeby są nudne, ale ja zawsze lubiłem przyjęcia, które po nich następują, bo dzięki nim wszyscy wydają się odzyskiwać równowagę. Czasem jest nawet zabawnie, ale dla Johnny'ego ten pogrzeb to żadna przyjemność. W salonie dopada go wuj Victor i zaczyna pouczać, co ma zrobić z rodzinnym biznesem. Johnny udaje, że słucha z zainteresowaniem, ale i on, i ja dobrze wiemy, że wujek nie

ma pojęcia o prowadzeniu sklepu żelaznego. Dom jest pełen ludzi, którzy palą, jedzą i piją. Ciotki Johnny'ego gotowały przez bite dwa dni, żeby niczego nie zabrakło, i tak oto mamy na stole piękną pieczeń, plastry provolone, wędliny, dwie wielkie miski makaronu, warzywa, włoski chleb, bułeczki i dwa dzbany wina, a w kuchni parzy się duży dzbanek kawy. Na ladzie obok stoją filiżanki, dalej leżą dwa ciasta upieczone przez ciotkę Louise i taca z ciasteczkami.

- Musisz przez cały czas mieć towar na oku albo ludzie cię obrobiją - mówi Victor.

- Tak, co racja, to racja. - Johnny tłumaczy ziewnięcie.

Rozgląda się po pokoju w nadziei, że zobaczy kogoś, kto wybawi go z opresji. Gina śpieszy bratu na ratunek.

- Johnny, co ty wyprawiasz? - Bierze go pod rękę. - Jedzenie stygnie, no chodź, coś ci nałożę. Potem sobie porozmawiacie.

- Ma rację - przytakuje wujek. - Zjedz coś, Johnny, wyglądasz na głodnego.

Johnny bez protestów pozwala się zaprowadzić do stołu.

- Dzięki - mówi, kiedy ma pewność, że Victor nie usłyszy. - Uwielbiam gościa, ale czasem prawdziwy chiacchierone z niego.

- Tak właśnie myślałam, że chcesz odsapnąć.

Gina puszcza jego rękę i zaczyna nakładać jedzenie na talerz, a Johnny uśmiecha się do niej. Gina jest najmłodsza z jego trzech sióstr, od małego świetnie się z nią dogadywał. Kiedy patrzy, jak talerz się zapełnia, myśli o tym, że Gina zawsze się o niego troszczyła, pomagała mu, kiedy miał problemy, albo kryła go, kiedy wykręcał jeden ze swoich numerów. Tak jak wtedy, gdy miał dziewięć lat i dostał zero punktów ze sprawdzianu z arytmetyki. Martwił się nie tyle wynikiem, ile faktem, że nauczyciel kazał mu zanieść test do domu, do podpisania przez rodziców. Johnny wiedział, że

czeka go tradycyjna tyrada matki, więc zanim pokazał jej sprawdzian, poszedł do Giny. Wybuchnęła śmiechem, wyrwała mu sprawdzian z ręki i machnęła podpis matki. Opanowała tę sztukę niemal do perfekcji, co całkiem zdumiało Johnny'ego. Od tamtego czasu zawsze trzymali się razem. Oczywiście, dzieci zawsze uważają, że ich rodzice są głępsi niż w rzeczywistości, ale ja i Teresa od początku zdawaliśmy sobie ze wszystkiego sprawę, tyle że bawiło nas przyglądanie się tym wybrykom.

- Nie za dużo lasagne - mówi Johnny.

Gina odwraca się, wręcza mu talerz, po czym sięga po sztucę.

- Masz - mówi. - Bądź cicho i jedz.

- Nie bardzo mam ochotę.

- Dlaczego?

- Bo przez tych ludzi mam agita. Gina znowu bierze go za ramię.

- Chodź - mówi.

Prowadzi go przez mało zatłoczony hol, po czym siadają u stóp schodów.

Przez dłuższy czas siedzą w milczeniu. W kuchni Teresa rozmawia z ciocią Louise o kazaniu ojca Giuliano. Wujek Victor dopadł wujka Julia po drugiej stronie korytarza i razem omawiają korzyści z corocznego przenoszenia się na zimę na Florydę. W salonie nadal panuje harmider. W końcu Gina odwraca się do brata i szturcha go w żebra.

- Powiesz mi wreszcie czy nie? - pyta.

- Niby co? - bełkocze Johnny z ustami pełnymi jedzenia.

- To, co tatko wyznał ci w szpitalu i czego nie miał słyszeć nikt inny.

Johnny od razu się krztusi, chwytając serwetkę i zakrywa nią usta, żeby nie wypluć pepperoncini.

- A dlaczego chcesz to wiedzieć? - pyta, kiedy w końcu udaje mu się doprowadzić do porządku.

- Bo chcę, i tyle. Co to za wielki sekret?

- Nie ma wielkiego sekretu.

- To dlaczego się rumienisz?

- Wcale nie. - Johnny ociera czoło. - To przez te pepperoncini, są ostrzejsze, niż myślałem.

- Akurat - parska jego siostra. - No już, mnie możesz zaufać.

- To nie było nic ważnego - kłamie Johnny. - Tato chciał tylko wyjaśnić parę rzeczy w kwestii sklepu. Nic ciekawego.

- No to dlaczego mi nie powiesz?

- Właśnie ci tłumaczę, że nie ma o czym mówić. - Ja bym ci powiedziała - nie rezygnuje Gina. Johnny odstawia talerz i kładzie jej ręce na ramionach.

- Posłuchaj - zaczyna. - To była męska gadka, nic, co chciałabyś wiedzieć. Tato prosił, żebym się ustatkował, ożenił, miał dzieciaki i takie inne bzdety. Powiedziałbym ci, gdyby to było coś ważnego.

- Powiedziałbyś? - Jasne.

- Na pewno?

- Tak, na pewno!

Gina patrzy na niego sceptycznie.

- No dobra - wzdycha i wstaje. - Odpuszczam ci. Na razie.

- Rusza w kierunku kuchni. - Chcesz kawy? - rzuca przez ramię.

- Później.

- Okej, niedługo wrócę.

- Wiem.

Gina odchodzi i zostawia go samego na schodach. Johnny oddycha z ulgą i wraca do jedzenia lasagne.

ROZDZIAŁ ósmy

Minęło trochę czasu i leżę w ziemi już, niech policzę, trzy tygodnie? Tymczasem Teresa przesiaduje w domu dzień w dzień, nic nie robi i powoli zaczyna wariować. Wiem, jak to z nią jest. Marnowanie czasu nie leży w jej naturze, nawet jeśli wie, że powinna być w żałobie. Oczywiście tęskni za mną, ale zaczyna dochodzić do wniosku, że jeśli szybko się czymś nie zajmie, wkrótce do mnie dołączy, bo umrze z nudów. Pora znowu się na coś przydać. Dlatego od razu się zgadza, kiedy Johnny prosi, żeby na jakąś godzinę zastąpiła go w sklepie, bo on musi po południu załatwić kilka spraw. Dzięki temu Johnny trochę odpocznie, a ona wreszcie wyrwie się na chwilę z domu.

W sklepie Teresa natychmiast chwyta za miotłę i zaczyna przemierzać z nią kolejne alejki, a kiedy Johnny wychodzi, przystaje i się uśmiecha. Teresa wie, że Johnny'emu nie było łatwo przejąć pełną odpowiedzialność za prowadzenie sklepu żelaznego. To o wiele cięższa robota, niż myślał, ale dobrze, że w końcu zaczął się zachowywać jak dorosły mężczyzna, przynajmniej jeśli chodzi o rodzinny interes. Gdyby jeszcze udało się go przekonać, żeby się ustatkował i przestał uganiać za spódniczkami! Ale to nie jego wina, Johnny ma to we krwi.

W sklepie jest bardzo cicho. Dla mnie takie chwile były najgorsze. Kiedy czekasz na klientów, każda minuta zdaje się ciągnąć w nieskończoność. Człowiek stoi za ladą i gapi się na towar, na wszystkie te pieniądze, które tylko leżą na półkach i nic z tego nie wynika. Mija godzina i przychodzi strach, że lada chwila alejki zarosną kurzem. To naprawdę nie do zniesienia, możecie mi wierzyć.

Kobiety jednak mają więcej cierpliwości niż mężczyźni, więc Teresa się nie przejmuje. Zna branżę nie od dziś i wie, że po lunchu znowu będzie mnóstwo roboty, więc teraz cieszy się chwilowym spokojem, wspominając lata, które tu spędziła.

Każda alejka przywodzi inne wspomnienia. Ja też tak mam. Niby człowiek szybko się przekonuje, że nie zdoła porozumieć się z tymi, których zostawił, ale czasem po prostu trudno się powstrzymać. Postanawiam przejść się alejkami razem z nią.

Teraz przystaje przy dziale narzędzi i się uśmiecha.

- Pamiętasz tamten dzień? - pytam ją. - Ten, kiedy tak się wściekłaś, że cisnęłaś we mnie kluczem nastawnym, ale ja się uchyliłem, więc trafiłaś w piramidę puszek farby i się zawałiła? Teresa śmieje się cicho.

- Otóż to - mówię. - Pamiętasz tego biedaka w alejce po drugiej stronie, na którego pospadały puszki? - Ja też się śmieję. - Musiałem sprzedać mu towar za pół ceny, byleby tylko nas nie zaskarżył. Ale chichotaliśmy, kiedy wypadł ze sklepu!

Teresa idzie dalej i przystaje obok działu z oświetleniem.

- Też pamiętam ten dzień - odzywam się znowu, chociaż wiem, że mnie nie usłyszy. - To wtedy powiedziałaś mi, że znowu jesteś w ciąży, tym razem z Johnnym.

Rozgląda się wokół i raz jeszcze wzdycha. Każdy kąt, każda rzecz czy drobinka kurzu coś oznacza. Wszystko powraca, wszystkie wspomnienia, odkąd otworzyliśmy sklep. To było ponad trzydzieści lat temu, ale wydaje się, że zaledwie wczoraj. Czas mija tak szybko, że w ogóle się tego nie zauważa, dopóki pewnego dnia człowiek się nie zatrzyma i nie obejrzy za siebie. To bywa przerażające.

Nagle słychać mały dzwoneczek przywiązany do drzwi wejściowych i puf, wspomnienia rozplývają się w powietrzu. Teresa, wychylona zza półek, obserwuje wchodzącego klienta niczym leopard tropiący zwierzynę. Mruży oczy i przygląda się mężczyźnie, który idzie w stronę przenośnych pił elektrycznych. To stary zwyczaj, którego nabrała, żeby nie przegapić sklepowych złodziei. Zdziwilibyście się, ilu

popędziła przez te wszystkie lata. Najgorsi są przedsiębiorcy budowlani, okradają wszystkich. To tak do waszej wiadomości - nigdy nie zostawiajcie swoich narzędzi na budowie, bo dziewięć razy na dziesięć szybko trafią na inną budowę. Wiecie, o co mi chodzi, prawda?

Ten klient nie wygląda jednak na złodzieja. Jest schludnie ubrany, ma nieco pogniecione spodnie, flanelową koszulę i baseballową czapkę. Wydaje się godny zaufania, ale Teresa i tak wraca za ladę pilnować kasy, podczas gdy on się rozgląda. Teresa mierzy go wzrokiem i dochodzi do wniosku, że jest mniej więcej w moim wieku, może trochę starszy, ale w dobrej formie. Nigdy dotąd nie widziała go w sklepie, ale z drugiej strony w ostatnich latach rzadko tu przychodziła.

- Mogę panu jakoś pomóc? - woła do niego. Mężczyzna wychyla głowę zza alejki.

- Dziękuję, ale chyba dam radę sam znaleźć to, czego potrzebuję - odpowiada.

- Nie byłabym taka pewna. - Teresa jest teraz w nastroju na polowanie i wychodzi zza lady.

Trzydzieści lat w tym biznesie niejednego ją nauczyło. Zasada numer jeden brzmi: nigdy nie pozwalaj, by klient, zwłaszcza nowy, sam wybierał sprzęt, bo dziewięć razy na dziesięć wybierze źle i wróci, żeby oddać to, co kupił. Teresa świetnie wie, że mężczyźni nie cierpią, kiedy kobieta im mówi, jakie narzędzia mają kupić, bo rani to ich męską dumę. Ale to też jeden z powodów, dla których moja żona tak chętnie to robi.

- Pomogę panu - proponuje. - Czego pan szuka?

- Piły tarczowej - odpowiada klient. Teresa marszczy czoło.

- Co pan chce z nią robić? - pyta złowieszczo.

- Używał pan kiedyś takiej piły?

- No cóż... Nie, nie używałem - przyznaje mężczyzna.

- To dlaczego pan uważa, że sobie poradzi?
- Sam nie wiem. - Jego głos brzmi niepewnie.
- Pomyślałem tylko, że...
- Proszę posłuchać - przerywa mu Teresa. - Jeśli nie umie się pan posługiwać taką piłą, może pan sobie uciąć palec. Widziałam już takie wypadki. Te piły to nie zabawki.

Ma rację, rzecz jasna, sam widziałem rozmaitych facetów, którzy uważali, że wiedzą, jak się obsługuje taki sprzęt. Tacy jak oni nie słuchają, nieważne, ile razy człowiek usiłuje im pokazać, jak zachować zasady bezpieczeństwa. Wesoło ruszają do boju i miesiąc później przychodzą do sklepu bez szans na karierę pianisty.

Teresa krzyżuje ręce na piersi i postukuje stopą o podłogę. Złapała ofiarę na haczyk i łatwo nie puści.

- Do czego potrzebna panu piła? - pyta.
- Chciałem wybudować szopę na podwórzu.
- No to po co panu piła tarczowa?

Ku jej satysfakcji, facet kompletnie się pogubił. Wiem, jak się czuje, sam wiele razy byłem na jego miejscu.

- Chciałem po prostu przyciąć drewno - odpowiada.
- Co, cztery ścianki i dach? Do tego nie potrzeba panu piły tarczowej. Proszę za mną.

Idą na sam koniec sklepu, gdzie na ścianie wiszą piły ręczne. Teresa przygląda się im uważnie, a po chwili bierze w ręce solidny model, który pewnie ja też bym wybrał, i wręcza go klientowi.

- Proszę - mówi. - Niech pan użyje tego zamiast piły tarczowej. Ma dobre ostrze i dożywotnią gwarancję. A o tamtej proszę zapomnieć, tylko by się pan pokaleczył. - Dzwonek nad drzwiami znowu brzęczy, wchodzi dwaj klienci. - Proszę się przyjrzeć, a ja obsłużę tamtych panów - dodaje na odchodnym.

- Dziękuję - odpowiada mężczyzna, a ego, z którym tu wkroczył, rozsypuje się na kawałki.

Znienacka w sklepie robi się wielki ruch i Teresa jest w swoim żywiole, to ona kieruje widowiskiem. Klienci wchodzą i wychodzą, kasa i dzwonek brzęczą. Nawet teraz te dźwięki to muzyka dla moich uszu. Możecie mi wierzyć - kiedy człowiek widzi, jak towary dosłownie znikają z półek, jak przybywa gotówki i paragonów, czuje się, jakby jego drużyna wygrała mistrzostwo świata, tylko lepiej, bo to się może zdarzyć w każdym dniu tygodnia przez okrągły rok. To właśnie nazywam życiodajnymi sokami. A kiedy te soki krążą, życie jest dobre.

Dobra passa trwa przez godzinę albo i dłużej, a po Teresie nie widać najmniejszych oznak zmęczenia. Mimo to jest szczęśliwa, gdy dzwonek przy drzwiach odzywa się raz jeszcze i widzi, jak wchodzą Nina i Gina, a za nimi Tommy i Joanna - synek i córka Niny. Niewielka pomoc nie zaszkodzi, myśli sobie. Poza tym zawsze się cieszy na widok wnuków.

- Babunia! - krzyczą maluchy. Podbiegają do Teresy i obejmują jej nogi małymi rączkami.

- Ejże, przyszlście tu pracować czy się bawić? - żartobliwie fuka na nich Teresa.

- Bawić! - wrzeszczą radośnie.

- Bawić? - przywołuje ich do porządku babcia.

- Najpierw praca, potem zabawa. - Bierze ich za rączki, prowadzi za ladę i wręcza każdemu po miotle.

- Pozamiatajcie tam, z tyłu, rano wasz wujek narobił tu okropnego bałaganu.

Nie przestając chichotać, Tommy i Joanna natychmiast biorą się do pracy i wymachują miotłami jak hokeiści walczący o krążek. Teresa tylko kręci głową i śmieje się pod nosem. Przynajmniej chwilowo są zajęci.

- Nie tak głośno - zwraca im uwagę. - I uważajcie, żeby nie wpaść na nowy komputer dziadzia Nicka. Nawet nie raczył nauczyć się obsługi. To dopiero wyrzucanie pieniędzy!

Joanna przystaje na moment i patrzy na nią wielkimi brązowymi oczami.

- Gdzie dziadzio Nick? - pyta. - Tęsknię za nim.

Teresa spogląda na wnuczkę i głaszcze ją po główce.

- Dziadzio Nick jest w niebie, skarbie.

- Ale kiedy wróci?

- Nie wiem, kochanie, ale nic się nie martw, przez cały czas nad nami czuwa.

- Żeby tylko szybko wrócił. Mam mu coś do powiedzenia.

- Sama też mam mu parę rzeczy do powiedzenia - mamrocze Teresa pod nosem.

Na szczęście Nina i Gina natychmiast ruszają do klientów, którzy właśnie weszli. Bardzo dobrze, że nie słyszały tej krótkiej wymiany zdań, bo znowu zalałyby się łzami i nie byłoby z nich żadnego pożytku. Teraz najmniejsze drobiazgi potrafią wyprowadzić je z równowagi, Marię zresztą też. I co na to poradzić?

Tak czy owak, w sklepie powoli robi się spokojniej, więc Gina korzysta z okazji i wymyka się po kawę i ciastka z cukierni za rogiem. Teresa daje po ciastku wnukom, żeby się uspokoiły, tymczasem Nina nadal obsługuje klienta. Okazuje się, że to ten sam, który wcześniej domagał się piły tarczowej.

Widzę, że poza piłą ręczną Nina zdołała mu wcisnąć poziomice, młotek, torbę gwoździ i parę innych drobiazgów.

- Tak naprawdę przyszedłem po piłę tarczową - mówi do niej klient, kiedy zmierzają ku kasie.

- Bardziej się panu przyda ta, którą pan wybrał - zapewnia go Nina. - Palec może pan sobie uciąć czymkolwiek, jeśli nie będzie pan ostrożny.

- Szkołą was wszystkie, czy co? - mamrocze facet.

Kiedy Nina nabija towar na kasę, mężczyzna zaczyna myszkować po półce z poradnikami typu „zrób to sam”. Wybiera jeden, Jak zbudować taras, i rzuca na ladę. Teresa spogląda na to i kręci głową. Prawdę mówiąc, ja robię dokładnie to samo. Widać jak na dłoni, że facet nie ma pojęcia, w co się pakuje.

- Niech pani lepiej nic nie mówi - oznajmia mężczyzna na widok jej miny. - Zła książka, tak?

- Nie ma pan nawet narzędzi do zbudowania szopy, a teraz chce pan budować taras, po którym będą chodzić ludzie? A co, jeśli się zawali i komuś stanie się krzywda?

Nina i Gina z trudem powstrzymują śmiech na widok rumieńca na twarzy klienta. Nadal je to bawi, mimo że już setki razy widziały, jak ich matka sprowadza facetów do parteru.

- To co pani proponuje? - Mężczyzna drapie się po karku. Teresa wskazuje na dolną półkę.

- Tę z czerwoną okładką - odpowiada. - Ta się panu przyda.

Facet nachyla się i sięga po książkę.

- Podstawy stolarki - czyta na głos. - Poradnik dla początkujących stolarzy. - Teraz i on się uśmiecha.

- Skąd ta pewność, że jestem początkujący?

- Zgadłam - odpowiada Teresa. - Bierze pan książkę?

- Oczywiście. A przy okazji, ile kosztuje?

- Nic. - Teresa wręcza książkę Ninie.

- Nic? - powtarza klient. - Ale...

- To prezent za to, że jest pan taki zgodny - przerywa mu Teresa. - Chcemy, żeby pan do nas wracał. Właściwie powinien pan otworzyć u nas rachunek, wciągnie się pan w to raz dwa.

- Może i tak zrobię. - Mężczyzna nadal się uśmiecha, jednak prawdę mówiąc, myślę, że nie może się doczekać, aż wreszcie się stąd wyrwie.

Szybko płaci, łapie za towar i już go nie ma. Gdy tylko zamyka za sobą drzwi, Gina i Nina wybuchają śmiechem. W sklepie znowu jest pusto, dlatego wszystkie trzy tłoczą się przy ladzie, popijając kawę.

- Wiesz co? - mówi Nina do matki. - Zawsze mnie zdumiewa, że ty i tatko w ogóle mieliście jakichś klientów, którzy wracali, kiedy ty tu pracowałaś. Ależ ty nimi pomiatasz!

- E tam, nie bądź naiwna - śmieje się Teresa.

- Wiem, co robię. Możesz mi wierzyć, że faceci uwielbiają, kiedy kobiety mówią im, co powinni robić, bo dzięki temu mogą jeszcze mniej myśleć.

Teraz wszystkie się śmieją, ale nagle Teresa wzdycha i znowu robi tę swoją smutną minę. Joanna i Tommy podchodzą do niej, a ona wyciąga ręce i mocno ich przytula.

- O co chodzi, mamo? - niepokoi się Gina. - Wszystko w porządku? Myślisz o tatku?

- Jak mogłabym o nim nie myśleć? Jest w was, jest w tych dzieciach, w sklepowym powietrzu, którym oddychamy, no i we mnie. Teraz jednak uświadomiłam sobie coś jeszcze. Pomyślałam, że wszystko w życiu wydaje się takie kompletne, bo jesteśmy razem. Wy, moje dzieci, i moje wnuki, nasz dom, ten sklep, ludzie, których poznaliśmy i których znamy od wielu lat, słowem wszystko. Ja i wasz ojciec bardzo się kochaliśmy, i od tego się wszystko zaczęło. Czasem patrzę na kobiety, które mają świetną pracę, świetne ciuchy i jeżdżą świetnymi autami. To karierowiczki, które zdobywają w życiu wszystko, ale nie rodziny. Na przykład ta, którą ciągle spotykam u fryzjera, młoda i ładna, ale wiem, że nie ma męża, i nigdy nie słyszałam, żeby mówiła o dzieciach. Na co ona

czeka, na co one wszystkie czekają? Życie jest zbyt krótkie. Żal mi ich.

- Każdy ma inne tempo, mamó - odpowiada Nina. - I nie wszyscy pragną tego samego.

- Koniec końców, wszyscy - upiera się Teresa. Puszczając Joannę i Tommy'ego i bierze do ręki jedną z mioteł. - Ale nie pytajcie, dlaczego myślę o tym akurat teraz - dodaje z westchnieniem. - Najlepiej będzie, jak się czymś zajmę.

Teresa odwraca się i znowu zaczyna sprzątać. Mijając zegar, spogląda na niego i zaczyna się zastanawiać, kiedy wreszcie wróci Johnny.

Nieprędko, możecie mi wierzyć.

ROZDZIAŁ dziewiąty

Wyobraźcie sobie, że pewnego ranka budzicie się, za oknem świeci słońce, ptaki śpiewają. Przeciagacie się, przecieracie oczy i z trudem zwlekacie się z łóżka. Ot, zwykły początek zwykłego dnia. Kiedy stoicie przed lustrem w łazience, patrząc na swoje odbicie i myjąc zęby, nie macie pojęcia, że akurat ten dzień okaże się inny. Wasze życie wkrótce stanie na głowie, ale w tym momencie możecie myśleć tylko o tym, czy nie pora przestawić się na nową markę pasty do zębów, a może kupić bajgla zamiast pączka w drodze do pracy. Za chwilę jednak wszystko się zmieni, na lepsze lub na gorsze. Życie, które dotąd wiedliście, może się zakończyć w ułamku sekundy, dając początek innemu. Myślimy, że każdy rodzi się i umiera jeden jedyny raz, ja jednak uważam, że przez cały czas umieramy i rodzimy się na nowo. Żyjemy z chwili na chwilę.

Tak czy owak, w tym właśnie momencie Johnny leży na plecach z głową pod zlewem i patrzy na wodę sączącą się przez pęknięcie w rurze odpływowej. Powoli tworzy się spora kropla, która spływa po rurze i zawisa nad głową Johnny'ego, jakby czekała, aż Johnny wykona pierwszy ruch. Zanim jednak mój syn zdoła podnieść rękę, by osłonić twarz, kropla odrywa się od rury i wpada mu prosto w oko.

Johnny bełkocze coś niecenzuralnego, ociera twarz rękawem koszuli i wyslizguje się spod zlewu. Siada na kuchennej podłodze, spoglądając na Marię, która stoi przed nim ze swoim najmłodszym synem, Michaeliem. Mały próbuje dosięgnąć pasa z narzędziami wuja.

- Chodź tu, Mikey - mówi Johnny i wręcza mu śrubokręt.
- Pomożesz wujkowi.

Dwulatek wyrywa się z uścisku matki i radośnie bierze do roboty, tłukąc śrubokrętem o szafki kuchenne.

- Nie pozwalaj mu się tym bawić - warczy Maria. -
Wykłuje sobie oko i zniszczy mi całą kuchnię!

- Uspokój się - drażni się z nią Johnny. Maria tylko kręci głową.

- No i co myślisz, dasz radę to naprawić? - pyta po chwili.

Johnny znowu zerka pod zlew, gdzie pod rurą zaczyna się tworzyć kałuża.

- Nie wiem. Chyba nie.

- Jak to nie? - Maria jest rozzłoszczona.

- Mario, o co ci chodzi, przecież tam jest pęknięcie szerokości Rio Grande! - irytuje się Johnny. - Musisz ściągnąć kogoś, kto wie, jak to wyciąć i wstawić nowy fragment rury.

- Tato zawsze naprawiał nam takie rzeczy.

- Tato robił rozmaite rzeczy, a do tego był hydraulikiem, zapomniałaś? Ja nie jestem. Nie wiem, jak to naprawić.

- Spróbuj, na pewno coś wymyślisz - nie rezygnuje Maria.

- O co ci chodzi? Wezwij fachowca do naprawy. To pewnie drobiazg, trzydzieści, czterdzieści dolarów.

- Nie chcę nikogo wzywać - mamrocze Maria.

- Bo co, nie stać cię?

- Stać, mądralo. Tyle że...

- No co? - ponagla ją Johnny.

- Sama nie wiem - mówi Maria ponuro. - Po prostu tato zawsze zajmował się takimi sprawami. Wzywanie kogoś spoza rodziny wydaje mi się jakies nie w porządku.

- No to niech twój mąż to naprawi.

- Nie bądź palantem, Johnny, dobrze wiesz, że David nie radzi sobie z narzędziami. Tylko zrobi sobie krzywdę.

Oboje wybuchają śmiechem, a Johnny zaczyna myśleć o popołudniu, które spędził z Davidem na budowie kołyski, tuż przed narodzinami Michaela. Bogu dzięki, że postanowił pomóc Davidowi, w przeciwnym wypadku mały Mikey do dziś sypiałby na podłodze. Johnny lubi szwagra, ale facet

nawet nie wie, z której strony chwycić za młotek. Johnny wstaje i podchodzi do lodówki.

- Co macie do jedzenia? - pyta, zaglądając do środka. - Właściwie to moja przerwa na lunch.

- Siadaj - mówi Maria. - Mam resztki bakłażana z wczorajszej kolacji. Zrobię ci kanapkę, tylko najpierw położę Michaela na popołudniową drzemkę.

Na słowo „drzemka” Michael natychmiast zaczyna protestować, rzuca śrubokręt i ucieka do salonu, ale Maria przechwytuje go w połowie drogi i bierze na ręce. Michael nadal przebiera krótkimi nóżkami w powietrzu, szybko się jednak męczy i kładzie główkę na ramieniu matki.

- Va nanon', Mikey! - woła Johnny do siostrzeńca.

Czekając na powrót Marii, przegląda gazetę. Wiadomości mało go interesują, szuka ogłoszeń reklamowych innych sklepów żelaznych w mieście. Jest piątek, przez cały tydzień interes nie szedł najlepiej, ale teraz już wiadomo, dlaczego - we wszystkich innych sklepach trwają jesienne wyprzedaże. Johnny składa gazetę i ciska ją na stół, a potem wbija wzrok w sufit. Słyszy, jak Maria cicho śpiewa, przewijając Michaela, i układa go w łóżeczku. Johnny postanawia raz jeszcze rzucić okiem na list, który dostał tego ranka. Sięga do kurtki i z wewnętrznej kieszeni wyciąga kopertę. List jest zaadresowany do mnie, jak większość przychodzącej do sklepu korespondencji.

Na tego rodzaju zmiany trzeba czasu. Akwizytorzy, z którymi rozmawiałem dawno temu i którym kazałem przyjść później, zjawia się w sklepie i będą mnie szukali. Listy z moim imieniem i nazwiskiem będą przychodziły do sklepu jeszcze przez wiele miesięcy, może nawet lat, aż w końcu zniknę z każdej listy adresowej. Wtedy wszystko trafi do Johnny'ego i życie potoczy się dalej. Wiem, że Johnny

dziwnie się czuje, otwierając listy do ojca, jakby robił coś złego, chociaż teraz to jego obowiązek. Nieważne, to minie.

Zwykle przychodzą reklamy albo rachunki, jednak ten konkretny list zainteresował Johnny'ego. Rozkłada kartkę i od razu przechodzi do akapitu, który najbardziej go intryguje.

Jak Pan wie z naszej poprzedniej wymiany korespondencji - czyta - sieć Amerykańskich Sklepów Żelaznych dynamicznie rozwija się na północnym wschodzie poprzez nabywanie małych i średnich punktów sprzedaży narzędzi i artykułów żelaznych. Jesteśmy zainteresowani kupnem Pańskiego sklepu, funkcjonującego na ściśle określonym obszarze demograficznym, i chętnie podejmiemy z Panem negocjacje, dotyczące formy odsprzedaży, która zagwarantuje Panu możliwie wysoki zwrot kosztów poniesionych w związku z funkcjonowaniem przedsiębiorstwa. Pragniemy podkreślić, że istnieje nawet możliwość zachowania przez Pana kontroli nad sposobem zarządzania sklepem. Ostateczna cena sprzedaży będzie naturalnie bezpośrednio powiązana z bieżącą sytuacją rynkową...

Zanim Johnny zdoła dokończyć, słyszy, że Maria idzie po schodach, więc chowa list do koperty, wkłada ją do kieszeni i szybko chwyta gazetę. Próbuje czytać, ale wciąż przypominają mu się słowa „z poprzedniej wymiany korespondencji”. Jakiej poprzedniej wymiany korespondencji, pyta sam siebie. Czy tatko naprawdę kontaktował się z tymi ludźmi?

Za nic nie powiem.

- O co chodzi? - Maria wchodzi do kuchni.
- Wydajesz się dziś jakiś smętny.
- O nic - odpowiada Johnny. - Mam mnóstwo na głowie, wiesz, przez sklep i w ogóle.

Maria idzie do lodówki, wyjmuje z niej talerz ze smażonym bakłażanem i paczkę sera provolone. Kładzie ser na ladzie obok koszyka z włoskimi bułeczkami, a bakłażana

wstawia do mikrofalówki i siada przy stole. Johnny nerwowo bawi się gazetą, odrywa małe kawałeczki z samej góry pierwszej strony, po czym zgniata je w kulki i rzuca na blat.

- Przestań, dobrze? - Maria zabiera mu gazetę.

- Może ktoś jeszcze chciałby ją przeczytać.

- Przepraszam.

Maria przez chwilę wpatruje się w brata.

- O co chodzi? - pyta ponownie. - Co się dzieje w sklepie?

- Nic - odpowiada Johnny natychmiast. - Po prostu się nad czymś zastanawiałem.

- Tak mi się właśnie wydawało, że czuję spaleniznę.

- Ale śmieszne.

- Wybacz - mówi Maria z uśmiechem. - A niby nad czym tak rozmyślałeś?

- Sam nie wiem. - Johnny odchyła się na krześle. - Kiedy żył tatko, wszystko się układało, ale teraz nie wiem, czy uda mi się prowadzić sklep tak, jak powinienem. Może nie jestem stworzony do tej pracy?

W tym samym momencie mikrofalówka zaczyna dzwonić. Nie odpowiadając na pytanie brata, Maria wstaje i wyciąga talerz z parującym smażonym bakłażanem. Kroi jedną z włoskich bułeczek, smaruje ją grubą warstwą bakłażana, dokłada plaster provolone, trochę pieczonej papryki, kroplę oliwy z oliwek i szczyptę soli i pieprzu. Po ukończeniu dzieła kładzie kanapkę na papierowym talerzyku i podsuwa Johnny'emu.

Johnny odgryza potężny kęs. Uwielbia bakłażany Marii, to jej popisowe danie. Muszę się zgodzić, ja też za nimi przepadałem. Przyrządzała je nawet lepiej niż jej matka.

Johnny przeżuwa z zadowoleniem, a Maria nalewa mu kawy. Nie mija wiele czasu, a Johnny zdążył już pożreć połowę kanapki. Trzeba przyznać, że dzieciak ma apetyt.

- Myślę, że nieźle sobie radzisz - mówi w końcu Maria. -
Wszyscy jesteśmy dumni z tego, jak prowadzisz sklep.

- Daruj sobie - odpowiada Johnny z powątpiewaniem.

- Poważnie. Wiemy, jak trudno ci było nad tym zapanować. Wszystkim nam jest bardzo ciężko. - Jej oczy napęniają się łzami.

Wspominałem wam wcześniej, że najmniejsze drobiazgi wciąż jeszcze wyprowadzają ją i jej siostry z równowagi.

- Aaa, tylko nie zaczynaj - błaga Johnny na widok łez na policzkach siostry. - Teraz przez ciebie będę miał agita.

- Wiem - pochlipuje Maria. - Nic na to nie poradzę, tęsknię za nim.

- Nie ty jedna.

Johnny sięga do kieszeni, wyciąga chusteczkę i rzuca ją na blat.

- Masz - mówi łagodnie. - Uspokój się, przecież jesteś najstarsza, zapomniałaś? To ty masz trzymać nas wszystkich przy zdrowych zmysłach, prawda?

Maria bierze chusteczkę. Oddycha głęboko, żeby się uspokoić.

- Dzięki.

Johnny patrzy na zegar, już jest dobrze po dwunastej. Pośpiesznie przetyka resztkę kanapki, wstaje od stołu i zaczyna pakować narzędzia.

- Wracasz teraz do sklepu? - pyta.

- Nie, mam parę spraw do załatwienia. Zostawiłem sklep pod opieką mamy.

- Bardzo dobrze - cieszy się Maria. - Mama powinna coś robić, żeby nie zgnuśnieć. Takie zaszywanie się w domu to nic dobrego, wcześniej czy później musi zacząć wychodzić.

- Zgadzam się - mówi Johnny, chociaż słucha jednym uchem.

Rozgląda się wokół siebie w poszukiwaniu śrubokrętu, który dał Mikeyowi.

- Ale nie pozwól jej się przepracowywać - przestrzega go Maria.

- Co?

- Przecież wiesz, o co mi chodzi. Teraz to ty powinieneś wszystkim zarządzać. Jasne, że sklep należy do mamy, ale któregoś dnia będzie twój, wszyscy to wiedzą. Żadna z nas nie chce go prowadzić.

- No tak - wzdycha Johnny. - Tyle że mnie nikt nie pytał, czy w ogóle będę chciał mieć sklep.

- A kto miałby to robić? Poza tym, niby czym byś się zajął?

- Kto wie. Może któregoś dnia sprzedam sklep za odpowiednią sumę.

- Sprzedasz! - wykrzykuje Maria. - Na głowę upadłeś? Nie wolno ci sprzedawać sklepu!

- Niby dlaczego?

- Bo tatko przewróciłby się w grobie!

Lepiej teraz nie ciągnąć tego tematu. Z westchnieniem ulgi Johnny zauważa śrubokręt na podłodze obok kuchenki, chwyta go i wsuwa w pas z narzędziami. Maria odprowadza brata do drzwi.

- Co teraz zrobisz?

- Mówiłem ci, że mam kilka spraw do załatwienia, a potem wracam do sklepu.

- Chodzi mi o zlew - wyjaśnia.

- Maria...

- Przestań, Johnny, powiedz tylko, że się tym zajmiesz.

- Ale Maria...

- Proszęęęę - mówi Maria błagalnym tonem, rzucając mu spojrzenie zbitego psa.

Johnny unosi obie ręce.

- Dobra, dobra - poddaje się. - Zajmę się tym jutro, ale nie gwarantuję, że będziesz zadowolona.

Rozpromieniona siostra całuje go w policzek.

- Dzięki. - Wypycha go za drzwi. - A teraz idź już, muszę przypilnować mydła.

- Co takiego? - zdumiewa się Johnny, ale drzwi zdążyły się już zamknąć i stoi sam na schodkach.

Odwraca się i idzie do auta, zastanawiając się przez całą drogę, dlaczego jego ojciec w ogóle zadał się z jakąś obcą kobietą. Jeśli postanowił zwariować, to przecież miał już żonę i trzy córki.

ROZDZIAŁ dziesiąty

Johnny jedzie przez śródmieście Providence, kieruje się na College Hill i mija uniwersytet Browna. Jest jeden z tych idealnych ciepłych wrześnieowych dni i mnóstwo studentów wyległo na olbrzymi uniwersytecki dziedziniec. Kiedy jesień i zima zbliżają się wielkimi krokami, nieczęsto przytrafiają się takie chwile, dlatego wszyscy usiłują nacieszyć się słońcem. Część studentów rzuca frisbee, inni krążą wokół na rolkach. Wielu z nich po prostu odpoczywa na trawie, czytając książkę albo wygrzewając się w słonecznych promieniach.

Johnny zwalnia i przygląda się otoczeniu. Z przyjemnością patrzy na nogi młodych kobiet, spacerujących w podkoszulkach i szortach, i myśli sobie, że przyjemnie by było pospacerować razem z nimi. Wzdycha i zastanawia się, dlaczego nie poszedł na studia, jak tego chciał tatko. Na to pytanie ja wam odpowiem - dlatego, że dzieciak ma sieczkę zamiast mózgu. Nikogo nie chciał słuchać, a już mnie w szczególności.

Johnny niechętnie jedzie dalej. Od wieków nie krążył po East Side. Nigdy nie znał dobrze tych okolic. Przedziera się przez labirynt bocznych uliczek, co jakiś czas się zatrzymując, żeby zerknąć na mapę. W końcu zjeżdża na pobocze, przystaje przed rzędem schludnych domków mieszkalnych i wyciąga z kieszeni koszuli papierową serwetkę z zapisanym adresem. W książce telefonicznej Providence jest tylko jedna V. Sanders. To musi być tutaj. Johnny oddycha głęboko i wysiada z samochodu.

Bał się tej chwili od trzech tygodni, odsuwał ją od siebie jak mógł, póki wyrzuty sumienia z powodu niespełnionej obietnicy nie zaczęły zbyt mocno dawać mu się we znaki. Nie powiem, nie mam do niego pretensji, wizyta u kochanki zmarłego ojca zapewne nie znalazłaby się na szczycie listy moich obowiązków. Znam jednak Johnny'ego i mogę wam

powiedzieć, że choć cała ta sprawa budzi w nim przede wszystkim niepokój, to i odrobinę ciekawości również. Ukryty w nim diabełek marzy o tym, żeby poznać kochankę ojca, przez cały czas jednak Johnny powtarza sobie, że nie chce jej widzieć i dzisiejszego ranka wreszcie wymyślił sposób na załatwienie sprawy. Pamięta, jak mówiłem mu, że to nauczycielka, więc istnieje spora szansa, że wczesnym popołudniem w powszedni dzień nie będzie jej w domu. Zapuka, nie zastanie jej i przynajmniej będzie miał czyste sumienie. Naturalnie, tylko on będzie o tym wiedział, ale to wystarczy.

Idąc dróżką prowadzącą do drzwi wejściowych, Johnny usiłuje wyobrazić sobie ojca romansującego z nauczycielką. Od razu przypomina mu się siwowłosa pani Henderson, która uczyła go w czwartej klasie. Zawsze wydawała mu się strasznie stara, mnie zresztą też. Sztywna i nienaganna, ale z wybuchowym temperamentem, przy każdej nadarzającej się okazji uspokajała uczniów linijką, Johnny'ego całkiem często, a jednak była jedną z jego ulubionych nauczycielek. Choć trudno w to uwierzyć, on też był jednym z jej ulubionych uczniów. Na myśl o tamtych czasach Johnny się uśmiecha, ale kręci przy tym głową. To, że ktoś pokroju pani Henderson mógłby się zadać z jego ojcem, nie mieści mu się w głowie. Ludzie w tym wieku nie powinni mieć romansów, ale co on tam wie?

Naciska dzwonek i czeka. Żołądek podchodzi mu do gardła. A jeśli ta kobieta jest w domu, to niby co ma jej powiedzieć? Postanawia, że wejdzie i po pięciu minutach już go nie będzie. Spyta tylko, jak się jej wiedzie, upewni się, że babka nie skoczy z mostu i ma zapas biovitalu, i zniknie.

Czeka chwilę, a potem raz jeszcze naciska dzwonek. Zadowolony, że zrobił, co w jego mocy, rusza po schodkach

do samochodu. W tej chwili jednak, ku swojemu przerażeniu, słyszy metaliczny dźwięk otwieranych drzwi.

Ku jego uldze kobieta jest za młoda na zapuszczoną starą nauczycielkę. Ubrana w dżinsy i bluzę z logo Browna, z chustką zawiązaną na szyi, podchodzi do siatkowych drzwi i wygląda na zewnątrz. W jednej osłoniętej żółtą lateksową rękawiczką ręce trzyma wiadro, drugą odgarnia z twarzy pasmo długich jasnobrązowych włosów. Wydaje się onieśmielona i nerwowo ogląda się za siebie.

- Tak? - mówi niepewnie.

Bogu dzięki, myśli Johnny, to tylko pomoc domowa. Świetnie się składa - zostawi informację, że był, i odjedzie. Trochę dziwne, że dziewczyna wpadła w taki popłoch na jego widok.

- Mogę w czymś pomóc? - pyta kobieta i stawia wiadro na podłodze.

- Tak - odpowiada Johnny. - Szukam pani Sanders.

- Chyba panny Sanders?

- Tak, tak, Victorii Sanders - potwierdza Johnny. - Tutaj mieszka, prawda?

- Cóż... No tak - odpowiada kobieta dziwnym tonem. - W jakim celu chce się pan z nią spotkać?

Johnny drapie się po brodzie. Myśli sobie, że dziewczyna jest strasznie wścibska, nawet jak na pomoc domową. Naturalnie, większość kobiet taka jest, nic nie mogą na to poradzić. Wtrącanie się w cudze sprawy jest ich naturalną skłonnością.

Na oko kobieta jest w wieku Johnny'ego, przynajmniej tak mu się wydaje. No, może rok czy dwa lata starsza, i całkiem niebrzydka. Prawdę mówiąc, ma bardzo miłą twarz, ale jego uwagę przyciągają przede wszystkim jej wielkie, błyszczące oczy. Johnny zawsze przepadał za niebieskimi oczami. Jej mają odcień zbliżony do koloru płynu do spryskiwania szyb,

który sprzedajemy w sklepie. Johnny myśli sobie, że ta dziewczyna mogłaby posprzątać mu pokój, kiedy tylko by chciała.

- To... to osobista sprawa - odpowiada. - Nic ważnego. Właściwie to miałem tylko przekazać wiadomość. Nie ma jej, tak?

Pomoc domowa zaczyna skubać jedną z lateksowych rękawic.

- Ona... Bo wie pan, ona uczy na uniwersytecie - mówi.

Johnny uśmiecha się szeroko.

- Na uniwersytecie Browna? - Śmieje się. - Ojciec mówił, że to nauczycielka. Myślałem, że uczy w podstawówce czy coś w tym rodzaju.

Na twarzy pomocy domowej po raz pierwszy pojawia się cień uśmiechu.

- Literatura porównawcza - mówi. - Od kogo jest ta wiadomość, którą miał pan przekazać?

- Od mojego ojca.

Uśmiech, od początku blady, teraz znika z jej twarzy niczym słońce za chmurą.

- Dlaczego sam się z nią nie skontaktowałeś? - pyta kobieta.

- To by było trochę trudne - przyznaje Johnny. - Tatko kopnął w kalendarz trzy tygodnie temu.

- Co zrobił?

- Umarł.

- Och, rozumiem. - Wcale nie wydaje się zdumiona. - Bardzo mi przykro.

- No tak. Prawdę mówiąc, nie znam tej całej pani Sanders, ale ona i mój ojciec byli - hm, jak by to powiedzieć? - dobrymi przyjaciółmi. Chyba nie zdążył tu wpaść, zanim się rozchorował, i kiepsko się z tym czuł. Tak czy owak, chciał, żebym zajrzał i sprawdził, co u niej, kiedy już będzie po

pogrzebie. Wie pani, mam się upewnić, czy wszystko w porządku i czy czegoś nie potrzebuje.

- To bardzo miło z jego strony. - Z jakiegoś powodu kobieta jest lekko zirytowana. - Pewnie był zbyt chory, żeby podnieść słuchawkę i do niej zadzwonić.

Johnny pociera ręką kark.

- To nie tak - mówi. Pochyla się i cicho dodaje: - Szczerze mówiąc, miałby z tym problem. Bo widzi pani, tata i ta cała pani Sanders...

- Panna Sanders - poprawia go kobieta.

- Wszystko jedno. Tata i ta panna Sanders kręcili ze sobą, a moja matka z rodziną tkwiła w szpitalu dniem i nocą, więc sytuacja była trochę niezręczna, rozumie pani?

Teraz pomoc domowa naprawdę się irytuje.

- Rozumiem, że ojciec to wszystko panu powiedział - cedzi.

- To nic wielkiego. - Johnny, nieco zdziwiony jej reakcją, wzrusza ramionami. - Tak się po prostu ułożyło, i tyle.

Kobieta bierze głęboki oddech i podnosi wiadro.

- W porządku, przekażę pańską wiadomość, panie Catini - mówi. - Dziękuję i życzę miłego dnia.

Cofa się i zatrzaskuje drzwi.

Johnny stoi nieruchomo. O co chodzi, do cholery? I niby skąd znała jego nazwisko? Powoli kręci głową. Ładna dziewczyna, ale jakaś dziwna. Jest niezadowolony, bo nawet nie miał szansy wyciągnąć od niej numeru telefonu. Tak czy owak, przynajmniej spróbował załatwić sprawę. Odwraca się i rusza do samochodu. Ledwie dociera do dolnego schodka, kiedy słyszy, że drzwi ponownie się otwierają. Ogląda się przez ramię. W drzwiach stoi dziewczyna, wyraźnie przybita.

- - Przepraszam - oznajmia ponurym głosem. - Nie chciałam być tak nieuprzejma. Niewłaściwie się zachowałam.

Johnny znów podchodzi do drzwi.

- W porządku. Powinienem być się domyślić, że o takich rzeczach nie rozmawia się z każdym. Wie pani, nigdy nie wiadomo, czym można komuś zrobić przykrość.

Kobieta uśmiecha się do niego, choć w jej oczach błyszczą łzy.

- To nie pana wina. - Jej głos drży. - W ostatnich tygodniach wszystko tu stanęło na głowie.

- Coś o tym wiem - wzdycha Johnny. - Czasem mam wrażenie, że cały świat wokół mnie zwariował. Wie pani, o co mi chodzi?

Ona tylko się uśmiecha i kiwa głową.

- O, już lepiej - mówi Johnny. - Jest pani o wiele ładniejsza, kiedy się pani uśmiecha.

Johnny jest jednym z tych ludzi, którzy mówią od razu to, co myślą. Tak naprawdę wcale nie chciał tego powiedzieć. Ale kobieta w ogóle nie reaguje na komplement i przez dłuższą chwilę żadne z nich się nie odzywa.

Johnny czuje się trochę niezręcznie, więc postanawia, że to odpowiedni moment na pożegnanie.

- Chyba będę się związał.

- Może pan wejdzie? - proponuje ona. - Porozmawiamy, a pan poczeka na pannę Sanders.

- Sam nie wiem. Może to nie najlepszy pomysł, wystarczy spojrzeć, jak panią zdołowałem. Kto wie, co będzie, kiedy wróci pani, to znaczy panna Sanders. Nie chcę, żeby przeze mnie dostała zawału... Poza tym pewnie narobi sobie pani kłopotów, wpuszczając obcego.

- Tym proszę sobie nie zawracać głowy. - Kobieta szeroko otwiera drzwi. - Mamy mnóstwo czasu. Niech pan wejdzie, zaparzę kawy.

- Na pewno?

- Na pewno.

Johnny wzrusza ramionami i wchodzi. Nic złego nie może się stać, myśli sobie.

- Może będziemy mówić sobie po imieniu? Ja jestem Johnny, a ty?

Kobieta nerwowo przeczesuje dłonią długie pasma włosów.

- Przyjaciele mówią na mnie Sandy - odpowiada.

- Milo cię poznać, Sandy. Twoja szefowa nie będzie miała nic przeciwko temu, że mnie wpuściłaś?

- Nie zwracaj sobie tym głowy - powtarza Sandy. - Idź do salonu, a ja zrobię kawę.

Johnny przystaje na moment w korytarzu, żeby się trochę rozejrzeć. To raczej typowe mieszkanie nauczycielki. Pod ścianami stoją regały pełne książek, przez co salon bardziej przypomina bibliotekę. W kącie, pod fotografią posągu gołego faceta z procą na ramieniu, stoi niewielkie biurko z komputerem. Po ekranie pędzą jaskrawe kropki, niczym gwiazdy przelatujące przez ciemny kosmos. Johnny chichocze, bo to przypomina mu widok z mostka Enterprise. Podchodzi do komputera, chcąc się lepiej przyjrzeć, i z ciekawości uderza w klawisze. Ku jego rozczarowaniu gwiazdy znikają i teraz na ekranie widać same słowa. Pewny, że coś popsuł, ucieka na drugą stronę pokoju, gdzie przed kominkiem stoi wygodna na oko sofa, a po obu jej stronach dwa tapicerowane krzesła. Postanawia usiąść, zanim zepsuje coś jeszcze.

Okna są szeroko otwarte, wpada przez nie ciepły wietrzyk i słychać śpiew ptaków. Rozglądając się dookoła, Johnny musi przyznać, że to przyjemne mieszkanie - nie w jego stylu, ale całkiem miłe. Usiłuje wyobrazić sobie ojca w tym samym pokoju, ale nie może. Zastanawia się, co robili - popijali herbatę, jedli drożdżówki w trakcie dyskusji o Szekspirze? Zerka na prowadzące na górę schody i zastanawia się, co tu

się jeszcze działało. Nietrudno się domyślić, że chłopak dziwnie się czuje, co do tego nie ma najmniejszych wątpliwości.

Parę minut później do salonu wchodzi Sandy z tacą, na której ustawiła dzbanek z kawą, filiżanki, sztućce i talerzyk ciasteczek.

- Mam nadzieję, że pijasz rozpuszczalną - mówi, kładąc tacę na stoliku.

- Nie ma sprawy.

Sandy siada po drugiej stronie sofy. Kiedy nalewa kawę do filiżanek, Johnny uważnie ją obserwuje. Jej ruchy są pełne gracji i intrygujące zarazem. Pewnie mogłaby robić coś znacznie ciekawszego niż zajmowanie się cudzym domem.

- Śmietanka i cukier? - pyta Sandy.

- Nie, piję czarną. Sandy wręcza mu filiżankę.

- Tak jak twój ojciec - mówi z uśmiechem. - Jak mój ojciec?

- No tak. - Nagle wydaje się strasznie zmieszana. - Kiedy... kiedy przychodził z wizytą, zawsze podawałam mu kawę.

- Czyli znałaś mojego ojca?

- Panna Sanders nie ma wielu gości. - Sandy wydaje się niespokojna. - Dlatego go zapamiętałam. Poza tym jesteś bardzo do niego podobny.

- Masz rację, ludzie bez przerwy mi to powtarzają - mówi Johnny.

Upija łyk kawy i zerka na komputer. Ku jego uldze gwiazdy znowu śmigają po ekranie.

Sandy podwija nogi pod siebie i podnosi filiżankę. Jak na pomoc domową nieźle się tu zadomowiła. Naprawdę nie boi się, że szefowa wróci i przyłapie ją na zabawianiu gości w godzinach pracy? Dochodzi jednak do wniosku, że kiedy kota nie ma, myszy harczą. Tyle że ta dziewczyna nie jest żadną myszką, tylko kocicą.

Sandy wyciąga smukłą rękę i sięga po ciasteczko. O tak, myśli sobie Johnny, kiedy Sandy zanurza ciastko w kawie i zaczyna je podgryzać, to zdecydowanie kocica, ale taka miła.

- Czy twój ojciec długo chorował? - pyta Sandy po dłuższej chwili.

- Chyba tak - mówi Johnny. - Problem w tym, że nikt niczego nie wiedział, póki nie stanął jedną nogą w grobie. Wszystko potoczyło się bardzo szybko.

- To smutne. - Jej błękitne oczy wilgotnieją.

- No, ale czasami tak bywa. Nikt tego nie planuje.

- Pewnie nie. - Sandy wpatruje się w swoje dłonie.

- Hej, nie możesz się tak smucić - oznajmia Johnny lekkim tonem. - Wiesz, mój ojciec pierwszy by ci powiedział, że miał dobre życie. Fakt, skończyło się trochę za wcześnie, ale chyba umarł bez specjalnego żalu. W sumie czego chcesz więcej?

Sandy kiwa głową, chociaż wydaje się bliska łez. Johnny nie ma pojęcia, dlaczego. Bo niby kim był dla niej tatko?

- Powiedz coś o sobie - odzywa się. - Od dawna pracujesz dla tej panny Sanders?

To proste pytanie, ale Sandy wydaje się zbита z tropu. Upija trochę kawy i mamrocze coś o tym, że od zawsze zajmuje się tym domem.

- A ty z czego żyjesz? - pyta szybko, zanim Johnny zdąży ją poprosić, żeby powtórzyła.

- Mam sklep żelazny po drugiej stronie miasta.

- A, pamiętam - mówi Sandy ostrożnie. - Twój tata prowadził go przed śmiercią, prawda?

- Tak. Zdaje się, że teraz to ja mam tym wszystkim zarządzać - chichocze Johnny. - Nie, żebyśmy chcieli przejąć sklep w taki sposób.

- Musi być ci ciężko - zauważa Sandy. - Chodzi mi o to, że twój ojciec na pewno miał do czynienia z wieloma ludźmi.

- Nie masz pojęcia - wzdycha Johnny. - Teraz to ja muszę się nimi zajmować, a wcale nie byłem na to gotowy.

Sandy sięga po jego filiżankę i ponownie ją napełnia.

- Powiedz mi... To znaczy, jeśli nie masz nic przeciwko temu - co twój ojciec mówił ci o panie Sanders?

- Takie tam - mówi Johnny. - Ze naprawdę mu na niej zależało i dlatego chciał, żebym sprawdził, co u niej. Zwyczajne rzeczy.

- I tyle? - niemal szepcze Sandy.

- Powiedział jeszcze, że nie powinienem jej obwiniać o to, co zaszło między nimi. No wiesz, że to było poza ich kontrolą i to wina Boga, że się w sobie zakochali, i że powinienem być miły dla pani Sanders, bo jest przecież zwykłym człowiekiem. I tak dalej. Gadał i gadał. Możesz mi wierzyć, że ojciec był prawdziwym chiacchierone, nawet na łożu śmierci. W sumie nie powinienem ci tego mówić.

- Nie, nie, cieszę się, że to powiedziałeś. - Po policzku Sandy spływa łza.

- O rany, nie rób tego - jęczy Johnny. - Błagam, nie zaczynaj płakać, dłużej tego nie zniosę.

- Przepraszam. Chodzi o to, że to był bardzo miły człowiek.

- Tak, ojciec był świetnym facetem - zgadza się Johnny. Sięga do kieszeni i wyciąga z niej chusteczkę. - Masz, ostatnia.

- Dzięki. - Sandy osusza oczy. - Nie tęsknisz za nim?

- Pewnie, że tęsknię. To, że nie mam kraników podłączonych do oczu, jak reszta rodziny, nie znaczy, że nic nie czuję. Muszę być silny dla matki i sióstr, w końcu przejąłem rodzinny interes. Nie mogę dopuścić do tego, żeby ludzie myśleli, że jakiś mammalucc' ze mnie.

- Masz prawo płakać.

- Taa, jasne.

Niebo nagle pociemniało, powietrze w pokoju zrobiło się duszne i ciężkie. Z powodów, których do końca nie rozumie, robi mu się ciężko na sercu, całkiem jakby coś przygniatało go do sofy. Czuje się kompletnie wyczerpany, i to nie od dzisiaj, ale od wielu dni. Widzę to, ale nie umiem mu pomóc. Johnny na moment przymyka oczy, marząc, żeby po prostu zasnąć i przez jakiś czas nie myśleć o nikim ani o niczym, żeby o wszystkim zapomnieć. To jedna z tych chwil, w których człowiek oddałby wszystkie skarby świata za to, żeby złożyć głowę na poduszkę i porządnie się przespać. Zwykle jednak te chwile nie są nam dane, gdy potrzebujemy ich najbardziej.

Johnny otwiera oczy i widzi, że Sandy wpatruje się w niego. Nagle w oddali rozbrzmiewa niski warkot grzmotu, a podmuch wiatru wydyma zasłony jak żagle. Burza zbliża się wielkimi krokami.

- Wybacz - mamrocze Johnny.

- W porządku. - Sandy przysuwa się do niego. - Powinieneś się zrelaksować i pozwolić sobie na okazanie uczuć, to niezdrowo tak je w sobie dusić. Dlatego właśnie dobrze jest sobie popłakać, pozbyć się balastu.

- Nie muszę płakać. Muszę tylko porządnie się wyspać, żeby poukładało mi się w głowie. - Johnny zaczyna wstawać. - Właściwie to powinienem iść, zanim się rozpada.

Sandy wyciąga rękę i dotyka jego ramienia.

- Nie idź, proszę - mówi nieoczekiwanie. - Jeszcze nie. Nie chcę być sama, jeśli rozpęta się burza.

Pioruny od zawsze mnie przerażają. Zostań tu trochę i odpocznij, nie będzie najmniejszego problemu. Nagle przez ciemne chmury przebija się jaskrawa błyskawica i słychać głośny grzmot. Wiatr się wzmacnia, a o szyby zaczyna uderzać deszcz.

- Proszę, zostań - mówi Sandy ponownie.

- Chwilowo nie mam chyba innego wyjścia.

Johnny wygląda przez okno i patrzy na szalejącą burzę - głośną, nagłą i niepowstrzymaną w swojej furii. Postanawia, że zostanie, dopóki burza nie minie, a potem ruszy w drogę.

Tyle że nic z tego nie wychodzi.

ROZDZIAŁ jedenasty

Kto zdoła wyjaśnić, jak to się stało? Mnie nie pytajcie i od razu darujcie sobie wypytywanie Johnny'ego. Kiedy jest po wszystkim, czuje się całkowicie skołowany, co w zasadzie jest typowym dla niego stanem. Kiedy próbuje odtworzyć wydarzenia, które do tego doprowadziły, nie jest pewien, od czego się zaczęło. Ciąg zdarzeń wydaje się kompletnie poplątany, zupełnie jakby wszystko zdarzyło się w tej samej chwili.

Teraz odgrywa to w swojej głowie. Oboje siedzą na sofie i rozmawiają o mnie, nagle Sandy zaczyna płakać. Johnny bez zastanowienia ociera jej łzy, próbując ją pocieszyć, a po chwili wygląda to tak, jakby ona usiłowała pocieszyć jego. Ale przecież akurat w tamtej chwili nie było mu szczególnie smutno.

Czy na pewno?

Przypomina sobie, jak pomyślał, że Sandy może mieć rację, może naprawdę dusił w sobie uczucia. Sandy trzyma go za rękę, czy też on trzyma ją? W każdym razie trzymają się za ręce i tulą do siebie, i wtedy właśnie zaczyna coś się dziać, wszystko naraz, i nagle robią o wiele więcej, niż zamierzali - usta przy ustach, ręce błędzą po drugim ciele. W sekundzie ubrania lądują na podłodze i rozpoczyna się pokaz fajerwerków, podczas gdy na zewnątrz zaczyna deszcz i wiatr uderza o ściany domu.

A chwilę potem jest już po wszystkim.

Burza mija równie szybko, jak się zjawiała, deszcz ustaje, ciemne chmury znikają z horyzontu. Johnny siada i patrzy na słońce, które wyziera zza chmur. Połyskujące krople deszczu spadają z gałęzi na mokrą ziemię, ćwierkają ptaki i gdzieś niedaleko krzyczą bawiące się dzieci. Z oddali słychać warkot kosiarki. Wszystko wraca do normalności.

Wbrew pozorom Johnny świetnie zdaje sobie sprawę z tego, że sytuacja całkiem się zmieniła. Nagle przerażenie chwyta go za gardło, jakby nadciągała wielka katastrofa. Dobrze zna to uczucie, doświadcza go za każdym razem, gdy spędzi noc z kobietą. Ma wrażenie, że dał się zwabić w jakąś okropną pułapkę, z której nie zdoła się już wydostać. W momencie kiedy przychodzi czas aby się przytulić, wyszeptać kilka czułych słówek, a może nawet wyznać miłość, strach zwycięża i zamyka mu usta. Wtedy Johnny zawsze wyskakuje z jakąś wymówką, byleby tylko nie zostawać. Zrywa się i w panice ucieka jak zwierzę z płonącego lasu, a potem trzyma się z dala przez dzień, tydzień, miesiąc albo jeszcze dłużej, póki strach nie ustąpi lub póki nie znajdzie kogoś nowego.

Tym razem jednak jest inaczej. Johnny zniechęca uświadamia sobie, że choć nadal wydaje mu się, iż niebezpieczeństwo czai się tuż za rogiem, być może w postaci panny Sanders, która w każdej chwili może stanąć w drzwiach, czuje się zaledwie niespokojny, nie przerażony. Mówi sobie, że jeśli teraz wyjdzie, to tylko ze względu na obowiązki i ludzi od niego zależnych. Nie ma potrzeby panikować.

Sytuacja jest jednak niezręczna. Zerkając na podłogę, gdzie wciąż leżą ich pogniecione ubrania, Johnny znowu zaczyna się zastanawiać, jak to się stało. Nie, żeby nigdy dotąd nie kochał się z kobietą na pierwszej randce, ale nigdy nie robił tego z kimś, kogo znał krócej niż dwie godziny. Nie było to niemiłe doświadczenie, jednak czuje się trochę dezorientowany. Myśli sobie, że bez wątpienia warto by tu jeszcze wrócić, problem w tym, że Johnny nie ma pojęcia, co teraz powiedzieć czy zrobić.

Odwraca się i patrzy na Sandy, która siedzi tuż obok niego, smukłe nogi podciągnęła pod brodę. Nic nie mówi i przez pewien czas tylko wygląda przez okno.

- O której staruszka wraca? - mówi Johnny w końcu.

- Niedługo - odpowiada cicho Sandy. - Chyba powinieneś już iść.

- Fakt, i tak muszę wracać do sklepu. Prosiłem mamę, żeby miała oko na wszystko. Może umówimy się na szybką kolację i, bo ja wiem, pogadamy?

- Nie jestem pewna, czy to dobry pomysł.

- Posłuchaj, nie chcę, żebyś myślała...

- Poczekaj, Johnny - przerywa mu. - Musisz coś wiedzieć.

- O czym?

- O mnie.

Johnny spogląda na nią.

- Ale nie dowiem się, że masz opryszczkę czy coś?

- Nie. - Sandy śmieje się nerwowo. - To nie takie proste.

- Okej, dawaj. Możesz powiedzieć mi wszystko, jakoś to zniosę.

Sandy oddycha głęboko.

- No dobrze - mówi z wahaniem. - Tak naprawdę nie mara na imię Sandy.

- No i co z tego? - - Johnny wzrusza ramionami. - I tak ledwie się znamy. Po prostu powiedz, jak naprawdę masz na imię.

Wydyma usta, tak jak wtedy, gdy podeszła do drzwi wejściowych, a potem, cichutkim szeptem, odpowiada:

- Vicki.

Ciemne chmury, które zniknęły z nieba, nagle zbierają się nad głową mojego syna.

- Vicki? - powtarza niespokojnie. - To znaczy, Vicki jak zdrobnienie od Victorii?

- Od Victorii Sanders.

Johnny na chwilę zamiera zupełnie zdezorientowany, po czym zrywa się z łóżka:

- O... mój... Boże! - wrzeszczy. Teraz chodzi po pokoju i ściska głowę rękami. - Do czegoś ty mnie zmusiła?

- Do niczego cię nie zmuszałam! - Vicki też podnosi głos.
- Nie zwałaj winy na mnie, ja tego nie zaplanowałam.

- Powinnaś mi była powiedzieć, kim jesteś, kiedy tu przyszedłem. Okłamałaś mnie!

- Nieprawda. Mnóstwo ludzi nazywa mnie Sandy, to moja ksywa. - Vicki prostuje nogi i zaczyna zbierać ubrania. - Niby co miałam zrobić? Zjawiasz się znienacka na progu mojego domu. Skąd mogłam wiedzieć, że nie jesteś jakimś psychopatycznym synkiem, który postanowił uratować honor rodziny?

- I pewnie uważasz, że to cię usprawiedliwia. Takie małe, niewinne kłamstewko. - Johnny skacze po pokoju, usiłując wciągnąć na siebie spodnie. Nagle nieruchomieje, widząc swoje odbicie w lustrze. - O nie - jęczy. - Czy to znaczy, że mam, ten, no, kompleks Odupa?

- Co takiego? - wykrzykuje Vicki.

- No wiesz, jak ten gość, o którym czytałem w liceum. Król Odup czy jak tam się do cholery nazywał!

- Edyp - poprawia Vicki. - Nie Odup.

- Odup, Edyp, co za różnica! Vicki też zaczyna się ubierać.

- Edyp zabił ojca i przespał się z własną matką. Jakoś nie uważam, żebyśmy podpadali pod tę samą kategorię.

- Ale prawie - upiera się Johnny. - Można by się spodziewać, że będziesz miała więcej oleju w głowie, w końcu jesteś nauczycielką.

- Profesorem, a nie panią z zerówki - odpowiada Vicki lodowato.

- Tym bardziej!

Johnny wpycha koszulę w spodnie i, zapinając pasek, gorączkowo rozgląda się wokół.

- Gdzie moje skarpetki?

- Tutaj. - Vicki ciska nimi w niego. Trafia Johnny'ego w twarz, skarpetki spadają na podłogę.

- Co zamierzasz teraz zrobić? - Vicki patrzy na niego wilkiem.

Johnny naciąga skarpetki na stopy, po czym wkłada buty.

- Zmywam się stąd - mamrocze. - Jeśli o mnie chodzi, to się nigdy nie wydarzyło. Gdzie telefon?

- A po co ci telefon?

- Jestem spóźniony i nie wiem, co się dzieje w sklepie. Mam robotę.

Vicki zaciska zęby.

- Jesteś jak swój ojciec - cedzi. - Zawsze uciekał przede mną do swojej pracy.

- Dobra, dobra, nie narzekaj. - Johnny zamaszystym gestem wskazuje na przedmioty w pokoju.

- Dzięki temu żyłaś jak królowa, co?

Zaczyna żałować tych słów już w chwili, gdy opuszczają jego usta, choćby ze względu na wściekłość w jej oczach. Wie, że wpakował się w kłopoty.

- Chwileczkę. - Vicki przypiera go do ściany i zaczyna dźgać palcem w pierś, dla podkreślenia wagi swoich słów. - To, co widzisz w tym domu, jest moje, sama to kupiłam i zapłaciłam własnymi pieniędzmi. Nie wiem, co ci powiedział ojciec, ale nie byłam żadną utrzymanką. Na wszystko, co mam, sama zarobiłam, i to zanim poznałam twojego ojca. Chociaż to nie twoja sprawa, wiedz, że nigdy nie dał mi nawet kwiatów.

Johnny wyślizguje się i rusza do drzwi wejściowych.

- Masz rację - mówi. - To nie mój interes. W ogóle bym tu nie przyszedł, tylko starałem się być miły.

- Nigdy nie powinnam była cię wpuszczać. Kiedy cię zobaczyłam na pogrzebie, od razu wiedziałam, co z ciebie za człowiek.

Johnny nieruchomieje.

- Przyszłaś na pogrzeb?

- Oczywiście, że przyszłam!

- Ale ja cię nie widziałem. - Johnny drapie się po głowie i nagle wykrzykuje: - Czekał, teraz pamiętam! Miałaś na sobie ciemny prochowiec i chustkę na głowie?

- Bystrzacha z ciebie. - Vicki popycha go ku wyjściu. - A teraz idź sobie.

Johnny szeroko otwiera drzwi i zbiega po schodkach.

- I trzymaj się ode mnie z daleka! - słyszy krzyk Vicki, a potem trzaśnięcie zamykanych drzwi.

Na zewnątrz wszystko jest mokre po burzy. Spiesząc się do samochodu, Johnny wpada w kałużę i brudzi sobie nogawki spodni błotnistą wodą. Klnie przez resztę drogi, po czym wsiada do auta, którego wcześniej nie zamknął, i zatrzaskuje drzwi. Nagle czuje się tak skołowany, że kładzie głowę na kierownicy. Znowu wspina się na schodki, podchodzi do drzwi wejściowych i niechętnie naciska dzwonek. Drzwi uchylają się odrobinę, a przez szparę wysuwa się ręka Vicki z kluczykami do samochodu.

- Dzięki. - Johnny szybko chwyta kluczyki, tuż zanim drzwi ponownie się zatrzaskną.

ROZDZIAŁ dwunasty

Następnego ranka Johnny wchodzi do kuchni, ziewa i siada ciężko przy stole. Jest dopiero siódma, ale w powietrzu już czuć słodkawy aromat przysmażanego czosnku i cebuli. Odkąd pamięta, ten cudowny zapach witał go rano w każdą sobotę, kiedy matka zaczynała całodzienny rytuał gotowania sosu do niedzielnego makaronu. Sam uwielbiał ten zapach. Przepis jest za każdym razem identyczny. Gdy czosnek i cebula zmiękną, Teresa rzuca na wielką, żeliwną patelnię trochę świeżej kiełbasy i smaży, póki mięso nie zbrązowieje. Potem wrzuca to wszystko do dużego rondla z pomidorami, przecierem pomidorowym, bazylią i oregano. Jeszcze tylko szczypta soli, odrobina pieprzu, może chlust czerwonego wina, ze dwa grube wieprzowe kotlety, a potem sos trafia na kuchenkę, żeby godzinami gotować się na wolnym ogniu. W pobliżu zawsze leży świeży bochenek, bo niby jak inaczej sprawdzić jakość sosu, niż odłamując duży kawał chleba i zanurzając go w rondlu? Oddałbym za to wszystko.

Oczywiście, tego poranka przyjemne aromaty z kuchni niespecjalnie poprawiają Johnny'emu humor. Kładzie łokcie na stole i opiera brodę na dłoni. Teresa odchodzi od kuchenki i stawia przed Johnnym filiżankę parującej kawy.

- Co to za smutna mina? - pyta, krojąc marchewkę.

Johnny tylko wzrusza ramionami i wypija łyk kawy, a Teresa wraca do lady, żeby pokroić marchewkę. Czasem dodaje ją do sosu mięsnego, żeby zrobił się trochę słodszy i gęściejszy. Johnny nigdy nie lubił tego składnika.

- Nie wrzucisz ich do sosu, prawda? - pyta w końcu.

- Może sam go ugotujesz? - odgryza się Teresa. Johnny uśmiecha się, przypominając sobie czasy, kiedy był chłopcem i obrywał w głowę za przeszkadzanie w przygotowywaniu kolacji.

- Doskonale. - Teresa zerka na jego uśmiechniętą twarz. - Już sądziłam, że przez cały dzień będziesz zachowywał się jak smutas. O co chodzi, kłopoty z którąś z twoich dziewczyn?

- Nie. Po prostu mam dziś mnóstwo roboty.

- Pewnie, że tak. W sklepie leży stos rzeczy, które muszą trafić na półki. Zrobiłabym to za ciebie wczoraj, ale byłam zbyt zajęta pilnowaniem kasy, podczas gdy ty przez całe popołudnie załatwiałeś tak zwane „sprawy”.

- Tak wyszło, nie wiedziałem, że to się przeciągnie.

- Więc lepiej biegnij teraz do sklepu i zajmij się wszystkim, zanim otworzysz. Ludzie gotowi pomyśleć, że sprzedajesz złom.

- Taa, jasne - mamrocze Johnny, wie jednak, że matka ma rację.

Wczorajszego popołudnia, kiedy wychodził, spodziewał się sporej dostawy i planował być na miejscu, żeby wszystko pozałatwiać. Skąd miał jednak wiedzieć, że sprawy tak dziwnie się ułożą? To nie jego wina, że zaiskrzyło między nim i Vicki. Ale im bardziej sobie wmawia, że nie on jest za to odpowiedzialny, tym większe ma wyrzuty sumienia. Przez całą noc przewracał się z boku na bok, dręczony myślą, że uprawiał seks z kochanką ojca - zmarłego ojca. Jak wyjaśnić coś takiego własnej matce? Gorsza sprawa, że mu się to podobało i jakaś ciemna siła namawia go, żeby znowu spotkać się z Vicki. Johnny ukrywa twarz w dłoniach. To chyba kara za posłuszeństwo ojcu. Co za przekłety bajzel!

- To co, opowiesz mi o tym? - Teresa wrzuca marchewki na patelnię, nalewa sobie kawy i siada przy stole obok syna.

Johnny odrywa ręce od twarzy i prostuje się na krześle. Zaczyna skubać i przygryzać kącik ust, tak samo jak ja, kiedy zastanawiałem się nad czymś, zwłaszcza nad czymś, co mnie gnębiło. Teresa zawsze podkreśla, jak bardzo ten gest kojarzy się jej ze mną. Oczywiście Johnny, jako typowy syn, za

każdym razem, kiedy to słyszy, próbuje pozbyć się tego nawyku, bo chce być sobą, a nie swoim starym. Nic z tego jednak nie wychodzi, od pewnych rzeczy się nie ucieknie. Wzdycha i przez chwilę wpatruje się w swoją filiżankę, słuchając tykania zegara i skwierczenia patelni na kuchence.

- Tęsknisz za tatkiem? - pyta w końcu.

- Johnny - Teresa uśmiecha się smutno. - Byłam żoną twojego ojca przez prawie czterdzieści lat. Wiesz, co to znaczy? To czterdzieści lat spania w tym samym łóżku, siedzenia przy tym samym stole, trzymania się za ręce, czterdzieści lat rozmów i krzyków, żartów i płaczu, przyglądania się, jak dorastają dzieci, robienia planów na przyszłość. To, kim jestem, w połowie wiąże się z twoim ojcem. Takie jest właśnie małżeństwo - od dnia, w którym się poznajecie, wasze życia splatają się w nierozzerwalny węzeł, do tego stopnia, że nie pamiętasz, które jest twoje, a które jego. Najpiękniejsze w tym jest to, iż po pewnym czasie uświadamiasz sobie, że wszystko w życiu dzielicie po połowie. Całkiem jakbyśmy stworzyli dla siebie nasz własny, mały świat.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Teresa podnosi w górę ręce w dramatycznym geście.

- Jasne, że tęsknię za twoim ojcem! - krzyczy.

- To chcę powiedzieć!

- Aha.

- Myślisz, że nie myślę o nim w każdej minucie? Czasem, kiedy jestem sama, przyłapuję się na tym, że nawet do niego mówię.

Prawdę mówiąc, raczej na mnie wrzeszczy... Johnny myśli o tym samym, ale rozsądnie trzyma język za zębami. Słyszał niejedną raz, jak Teresa ochrzaniała mnie za niewyniesione śmieci albo spędzanie czasu z kumplami. Czego się spodziewać po tylu latach małżeństwa? Mówiłem przecież, że

pewnych nawyków trudno się pozbyć. Tak czy owak, Johnny postanawia bardzo ostrożnie dobrać słowa.

- Tak, wiem, o co ci chodzi - mówi. - Czasem łapię się na tym samym, kiedy w sklepie muszę zrobić coś, z czym wcześniej nigdy nie miałem do czynienia. Dziwne.

Teresa kręci głową.

- Raczej naturalne - zauważa. - Kiedy odchodzi ktoś taki, jak twój ojciec, zabiera ze sobą kawał twojego życia. Nie da się o nim zapomnieć z dnia na dzień, a właściwie to nigdy się nie zapomina. Poza tym mam wrażenie, że ciągle jest z nami, przez cały czas nas obserwuje. Bywa, że czuję go tuż obok siebie.

Johnny zaczyna wiercić się na krześle.

- Mamo, daj spokój, bo aż mam dreszcze. - Rozgląda się niespokojnie wokół siebie.

Szczerze mówiąc, też mam dreszcze, a przecież to ja nie żyję. Skąd kobiety wiedzą takie rzeczy? Czasem się zastanawiam, czy przypadkiem Bóg nie zabrał zebra Adamowi, żeby zrobić z niego niewidzialną antenę, którą podarował Ewie i wszystkim kobietom po niej. To by wiele tłumaczyło.

- A co w tym niesamowitego? - pyta Teresa. - Nie czułbyś się lepiej, wiedząc, że ojciec na ciebie patrzy i pilnuje, żeby wszystko się dobrze układało?

- Cudownie - burczy Johnny.

- Ja uważam, że tak jest. Bo widzisz, nie wierzę, że po śmierci ludzie tak po prostu odchodzą z tego świata, w każdym razie nie całkiem. Myślę, że trzymają się blisko tych, których kochali. Nie widzimy ich ani nie słyszymy, ale oni tu są, widzą i słyszą nas. To miłe, bo została jeszcze jedna czy dwie rzeczy, których nie zdążyłam powiedzieć twojemu ojcu.

- Na przykład?

Teresa wstaje, podchodzi do kuchenki i bierze do ręki wielką drewnianą łyżkę. Podnosi pokrywkę patelni, spod której wydostaje się wielki kłęb pary. Słysząc syk, kiedy Teresa zanurza łyżkę, miesza zawartość i zmniejsza ogień.

- Twój ojciec był dobrym człowiekiem - mówi, siadając z powrotem przy stole. - Ale miał swoje wady.

- Jakie?

- Och, głównie drobiazgi. - Teresa się uśmiecha. - Kiedy ludzie są ze sobą tak długo, to naturalne, że od czasu do czasu działają sobie na nerwy. - Milknie, a uśmiech znika z jej twarzy. - Jedno nie było takim drobiazgiem.

Johnny odruchowo się prostuje.

- Co takiego?

Teresa wzdycha głęboko.

- Kiedy twój ojciec zaczął się starzeć, trochę mu odbiło, nie z powodu wieku, ale jednak. Tobie pewnie też się to kiedyś przytrafi, tak jak większości mężczyzn. Przychodzi dzień, w którym się budzą i nagle dociera do nich, że nie mają już dwudziestu lat. Problem w tym, że chcą się zachowywać jak dwudziestolatki, choć bliżej im do sześćdziesiątki.

Johnny tylko wzrusza ramionami. Domyśla się, do czego zmierza matka, ale nie chce dodatkowo pogarszać sytuacji. Szybko przełyka resztkę kawy i czeka.

- W czym problem? - pyta w końcu.

- W tobie - odpowiada Teresa i śmieje się ironicznie.

- Co?

- Zgadza się, w tobie i tych twoich dziewczynach. Widzisz, ja i twój ojciec pobraliśmy się, kiedy byliśmy bardzo młodzi, tak się wtedy robiło. Nie czekało się do trzydziestki jak teraz. Człowiek znajdował kogoś, kogo kochał albo przynajmniej mógł pokochać, potem był ślub, dom, rodzina. Wszystko się układało, kiedy wy, dzieci, dorastałyście. Potem twoje siostry, jedna po drugiej, wyszły za mąż i założyły

własne rodziny, ty jednak dostawałeś drgawek na samo słowo małżeństwo, za to co tydzień uganiałeś się za inną dziewczuchą.

- Nieprawda - usiłuje się bronić Johnny - Z paroma dziewczynami chodziłem dłużej.

- Jasne - śmieje się Teresa. - I każdą zdradzałeś.

- Bez przesady, ślubu nie braliśmy.

- O to mi właśnie chodzi! - krzyczy Teresa i wali ręką w blat. - Twój ojciec widział, jak skaczesz z kwiatka na kwiatek, jakby nic innego cię nie interesowało. Po pewnym czasie pomyślał sobie, że może tak musi być. Wtedy właśnie zaczął pakować się w kłopoty, bo uznał, że sam powinien spróbować, póki jeszcze może.

Teraz Johnny czuje, jak włosy jeżą mu się na karku. Niespokojnie poprawia się na krześle i podnosi ręce.

- Może lepiej nie mów nic więcej - oświadcza.

- Nie. Powinieneś to wiedzieć, to ważne. Może wyciągniesz wnioski i nie popełnisz tych samych błędów.

Znowu idzie do kuchenki, podnosi pokrywkę i miesza po raz ostatni, a potem zsuwa zawartość patelni do wielkiego rondla na palniku z tyłu. Nakrywa rondel, redukuje gaz, tak jak poprzednio, i wraca do stołu.

- O jakich błędach mówisz?

- Naprawdę się nie domyślasz? - wzdycha Teresa. - Twój ojciec miał dziewczynę.

- Tatko? - Johnny robi, co w jego mocy, żeby okazać zdumienie, chociaż na jego czole pojawiają się kropelki potu. - Niemożliwe.

- Owszem, możliwe - mówi Teresa ze smutkiem. - To długo trwało, ale nigdy o tym nie wspomniałam. Sądziłam, że to taka krótka faza, przez którą musi przejść, i że się wkrótce skończy. Tyle że tak się nie stało.

- Pewnie ci się tylko wydawało. Skąd wiesz, że miał dziewczynę?

- Bo widziałam ich razem. Tylko raz, dawno temu. - W oczach Teresy pojawia się zaduma. - Pojechałam do East Side na zakupy z Marią, po kilka nowych ubranek dla jej dziecka. Zgłodniałyśmy, więc postanowiłyśmy wstąpić gdzieś na lunch, kiedy nagle spojrzałam na drugą stronę ulicy. Wtedy właśnie ich zobaczyłam, twojego ojca i jego dziewczynę. Wchodzili do restauracji.

- Daj spokój, mamó. To, że tatko zjadł z kimś lunch, nie znaczy, że cię zdradzał. Pewnie chodziło o interesy.

Jego matka chichocze.

- Usiedli przy stoliku obok okna, więc mogłam im się dobrze przyjrzeć. Uwierz mi, nie rozmawiali o interesach.

- No to pewnie było to coś zupełnie niewinnego - mówi Johnny bez przekonania. Właściwie to jestem z niego dumny, że przynajmniej się stara. - Maria też ich widziała?

- Nie. - Teresa chmurzy się jeszcze bardziej. - Zabrałam ją stamtąd, zanim miała okazję zobaczyć, jak jej ojciec robi z siebie pośmiewisko. Ja za to świetnie się przyjrzałam i do końca życia nie zapomnę tej twarzy

- I co zrobiłaś? - Johnny nieszczególnie chce usłyszeć odpowiedź.

Teresa odrobinę się rozpogadza.

- Może to dziwnie zabrzmie, ale doszłam do wniosku, że to nie jego wina. Mówiłam ci już, że mężczyźni czasem tracą rozum. Moim zdaniem, to ma coś wspólnego z genami. I chociaż cierpiałam, czułam, że twój ojciec kocha mnie całym sercem i że pewnego dnia zdołam mu przebaczyć.

Z ust Johnny'ego wydobywa się westchnienie ulgi.

- To dobrze, mamó, trzeba zostawić to za sobą. Takie rzeczy się zdarzają. Dobrze, że im wybaczyłaś.

- Nie im - mówi Teresa złowroźnie. - Zdołałam wybaczyć twojemu ojcu, ale w życiu nie wybaczę tej małej putanna. Stałam na chodniku, patrzyłam na nią i przysięgam

sobie wtedy, że jeśli jeszcze kiedykolwiek ją zobacze, uduszę gołymi rękami.

Johnny czuje, że cała krew odpływa mu z twarzy, teraz naprawdę wygląda jak duch. Patrzy, jak jego matka wstaje i idzie do lady, po czym bierze do ręki wielki nóż. Z całej siły zatapia go w bochnie chleba, odcina sporą piętke i zanurza ją w gęstym czerwonym sosie.

- Proszę, spróbuj - zachęca Johnny'ego łagodnym tonem, jakby ni z tego, ni z owego zapomniała o całej sprawie. - Kiepsko wyglądasz, powinienes coś zjeść.

Johnny przełyka kęs pysznego chleba i zmusza się do uśmiechu, choć ledwie czuje smak. Teresa, nadal z nożem w dłoni, też się uśmiecha. Kiedy wraca do gotowania, Johnny patrzy na nią i myśli o lekcjach angielskiego w liceum, próbując przypomnieć sobie, jaki koniec spotkał króla Odupa.

ROZDZIAŁ trzynasty

Chyba jestem wam winny wyjaśnienie. Po pierwsze, w imieniu całej męskiej populacji, zgłaszam sprzeciw wobec oświadczenia Teresy, że mężczyźni wariują z powodu genetycznego defektu. Przyznaję, czasem robimy rzeczy, których tak naprawdę nie planujemy, ale nie ma to nic wspólnego z chromosomami. Mam teorię, że to spisek, który uknuł Bóg wraz z kobietami, żeby mogły robić nam na złość, kiedy im się tylko spodoba, ale jeszcze nie udało mi się tego udowodnić. Nadal nad tym pracuję.

Po drugie, Teresa trochę minęła się z prawdą, kiedy powiedziała Johnny'emu, że postanowiła ot, tak wybaczyć mi tamtego popołudnia w East Side. Może w końcu faktycznie tak było, ale zapomniała wspomnieć o kilku istotnych kwestiach. Na przykład o tym, jak tamtej nocy obudziłem się, bo poczułem coś dziwnego między nogami. Otworzyłem oczy i ujrzałem, że Teresa pochyła się nade mną z tym swoim złowróżbnym wyrazem twarzy, który widziałem już raz czy dwa. Od razu się domyśliłem, że nie zanosi się na nic miłego.

Unoszę nieco głowę, żeby zobaczyć, co się dzieje, i widzę, że moja żona przyciska wielki zakrzywiony nóż do tej części mojego ciała, którą nadzwyczaj sobie cenię.

- Smakował ci dzisiaj lunch, caro mio? - pyta z uśmiechem zbyt słodkim, żeby był szczery.

- Lunch? - bełkoczę, starając się nie patrzeć na nóż, ale mam z tym pewien problem.

Powinniście wiedzieć, że ojciec Teresy był rzeźnikiem, więc to chyba jasne, skąd się bierze moja nieufność.

- Tak, lunch. - Teresa przyciska ostrze trochę mocniej. - No wiesz, taki posiłek między śniadaniem a kolacją.

Czasami kobiety są jak prawnicy, którzy nigdy nie zadają pytań, nie znając z góry odpowiedzi. Facet jest na straconej pozycji, bo nie domyśla się, co go czeka, zupełnie jakby

przesłuchiwał go Perry Mason. Wracacie do domu, siadacie przy kuchennym stole, próbujecie się odprężyć, może czytacie gazetę, a wasza żona, smażąc cukinię, zaczyna gadać o jakichś głupstewkach. Słowem, wszystko jest świetnie i nagle, ni z tego, ni z owego, zadaje wam pozornie niewinne, zupełnie nieistotne pytanie. Po chwili okazuje się, że to wstęp do starannie zaplanowanego przesłuchania, i nim się obejrzycie, trafiacie na miejsce oskarżonego i bełkocze jakieś bzdury, bo jest jasne, że prokuratura zdobyła koronny dowód przeciwko wam w sprawie zbrodni, którą popełniście, choć być może nawet nie zdajecie sobie z tego sprawy. To bywa naprawdę przerażające, możecie mi wierzyć.

Leżę na łóżku, cały spocony i to wcale nie dlatego, że przed snem podkręciłem termostat. Teresa niewątpliwie wie coś, czego przynajmniej moim zdaniem nie powinna wiedzieć, ale trudno powiedzieć, co konkretnie. Jednego jestem pewien - dobór słów będzie niezwykle istotny i dlatego milczę. Tak będzie najbezpieczniej.

- Może ja ci opowiem, co robiłam w porze lunchu. - Jej głos jest przerażająco spokojny. - Byłam w East Side, razem z Marią, szukałyśmy ubranek dla dziecka.

- Na... naprawdę? - jąkam się.

- Uhm. - Palcami wolnej ręki głaszcze ostrze noża. - Już miałyśmy wstąpić na lunch i nagle przypadkiem zerknęłam na drugą stronę ulicy. Wyobraź sobie moje zdumienie, kiedy zobaczyłam jak wchodzisz do restauracji.

- Coś podobnego. - Odchrząkuję. - Co za zbieg okoliczności.

- Nieprawdaż?

Przez jakiś czas milczymy. Prawdę mówiąc, niewiele jest do dodania, oboje wiemy, że nie ma dla mnie ucieczki. Tajemnicą pozostaje tylko to, jaki rodzaj kary zdecyduje się wymierzyć mi Teresa. W tej chwili jest sędzią, ławą

przysięgłych i katem w jednej osobie. Sądząc z wyrazu jej oczu, nie ma co błagać o litość, więc tylko czekam.

- Teraz ci wytnę numer, panie z kryzysem wieku średniego - mówi w końcu.

- Wolałbym, żebyś niczego nie wycinała - odpowiadam nerwowo, nie odrywając wzroku od noża.

- Udam, że dziś po raz pierwszy spotkałeś się z tą osobą. Rozumiesz?

Tylko kiwam głową. Być może jest cień nadziei, że wyjdę z tej konfrontacji bez fizycznych obrażeń.

- Wobec tego masz dwa wyjścia. - Teresa zerka w kąt pokoju, gdzie stoi walizka. - Chcesz się przekonać, co cię w życiu ominęło? Jesteś już spakowany, zabieraj walizkę i przenieś się do swojej przyjaciółki - ale nigdy, przenigdy tu nie wracaj.

- Albo? - pytam słabym głosem.

- Zostań. Jeśli jednak kiedykolwiek zacznę podejrzewać, choćby przez jedną sekundę, że znowu się z nią spotykasz, nie będę taka wielkoduszna. I w takim wypadku nie radziłabym ci spać w tym domu, dopóki jest tu choć jeden ostry przedmiot, który może się dostać w moje ręce. Capisc'?

- Absolutnie - zapewniam ją.

- To jak będzie?

Jakbym w ogóle musiał się zastanawiać!

- Zostaję - mówię natychmiast.

- Dobrze - oznajmia Teresa tym przerażająco kojącym głosem, którym czasem posługują się oprawcy. - A teraz idź spać i będziemy udawali, że ten incydent był tylko złym snem, w porządku?

- W porządku - odpowiadam posłusznie. Gasimy światło i zamykam oczy, ale jeszcze bardzo długo nie mogę zasnąć.

ROZDZIAŁ czternasty

Życie toczy się dalej.

Jest niedzielny poranek i Teresa właśnie zmierza do piekarni. Pogoda jest przepiękna, niebo błękitne, powietrze rześkie. Wszystko pokrywa mgiełka wilgoci po nocnej ulewie, ale teraz słońce połyskuje na liściach drzew i dachach budynków.

Cieszę się, że Teresa zaczęła wychodzić z domu. Krótki spacer do piekarni Nocellego zawsze stanowił część jej niedzielnego rytuału. Msza o ósmej, piekarnia, a potem przygotowywanie niedzielnego obiadu. Nigdy nie było żadnego odstępstwa, odkąd jednak mnie nie ma, nie robiła żadnej z tych rzeczy. Zaczynałem się już niepokoić, więc ten powrót do utartych zwyczajów to dobry znak.

Teresa planuje zakup winnych herbatników do kawy i dobrego, świeżego bochna chleba, żeby pasował do sosu mięsnego, który przygotowała wczoraj. Cała banda, czyli dzieci z rodziną, zjawi się po południu na obiedzie, więc Teresa doszła do wniosku, że musi kupić dodatkowy bochenek i jeszcze ciasta na deser.

Cieszę się, że wszyscy znowu będą razem, ale z jej twarzy nie znika wyraz zadumy. Spacer po ulicach miasta przypomina jej dawne czasy. Od samego początku sklep żelazny Catiniego był otwarty w niedzielne poranki, na tyle długo, żeby klienci zdążyli kupić potrzebne im rzeczy, a potem się zamykał, żebym ja zdążył do domu na obiad. Ile razy wspólnie otwieraliśmy sklep? Nawet nie pytajcie. Na myśl o tych wszystkich latach i wspólnych niedzielnych obiadach Teresa się uśmiecha. Przychodziła cała rodzina, zbierała się wokół stołu, śmiejąc się i rozmawiając. Po to właśnie istnieją niedziele.

Oczywiście, teraz to Johnny otwiera sklep w niedzielne poranki i Teresa zastanawia się, podobnie jak ja, czy da radę

robić to dalej, tydzień po tygodniu. Przechodzi teraz wielką życiową zmianę, nie można oczekiwać od niego zbyt wiele naraz. Dlatego Teresa tak szybko mu odpuściła, po tym, jak zniknął w piątkowe popołudnie. Myśli sobie, że nie może go trzymać na za krótkiej smyczy. Powinien czuć, że ma rodzinę, która będzie go wspierać, ilekroć powinie mu się noga. Oczywiście, jeśli ma głowę na karku, będzie patrzył pod nogi, żeby zbyt często się nie potykać.

Kiedy człowiek czuje się trochę przybity, brnie przez życie dzięki drobiazgom, temu wszystkiemu, co zwykle traktujemy jako oczywistość. Czymś takim jest dla Teresy zapach chleba z pieca Nocellego. Uwielbiałem ten zapach, zresztą pokażcie mi kogoś, kto go nie lubi. Nieważne, kim jesteście i o co wam chodzi, zapach chleba sprawia, że zaczynacie wierzyć w życie. Nawet teraz niemal czuję na języku tę chrupką skórkę i parujący biały miąższ. Jeden rzut oka na Teresę podpowiada mi, że ten ciepły, cudowny aromat zdecydowanie poprawia jej humor.

Dziwne, takie rzeczy dzieją się tysiące razy na dzień, jednak większość z nas albo w ogóle ich nie zauważa, albo nie przywiązuje do nich żadnej wagi. Na przykład, zauważyliście może, że kiedy wracacie do domu po koszmarnym dniu w biurze i czujecie się jak rozgotowana nitka cappellini, prawie zawsze leci w radiu jedna z waszych ukochanych piosenek? Nagle śpiewacie razem z radiem, niczym się już nie przejmując. To nie przypadek. A słodki zapach wiosennych kwiatów, który wita was, gdy zwleciecie się rano z łóżka, chociaż macie wielką ochotę nakryć głowę kołdrą? Albo chłodny wietrzyk, który zrywa się z nienacka podczas koszmarnego upału w lecie? Albo kolor liści jesienią, który was porusza, nawet jeśli jest wam przykro, że lato odeszło? No i płatki śniegu, oczywiście. Zdarzyło się wam kiedyś przystanąć i pomyśleć o płatkach śniegu? W środku zimy

wyglądacie przez okno, wszystko wydaje się jałowe, zamrożone i pozbawione życia. I kiedy już myślicie, że zaczniecie wspinać się po ścianach z rozpaczy i że na dobre utkwiliście w domu, nagle pojawia się jeden jedyny płatek śniegu i przykleja się do okna, a wy na niego spoglądacie. Im uważniej patrzycie, tym lepiej widać, że nie jest to byle jaki, nic niewart biały pyłek. Nie, to maleńkie dzieło sztuki, które wyfrunęło z ręki Boga i pokonało szare, martwe niebo, by wylądować na oknie tuż przed waszym nosem, żebyście mogli go zobaczyć i docenić. Wtedy właśnie wyglądacie na przykryte śniegiem podwórze i dociera do was, że wszystko jest przysypane tymi dziełkami sztuki, które tylko czekają na odkrycie, i już macie lepszy humor. Mówcie, co chcecie, ja jednak wierzę, że Bóg wymyślił te wszystkie drobiazgi, żeby pomóc nam się pozbierać do kupy, kiedy przechodzimy ciężkie chwile w życiu i przydałaby się nam miła odmiana. Trzeba po prostu uważnie się rozglądać.

Teresa, już w lepszym nastroju, popycha drzwi wejściowe do piekarni. Zona piekarza uśmiecha się na jej widok i biegnie do lady.

- Jak się pani miewa, pani Catini? - pyta. - Nie widzieliśmy pani od śmierci pani biednego męża. Tak nam przykro!

- Dziękuję, pani Anno.

- To był szok dla nas wszystkich - ciągnie Anna. - Bardzo żałowaliśmy, że nie mogliśmy przyjść na pogrzeb, nie udało się znaleźć nikogo do popilnowania sklepu. Podobno ojciec Giuliano wygłosił piękną mowę.

- Cudowną - potakuje Teresa.

Anna wychyla się ku drzwiom do kuchni.

- Hej, Vito! - woła. - Przyszła pani Catini, od tygodni jej nie widzieliśmy.

Vito to niski, chudy człowieczek o przenikliwie błękitnych oczach i włosach białych jak śnieg. On i jego żona siedzą w tym biznesie, odkąd pamiętam. Dziwne, ale nie wydaje mi się, żebym choć raz widział któreś z nich poza piekarnią. Pewnie i tak bym ich nie rozpoznał, zwłaszcza Vita. Wyłania się z kuchni z ramionami i fartuchem jak zawsze przyprószonymi mąką. Inaczej go sobie nawet nie wyobrażam.

- Dzień dobry, pani Catini - wita się uprzejmie. - Miło panią widzieć. Jak się pani miewa po śmierci męża?

- Całkiem dobrze, dziękuję. - Teresa wzrusza ramionami.
- Wie pan, jak to jest.

- Wspaniale pani wygląda. - Anna klepie Teresę po ręce. - Vito ma rację, że dobrze panią widzieć. Niech pani nie marnuje czasu, tylko poszuka sobie nowego mężczyzny, zanim będzie za późno.

- Anna! - wykrzykuje Vito.

Anna konspiracyjnie mruga do Teresy.

- A co ma robić, tkwić samotnie w domu do końca życia? Wy, mężczyźni, jesteście tacy sami, myślicie, że jesteście niezastąpieni. - Odwraca się i szturcha męża. - A teraz wracaj do kuchni, do roboty.

Vito przewraca oczami i posłusznie maszeruje ku piecom.

- Do zobaczenia, pani Catini, miłego dnia! - woła przez ramię.

Teresa śmieje się, ma wrażenie, że po raz pierwszy od wieków. Anna odwraca się do niej i też się śmieje. Po chwili jednak znowu klepie Teresę po dłoni, ze szczerą troską w oczach.

- Jak się pani miewa? - pyta. - Ale tak naprawdę.

- Och. - Teresa wzrusza ramionami. - Staram się czymś zająć, pani Anno, dzięki temu nie myślę o pewnych rzeczach.

- Tak trzymać. Czym mogę dzisiaj służyć? Biskopoty, czy może pyszne minipizze, które Vito właśnie upiekł?

Teresa wybiera winne herbatniki, minipizze, dwa ładne duże bochny chleba i pudełko ciastek. Anna wkłada to wszystko do torby i po chwili Teresa wychodzi z piekarni.

Zamiast wrócić do domu, kieruje się w stronę sklepu. Myśli sobie, że może wpadnie do Johnny'ego, zobaczy, jak sobie radzi, zanim jednak dojdzie na miejsce, kupuje dwie kawy na wynos. Kiedy w końcu wchodzi do sklepu, widzi, że jest pusty, tylko Johnny siedzi za ladą i gapi się w niedzielną gazetę. Wygląda okropnie, ma potargane włosy i zaspane oczy.

- Kiepski poranek? - pyta Teresa. Johnny tylko wzrusza ramionami i ziewa.

- Masz. - Podaje mu kubek z kawą. Johnny błyskawicznie się ożywia.

- Skąd wiedziałaś, że właśnie tego mi trzeba?

- Ptaszek mi wyśpiewał. - Teresa otwiera torebkę. - Zjedz do tego herbatnika.

Johnny łapie winny herbatnik i zaczyna go pogryzać. Wkrótce trochę się ożywia, w samą porę, bo po chwili drzwi otwierają się szeroko i do sklepu wchodzi dwóch klientów. Johnny zrywa się z miejsca, żeby ich obsłużyć, a Teresa uznaje, że pora na nią, więc zbiera rzeczy i rusza do drzwi.

- Nie spóźnij się na obiad - mówi do syna. - Jasne - odpowiada Johnny, ale jest tak zajęty, że nawet nie zauważa wyjścia matki.

Teresa uśmiecha się, patrząc, jak jej syn pracuje. Potem się odwraca i idzie do domu, żeby zacząć przygotowania do obiadu.

Jak wspomniałem, życie toczy się dalej.

ROZDZIAŁ piętnasty

Przy stole szaleje pandemonium, jak zawsze, ale Teresa wkracza z wielką misą ziti cała w uśmiechach. Jak mogłaby się nie uśmiechać, skoro jadalnia znowu jest wypełniona ludźmi? Wszyscy mówią jednocześnie, dzieciaki ścigają się wokół stołu. Po raz pierwszy od pogrzebu przygotowała niedzielny obiad. To znak, że wszystko wraca do normalności.

Teresa stawia wazę na brzegu stołu, każe wszystkim usiąść i rozkłada talerze. Za nią na ścianie wisi mój portret, więc kiedy zaczyna nakładać potrawy, patrzę jej przez ramię.

- Mamo, ja to zrobię - proponuje Maria.

- Siadaj - rozkazuje jej Teresa tym swoim miłym, ale stanowczym głosem, którego używa, gdy zamierza postawić na swoim. - Ja tu jestem panią domu.

Wszyscy się uśmiechają, bo tą jedną uwagą Teresa właśnie udowodniła, że z pewnością nie zamieni się w bezradną wdowę, która pograży się w beczynności. Ile razy widzieliście coś podobnego? Tak było z ciocią Teresy, Clarą, po śmierci wuja Jacka - nagle ta dotąd samodzielna kobieta nie mogła już prowadzić samochodu. Trzeba ją było wozić na targ, do fryzjera, lekarza, dosłownie wszędzie. Zrobiła się naprawdę nie do zniesienia.

Nie ulega wątpliwości, że Teresa nie dopuści do tego, by jej przytrafiło się to samo, dobrze jednak, że poinformowała o tym rodzinę. Może i na pewien czas świat stanął na głowie, ale teraz wszystko będzie dobrze, Teresa już tego dopilnuje.

Kiedy wszyscy siedzą na swoich miejscach, Teresa idzie do kuchni i po chwili wraca z półmiskiem parujących wieprzowych kotletów i kielbasy. Stawia naczynie na środku stołu tuż obok koszyka z chlebem i każe innym się częstować. Zadowolona, że wszystko jest jak trzeba, w końcu siada u szczytu stołu i podnosi kieliszek z winem.

- Salute - mówi do rodziny. - A teraz cisza i smacznego.

- Salute! - odpowiada reszta radosnym chórem, a potem zajmuje się zawartością swoich talerzy.

Przez kilka minut w jadalni słyszeć wyłącznie odgłosy jedzenia, niedługo jednak wszyscy znowu zaczynają gadać.

- Hej, Johnny - odzywa się wuj Victor, który niezupełnie przypadkowo postanowił wpaść dzisiejszego popołudnia, tuż przed obiadem. - Co się z tobą dzieje? Wyglądasz, jakbyś zasypiał na stojąco.

- Tak. - Gina szturcha brata w żebra. - I podobno zostawiłeś mamę w sklepie na całe piątkowe popołudnie?

- Byłem zajęty - mamrocze Johnny.

- A co, nowa dziewczyna? - drażni się z nim siostra. - No już, mów.

- Nie mam nic do powiedzenia - oznajmia Johnny i czerwienieje. - Dajcie mi jeść.

Szwagrowie Johnny'ego patrzą na siebie i zaczynają chichotać. Po chwili dołącza do nich wujek Victor.

- Zamknijcie się - dodaje Johnny, ale jest już za późno, twarz go zdradziła.

Chwyta kromkę chleba z koszyka i odgryza wielki kęs. Teresa posyła mu jedno ze swoich znaczących spojrzeń.

- No już, powiedz nam, kim jest ta osoba, która odciąga cię od obowiązków - nakazuje. - To ja utkwiałam na cały dzień w sklepie, więc chyba mam prawo wiedzieć, nie uważasz?

Johnny rozgląda się po twarzach ludzi przy stole i przewraca oczami. Potem znowu wgryza się w chleb. Jeszcze raz się rozgląda, żeby sprawdzić, czy mu odpuścili, ale widzi, że nadal czekają na odpowiedź, więc tylko wydaje z siebie niezrozumiały pomruk.

- Yyynktazn.

- Co on powiedział? - dopytuje się Nina.

- Przełknij i mów jak człowiek! - krzyczy Teresa.

Johnny głośno przełyka.

- To nikt ważny - przyznaje w końcu. - Rozumiecie? Nic wielkiego, dopiero ją poznałem. Nic się nie wydarzyło, po prostu straciłem poczucie czasu i tyle. Mogę teraz zjeść w spokoju?

- No, Johnny, nam możesz powiedzieć - upiera się Nina.

- Właśnie - wtrąca Gina. - Nie puścimy pary z ust, jeśli o to ci chodzi.

- Taa, jasne - mamrocze Johnny i wpycha do ust widelec z ziti.

Wszyscy znowu chichoczą. Teresa pozwala im trochę pomęczyć Johnny'ego, zanim zdecyduje się na interwencję. Dobrze wie, że nie ma sensu dręczyć chłopaka, chociaż jego siostry to uwielbiają. Kiedy chodzi o kobietę, Johnny nigdy nie odpowie wprost.

- Dajcie mu spokój - mówi Teresa i skinieniem głowy nakazuje pozostałym powrócić do jedzenia.

Po obiedzie mężczyźni i dzieci przechodzą do salonu oglądać mecz, a Teresa z córkami sprząta ze stołu, żeby podać deser. Po tylu latach wszystkie cztery opanowały rytuał niemal do perfekcji, każda porusza się po kuchni i jadalni z większą precyzją niż komandosi na manewrach. Różnica polega na tym, że komandosi tyle nie trajkoczą: Kiedy Teresa zsuwa resztki jedzenia do misek i nakrywa je plastikową folią, córki zbierają talerze i sztućce, i kładą je obok zlewu. Nie przerywając rozmowy, stają w rzędzie, żeby wszystko umyć, opłukać i wysuszyć.

Teresa wzdycha z zadowoleniem i nastawia wielki dzbanek kawy. Dobrze znowu słyszeć rozmowy i śmiech dziewcząt. Patrzenie, jak radośnie pracują, sprawia, że znowu ma poczucie ciągłości - życie toczy się dalej. Jeśli chodzi o nią, czasem wystarczy, żeby weszła do kuchni, a wszystko samo zaczyna się układać.

Nie zrozumcie mnie źle, to nie tak, że Teresa jest przykuta do kuchenki, jednak zawsze uważała kuchnię za zupełnie wyjątkowe miejsce. Poza tym, że właśnie tu przygotowuje się posiłki, kuchnia jest również centrum niemal wszystkich rodzinnych wydarzeń. Sami pomyślcie, dokąd idziecie natychmiast po powrocie do domu? Do kuchni, prawda? Sprawdzacie w lodówce, co moglibyście przegryźć jeszcze przed kolacją. Patrzą na bloczek obok telefonu, żeby sprawdzić, czy ktoś do was dzwonił. Może siadacie przy stole, żeby przejrzeć gazetę, kiedy dzieci odrabiają lekcje. Zerkając na nagłówki, rozmawiacie o pogodzie albo o tym, co w szkole, albo o planowanych wakacjach. Mówicie, słuchacie się nawzajem i po prostu jesteście ze sobą, i to wzmacnia waszą rodzinę. To nie żart, w kuchni naprawdę dzieje się wiele dobrego.

Tak właśnie myśli Teresa, zwłaszcza podczas sprzątania po obfitym obiedzie, gdyż wtedy kuchnia zamienia się w ten tajemniczy mały świat, dostępny wyłącznie dla kobiet. Bez mężczyzn mogą swobodnie rozmawiać o tych wszystkich ważnych i nieważnych sprawach, dzielić się najintymniejszymi przemyśleniami albo zwyczajnie plotkować, co nie byłoby możliwe w obecności mężów i synów. Mężczyźni zawsze myślą, że są bardzo sprytni, nie biorąc udziału w tym poobiednim rytuale, ale zdaniem Teresy nie wiedzą, co tracą. Z kolei moim zdaniem leżenie z pełnym żołądkiem na kanapie i oglądanie meczu też ma swoje zalety. Dla każdego coś miłego. Chichot trzech dziewcząt wyrywa Teresę z zamyślenia.

- Co za banda chiacchieressas! - wykrzykuje. - Jak w ogóle możecie cokolwiek zrobić, skoro ciągle gadacie? I co was tak śmieszy?

- Och, nic - zapewnia ją Gina. - Rozmawialiśmy o czymś.

- Raczej o kimś - Teresa uważnie wpatruje się w całą trójkę. - No już, też chcę wiedzieć.

- To naprawdę nic, mamó - powtarza Gina. - Śmiałyśmy się z czegoś, co powiedziała Nina.

- To nie ja, to Maria! - krzyczy Nina. - Ja? - woła Maria. - To była Gina.

Teresa z trudem powstrzymuje się od śmiechu. Ileż to razy odgrywały tę scenę, i to od wczesnego dzieciństwa. Krzyżuje ręce na piersi i tupiąc nogą, mierzy je spojrzeniem, które mówi: „Lepiej, żebym zaraz się dowiedziała, o co chodzi”. Dziewczyny milkną i przez moment słychać tylko gulgot parzącej się w dzbanku kawy i harmider z salonu, gdzie Johnny i reszta bawią się z dziećmi.

- Okej. - Gina usiłuje zachować powagę. - Śmiałyśmy się, bo jedna z nas zaczęła się zastanawiać, czy kiedyś kogoś sobie, no wiesz, znajdziesz.

- Kogoś?

- No tak, kogoś.

- Co za kogoś?

- Kogoś, z kim mogłabyś być!

- A, chodzi wam o chłopaka. - Teresa udaje, że jest oburzona. - Z tego się tak śmiałyście?

- No tak. - Gina nie może ukryć szatańskiego uśmiešku.

- Hm. A dlaczego to takie zabawne? Skąd wiecie, że już teraz nie mam chłopaka?

- Aaaaa! - krzyczy Maria i zakrywa uszy rękami. - Mówiłam wam, że nie chcę tego słyszeć!

- A to niby dlaczego? - śmieje się Nina. - Niby co, mamie do końca życia nie będzie wolno się odezwać do żadnego faceta?

- Moim zdaniem byłoby cudownie - oznajmia Gina i dodaje ostrożnie: - To znaczy, kiedy przyjdzie odpowiednia

chwila, mama powinna sobie kogoś znaleźć. Dlaczego miałyby być sama?

- Chcesz powiedzieć, że mama powinna wyjść za jakiegoś faceta? - upewnia się Maria.

- Może wszystkie trzy raczycie posłuchać, co wygadujecie? - krzyczy Teresa. - Dio mio, przecież ja tylko żartowałam!

Zapada cisza, po czym wszystkie wybuchają śmiechem.

- Bogu dzięki - wzdycha Maria. - Teraz bym sobie z tym nie poradziła.

- Szczerze mówiąc, ja też nie - przyznaje Gina.

- Ani ja - dodaje Nina.

- Rozumiem, że wniosek przeszedł jednogłośnie. - Teresa kiwa głową. - Bo ja też nie.

Ani ja, dodaję dla zasady, chociaż nikt nie musi o tym wiedzieć. Zatrzymam to dla siebie.

- Ale poważnie, myślisz, że kiedyś mogłoby tak być? - pyta Gina.

- Ach. - Teresa podnosi ścierkę do naczyń. - Kto wie, co wymyślił Pan Bóg. Jak same mówiłyście, kiedy przyjdzie odpowiednia chwila, może się nad tym zastanowię, teraz jednak mam wokół siebie mnóstwo facetów i wszyscy siedzą w salonie, czekając na deser. Co wy na to, żebyśmy skończyły z tym sprzątaniami i wreszcie podały ciasta na stół?

Po tych słowach wracają do pracy, ale rozmowy nie milkną ani na chwilę. Na szczęście nie wraca już temat znajdującej sobie męża Teresy. Może i cieszą się, że życie toczy się dalej, ale nie chciałbym, żeby toczyło się zbyt szybko.

ROZDZIAŁ szesnasty

Na czym stanąłem? Na podpatrywaniu, co u Johnny'ego, prawda? Jest październik, przyjemna pora roku w Nowej Anglii. Zawsze kochałem jesień, kiedy wszystko raptownie się zmienia. Powietrze nabiera charakterystycznego suchego posmaku, liście na drzewach zmieniają kolory. Naturalnie, dni są coraz krótsze, ale słońce wydaje się jaskrawsze i cieplejsze. Jest tak, jakby nagle wszystko się wyostrzyło i nareszcie widać, jak świat wygląda naprawdę. Wtedy właśnie, moim zdaniem, przyroda jest najpiękniejsza, mimo że wszystko powoli umiera.

Johnny jest w sklepie. Schyla się, wyciąga pudełko z różnymi nakrętkami i śrubami, po czym zrywa wieczko. Wyciąga ze środka jedno po drugim małe pudełka, otwiera je i rozkłada ich zawartość do odpowiednio oznaczonych pojemników, które biegną niemal przez całą długość alejki. Poranek był spokojny, nietypowo jak na sobotę, jednak pogoda jest dziś paskudna, ciemno, mokro i zimno. To drugie oblicze października w Nowej Anglii.

Johnny myśli sobie, że pewnie przez cały dzień będzie pusto. No i dobra, dochodzi do wniosku, gapiąc się na miarowy deszcz, który się przed chwilą rozpadał. Nie ma ochoty obsługiwać dziś tłumu klientów, poza tym nie cierpi rozkładania towaru, to go wkurza. Biorąc to wszystko pod uwagę, chyba nawet woli przez cały dzień wkurzać się w samotności. Wydaje z siebie głośny pomruk i usiłuje skoncentrować się na pracy.

Nie jest to łatwe. Od czasu tamtego wybryku z Vicki Johnny nie może poukładać sobie wszystkiego w głowie. Próbuje zapomnieć, ale ciągle o tym myśli, co doprowadza go do szaleństwa. Najgorsze jest jego zachowanie w sklepie. Bywa tak rozkojarzony, że potrafi odpłynąć w środku rozmowy albo kiedy podlicza zakupy klienta. Czasem

zapomina nabić na kasę rzeczy, które leżą na ladzie tuż przed jego nosem, przy innych okazjach żąda gigantycznej sumy za byle drobiazg. Pamiętam, jak któryś z klientów zauważył:

- Czterdzieści dolarów to sporo za opakowanie nasion trawy.

- Dwieście dolarów za łopatę? - wykrzyknął inny.

- Na pewno chce mi pan podarować tę elektryczną szlifierkę? - zapytał z nadzieją jeszcze jeden klient.

- Mannagia - jęczy Johnny za każdym razem. - Przepraszam, mam zły dzień.

Ludzie zazwyczaj są bardzo wyrozumiali. Myślą, że Johnny nie najlepiej sobie radzi, bo niedawno stracił ojca. To miłe, ale Johnny i tak czuje się jak idiota za każdym razem, kiedy mu się to przydarza.

I tak oto Johnny brnie przez dzień, zastanawiając się, czy jego ojcu przydarzało się to samo. Usiłuje powrócić myślami do przeszłości, żeby przypomnieć sobie, czy kiedykolwiek zachowywałem się równie dziwnie. Nie będę kłamał, było sporo chwil, w których nie umiałem dodać dwóch do dwóch. Kobiety mają czasem taki wpływ na nas; sztuka polega na tym, żeby niczego po sobie nie pokazywać, nawet jeśli w środku człowiek szaleje. Johnny jednak nadal traci kontrolę, kiedy sytuacja się komplikuje. Pewnie odziedziczył to po matce - oczywiście żaden z nas nigdy by jej tego nie powiedział.

Tak czy owak, dzień wlecze się niemiłosiernie, klienci wchodzą i wychodzą, ale w końcu zbliża się pora zamknięcia. Johnny przyciąga taboret do lady i zaczyna spisywać dzisiejsze paragony. Okazuje się, że mimo paskudnej pogody utarg jest nie najgorszy. Johnny bierze kilka banknotów na drobne wydatki, składa je i wpycha do kieszeni. Resztę chowa do skórzanego woreczka na depozyty, gdzie trzyma też potwierdzenia płatności kartą, dorzuca jeszcze formularz

wpłaty i zasuwa woreczek. W tej samej chwili drzwi się otwierają.

- Halo, Johnny C! - woła znajomy głos.

Do sklepu wchodzi trzech kumpli Johnny'ego z sąsiedztwa, jego przyjaciół od czasów liceum. Mają gładko zaczesane do tyłu włosy, rozpięte koszule, spod których wyzierają złote łańcuchy, słowem, są gotowi na sobotni wieczór. Znałem ich wszystkich od małego. To przyzwoite chłopaki, ale kiedy ta banda zbierze się razem, zwykle nie wynika z tego nic dobrego.

- O nie - woła Johnny pogodnie i unosi rękę.

- Nie mówcie, że to Menel Vinny i jego kompania.

- A kogo się spodziewałeś, papieża? - Vinny uśmiecha się tym swoim uśmiechem kota z Cheshire i patrzy znad ciemnych okularów.

Podchodzi do lady, a za nim podążają obaj kumple.

- Jak leci, Johnny? - pyta jeden z nich.

- Nie narzekam, Al, jest co robić - odpowiada Johnny. - A ty dalej pętasz się z tym palantem?

- Wskazuje głową Vinny'ego.

- Kto tu jest palantem? - śmieje się Vinny.

- Wy, wszyscy trzej!

Teraz wyją ze śmiechu jak stado hien. Johnny kiwa głową do ostatniego chłopaka.

- A ty jak się wytłumaczysz, Tony?

Tony jest najniższy z całej trójki, za to odstawił się od stóp do głów. Znałem jego ojca, i to bardzo wiele lat.

- Długo się nie widzieliśmy, Johnny. - Tony wzrusza ramionami.

- Za krótko - burczy Johnny. - Za każdym razem, kiedy na was trafiam, robi się niefajnie.

- Co, niby przez nas? - Vinny opiera się o ladę.

- Tak, przez was. Czego teraz chcecie?

- Wpadliśmy się przywitać i zobaczyć, czy nie wypuścisz się z nami na miasto.

- Nie macie nic lepszego do roboty, niż nawalić się w każdy weekend w nocnym klubie?

- A niby na co miałbym wydawać moje ciężko zarobione pieniądze? - śmieje się Vinny. - Poza tym od kiedy jesteś taki święty?

- Od kiedy mam na głowie ten cholerny sklep. To jak wrzód na tyłku, możecie mi wierzyć. Jestem do niczego.

- Tym bardziej powinieneś iść z nami i trochę wyluzować.
- Vinny klepie go po ramieniu.

- Uf! Nie stawaj tak blisko! - wrzeszczy Johnny i macha ręką. - Wszyscy trzej śmierdzą jak butla Aqua Velva.

- Tak, ale laski od tego wariują - mówi Al.

- O tak, już widzę, jak kobiety padają wam do stóp.

- To jak? - pyta Vinny. - Idziesz dziś z nami czy nie?

- Błagam - wzdycha Johnny. - Mózg mi jeszcze nie wrócił do formy po ostatnim razie, kiedy z wami wyszedłem. Umierałem przez tydzień.

- No chodź - namawia go Vinny. - Al właśnie dostał robotę w urzędzie drogowym, więc musimy uczcić to, że żaden z nas nigdy już nie zapłaci mandatu.

- To prawda, Al? - Johnny jest pod wrażeniem. Ja zresztą też, ciężko o taką pracę.

- Zgadza się.

- No chodź. - Vinny nie rezygnuje. - Słowo, że dziś ci odpuszczę.

- Taa, jasne. Co planujecie, chłopaki?

- Idziemy do Saint Rocco, na dzień Kolumba

- wyjaśnia Tony. - Będzie ekstra, wsuniemy bułki z kiełbasą i papryką, a potem ruszymy na miasto.

Johnny waha się przez chwilę, ale kręci głową.

- Nie, dzięki - mówi. - Dzisiaj idźcie beze mnie. Jest parę spraw, którymi muszę się zająć.

- O nie, nie mów - woła Vinny. - Na sto procent chodzi o laskę.

- Właśnie, popatrz na niego! - śmieje się Al.

- Nie potrafi tego ukryć.

- No dobra, kto to taki? - dopytuje się Tony.

- Dajcie mi spokój. - Johnny stara się ukryć uśmiech. Sięga pod ladę i wyciąga garść tanich breloczków do kluczy, które sprzedajemy przy kasie. Ciska nimi w chłopaków, a oni próbują uskakiwać.

- Wynocha z mojego sklepu, łajzy!

- Dobra, dobra, idziemy - rechocze Vinny.

- Tylko nie zapomnij, kto jest twoim prawdziwym przyjacielem, kiedy ta laska cię rzuci, jak wszystkie inne przed nią.

- Spadać! - wrzeszczy Johnny.

Nadal się śmiejąc, wszyscy trzej maszerują alejką do wyjścia. Johnny idzie za nim do drzwi, po czym wywiesza tabliczkę ZAMKNIĘTE. Zanim jednak zdąży zaryglować, Tony otwiera drzwi i wtyka głowę do środka.

- Hej, Johnny, zapomniałem cię o coś spytać - mówi. - Jest szansa, że załatwisz mi parę biletów na walkę Pazienzy za parę tygodni?

- Dlaczego mnie o to pytasz? - dziwi się Johnny. - Podobno mają jeszcze kupę biletów w Civic Center.

- Tak, ale wszystkie dobre miejsca przy ringu już poszły. Pomyślałem sobie, że możesz kogoś znać, tak jak kiedyś twój stary. No wiesz, potrafił załatwić bilety na wszystko. Pamiętam, jak kiedyś dał mi bilety na Sinatrę, chociaż wyprzedaly się parę tygodni wcześniej, a przy innej okazji załatwił nam wszystkim darmowe wejście na zawody. Niesamowite.

- Chciałbym ci pomóc, Tony, ale nie jestem moim ojcem.
- Spoko, pomyślałem tylko, że nie zaszkodzi spróbować.
- Wybacz.
- Nie ma problemu. - Tony rusza się z miejsca, ale znowu nieruchomieje. - Ale wiesz, twój ojciec... Był najlepszy.
- No raczej.

Tony kiwa głową i odchodzi, a Johnny idzie do lady skończyć rozliczenie dzienne. Nagle obraca się na pięcie, gdy słyszy, że drzwi znowu się otwierają i pojawia się w nich głowa Tony'ego.

- Na pewno nie chcesz z nami iść?
- Spadaj stąd! - wrzeszczy Johnny.
- Dobra, dobra - śmieje się Tony.

Szybko zamyka drzwi i po chwili dogania Vinny'ego i Ala.

Później, kiedy Johnny już skończy zamiatanie i upewni się, że wszystko leży na swoim miejscu, wkłada kurtkę, gasi światła i rusza do drzwi. Nadal jest mokro i zimno, chociaż mżawka odpuściła. Zamyka drzwi i wychodzi na chodnik. Woreczek depozytowy z utargiem trzyma pod pachą i przystaje na moment, zastanawiając się, co dalej.

Na ulicy zapalają się latarnie, jedna po drugiej, a w ich łagodnym świetle płyty chodnikowe zdają się lśnić. Całkiem ładnie to wygląda, ulica przypomina rzekę światła. Wzrok Johnny'ego pada na Bento's, kwiaciarnię po drugiej stronie ulicy. To mili ludzie, są tu od lat. Pani Bento, właścicielka, też przymierza się do zamknięcia sklepu. Johnny widzi ją przez okno, jak wkłada kwiaty do lodówki, i nagle przychodzi mu do głowy pewien pomysł. Z sercem walącym jak młot rusza przed siebie, ale opanowuje się i znowu staje.

- Co ja, zwariowałem? - mamrocze pod nosem, próbując się zebrać do kupy. - Nikomu nie kupię dziś kwiatów.

Odwraca się i rusza na tyły budynku, gdzie zaparkował. Wskakuje do auta i zanim uruchomi silnik, zerka w lusterko. Jeśli się pośpieszy, zdoła zostawić utarg w banku i znaleźć Vinny'ego i resztę, po czym iść razem z nimi na bułki z kiełbasą i papryką. To będzie jeszcze jedna zwykła sobotnia noc na mieście.

Jeśli się pośpieszy.

Wrzuca wsteczny, wyjeżdża z parkingu i rusza ulicą, ale ledwie mija sklep, hamuje z piskiem opon. Ma wrażenie, że samochód sam postanowił się zatrzymać. Tak czy owak, Johnny wciska hamulec w chwili, gdy widzi, że na chodniku stoi staruszek i sprzedaje kwiaty z paki starej furgonetki. Widok tego starego człowieka pochylającego się nad bukietami dziwnie go porusza. Zapominając o uczcie, kiełbasie, paprykach i złożeniu utargu, Johnny wyskakuje z auta i podbiega do mężczyzny.

Jest stuprocentowo pewny, że nigdy nie widział tego staruszka, ale kiedy podchodzi bliżej, mężczyzna wydaje mu się dziwnie znajomy. Błysk w jego oku kogoś Johnny'emu przypomina, jednak nie może sobie przypomnieć, kogo.

- Proszę nic nie mówić - odzywa się staruszek, zanim Johnny zdąży otworzyć usta. - Dobrze wiem, czego panu trzeba.

Odwraca się i zaczyna ostrożnie rozgarniać kwiaty, wybierając najpiękniejsze.

- Skąd pan wie, czego mi potrzeba? - pyta Johnny z rozbawieniem.

- Ajaj. - Starszy pan wymachuje ręką. - Młody śpieszy się gdzieś w sobotni wieczór? Łatwo zgadnąć.

Johnny chichocze.

- To nie tak, jak pan myśli - mówi po chwili. Staruszek prostuje się i zaczyna owijać kwiaty.

- Tylko piątka za cały bukiet. A dzięki nim jakaś dziewczyna będzie dzisiaj bardzo szczęśliwa.

- Taa, jasne. - Johnny wręcza mu banknot dziesięciodolarowy. - Proszę zatrzymać resztę.

- Ja na pewno będę szczęśliwy. - Staruszek chowa pieniądze do portfela.

Johnny rusza do samochodu, ale nagle przystaje i odwraca się do sprzedawcy.

- Czy ja pana znam? Starszy pan się uśmiecha.

- Może - mówi. - Od dawna sprzedaję tu kwiaty.

- Ale ja nigdy nie widziałem tutaj żadnych kwiatów.

- Może pan nigdy nie patrzył.

Johnny tylko wzrusza ramionami i idzie do auta. Wskakuje za kierownicę, zawraca na środku ulicy i odjeżdża. Dzieciak wiecznie się śpieszy, wiecznie gdzieś biegnie, nigdy nie myśli o tym, co robi w danej chwili. Tak to już czasem bywa, kiedy jest się młodym, zresztą nie tylko, starym też się to przytrafia. Tak jak wspomniałem, wszyscy żyjemy z chwili na chwilę.

ROZDZIAŁ siedemnasty

Kiedy Johnny naciska dzwonek, czuje, że przeszywa go dreszcz. Nic dziwnego, w końcu jest zimno i mży. Johnny otrząsa się i stawia kołnierz kurtki, po czym czeka przez chwilę i ponownie dzwoni, jednak nadal nikt nie otwiera. Wyciąga rękę, żeby spróbować jeszcze raz, ale się rozmyśla.

- Kiepski pomysł - mamrocze pod nosem.

Zanim jednak zdąży obrócić się na pięcie i odejść, drzwi się otwierają. Vicki stoi w progu, ściskając w dłoni kurtkę i parasol. Na widok kwiatów w ręce Johnny'ego robi taką minę, jakby nagle zrobiło jej się słabo, i wzdycha ze zniecierpliwieniem. Johnny tylko wręcza jej kwiaty i się cofa.

- Johnny... - zaczyna Vicki.

- Tylko sobie nic nie wyobrażaj - przerywa jej Johnny natychmiast. - To na zgodę, więc się nie wkurzaj. Nie przyszedłem, żeby cię dręczyć czy coś, po prostu kiepsko się czułem przez to, co się stało poprzednio. Męczyło mnie to, odkąd wyszedłem, i jeszcze to, co wygadywałem... Sam nie wiem, chyba próbuję przeprosić, i tyle. Jeśli chcesz o tym pogadać, to ja też, ale jeśli nie chcesz, to w porządku. Po prostu musiałem to z siebie wyrzucić.

Vicki milczy i patrzy na niego pytająco. Johnny dochodzi do wniosku, że nie ma nic więcej do powiedzenia, wzrusza więc ramionami i zaczyna się wycofywać.

- Nigdy nie przyniósł mi kwiatów - mówi Vicki nieoczekiwanie.

Johnny odwraca się do niej.

- Co takiego?

- Twój ojciec. Nigdy nie przyniósł mi kwiatów.

- Niby co mam powiedzieć? Nie jestem swoim ojcem.

- A ja nie jestem twoją matką. Johnny odrobinę się odpręży i uśmiecha.

- To chyba znaczy, że nie muszę sobie zawracać głowy królem Edypem, co?

- Chyba nie. - Vicki odpowiada mu uśmiechem, a potem unosi kwiaty i je wacha. Muszę przyznać, że staruszek zrobił niebrzydki bukiet. - Bardzo ładne, dziękuję.

- Proszę bardzo.

Stoją nieruchomo i nic nie mówią.

- I co teraz? - odzywa się w końcu Vicki.

- Sam nie wiem. Miałem nadzieję, że wstąpimy na kawę i może trochę pogadamy, ale nie ma sprawy. Widzę, że gdzieś idziesz, więc może kiedy indziej.

Vicki wyraźnie się waha.

- Rzeczywiście, muszę iść w pewne miejsce - przyznaje w końcu. - Ale wstąpić na kawę zdążę. Powinniśmy porozmawiać.

- Rozmowa nie zaszkodzi, nie?

- Raczej nie.

- To dobrze - mówi Johnny

Wsuwa ręce do kieszeni i wbija wzrok w ziemię. Dopiero teraz uświadamia sobie, że właściwie nie przemyślał starannie całej tej sprawy. Typowy sposób postępowania mojego syna.

- Chcesz iść w jakieś konkretne miejsce? - pyta.

- Tak - odpowiada Vicki ku jego uldze. - Znam miły lokal.

- Super. - Johnny wskazuje głową samochód. - Możemy podjechać, jeśli masz ochotę.

- Dobrze, tylko wstawię kwiaty do wody.

Vicki znika na chwilę w mieszkaniu. Po chwili wraca, zamyka za sobą drzwi i oboje ruszają do auta. Johnny otwiera przed nią drzwi, a kiedy Vicki wsiada, obrzuca spojrzeniem jej smukłą sylwetkę i wdycha zapach perfum. W tej samej chwili dociera do niego, że to będzie nieco bardziej skomplikowane,

niż zakładał. Z trudem przetyka ślinę i pośpiesznie przechodzi na drugą stronę samochodu.

- Wiesz, Johnny - odzywa się Vicki. - Nie musimy robić tego teraz, jeśli nie jesteś gotowy.

Johnny zapala silnik.

- Nie. - Kręci głową. - Może być teraz. Jestem gotowy, jeśli ty też jesteś.

Łatwo powiedzieć, ale tak naprawdę wcale nie czuje się gotowy. Wcale mu się nie dziwię.

ROZDZIAŁ osiemnasty

Johnny i Vicki siadają w małej kawiarence w środku East Side, na Thayer Street. To jedno z tych nowych miejsc, które w ostatnim czasie wyrastają jak grzyby po deszczu. Śmiać mi się chce, bo mają tam ze dwieście pięćdziesiąt rozmaitych gatunków kawy. Dawniej wchodziło się do kawiarni, zamawiało kawę i dostawało się pocziwą starą kawę - nieważne, w którym miejscu na ziemi byliście. Teraz jednak nie da się już zamówić kawy. Najpierw musicie powiedzieć, czy chcecie mokkę, kawę orzechową, waniliową czy diabli wiedzą jaką jeszcze. Małą, średnią, dużą, bardzo dużą? Z gorącym mlekiem? Gałką muszkatołową, cynamonem, oregano? Oczywiście, nie zapomnijcie wybrać między zwykłą a bezkofeinową. Wystarczy, żeby człowieka rozboleła głowa.

Tak czy owak, Johnny i Vicki siadają przy stoliku pod oknem. W kawiarni jest ciepło, wszędzie czuć aromat świeżo parzonej kawy, za to na zewnątrz, nad śpieszącymi się przechodniami, wisi mgła cienka jak welon. Mimo przenikliwego zimna tłum po drugiej stronie jezdni czeka cierpliwie pod kinem. Studenci wędrują w niewielkich grupkach, co jakiś czas przystając, żeby zerknąć na witryny sklepów, pary snują się pod rękę. Typowy sobotni wieczór w East Side.

- Czuję się, jakbym miała przystąpić do spowiedzi - mówi Vicki.

- Odmów trzy zdrowaśki w naszym imieniu, a ja spróbuję ściągnąć kelnerkę.

- Nie ma sprawy.

Chwilę to trwa, ale Johnny'emu udaje się w końcu zwrócić na siebie uwagę kelnerki. Vicki wygląda przez okno i widzi dwoje młodych ludzi całujących się w świetle ulicznej latarni. Ludzie mijają ich, ale oni tego nie zauważają, są w swoim własnym świecie.

- Miło nie zaprzętać sobie niczym głowy, prawda? - odzywa się Johnny.

- Już nie pamiętam, kiedy czułam się taka beztroska - wzdycha Vicki ze smutkiem.

Wkrótce zjawia się kelnerka i przyjmuje zamówienie. Po chwili wraca i stawia przed nimi kawę, a wtedy Johnny unosi filiżankę w udawanym toaście.

- Nome di padre e spirito santo - intonuje. - I tak dalej, i tak dalej. Od mojej ostatniej spowiedzi minęło z milion lat. A twojej?

- Boże, byłam nastolatką - śmieje się Vicki. - Matka zmuszała mnie do spowiedzi przynajmniej raz w tygodniu.

- Moja też - potakuje Johnny. - Oczywiście, wcale nie chodziłem. Na tyłach kościoła było małe boisko do koszykówki. Zabierałem ze sobą piłkę, żeby porzucać, a kiedy minęło trochę czasu, wracałem do domu. Matka mnie nigdy nie przyłapała.

- Nie bądź taki pewien. Matki zawsze wiedzą dużo więcej, niż się wydaje.

- Coś w tym jest - potakuje Johnny. Niewątpliwie pamięta ten poranek, kiedy jego matka opowiedziała mu, jak w porze lunchu natknęła się na niego w East Side. Przez chwilę zastanawia się, czy zdradzić to Vicki, ale się rozmyśla. Po co psuć jej humor? Poza tym jest całkiem prawdopodobne, że skończą tę kawę i więcej się nie zobaczą. W tej samej chwili Johnny uświadamia sobie, że nie może oderwać od niej oczu. Pociąga łyk kawy, odwraca głowę i zaczyna wyglądać przez okno. - A właściwie skąd jesteś? - pyta, bo nic innego nie przychodzi mu do głowy.

- Z Maine. Dorastałam w okolicach Portland, ale moja matka mieszka teraz w Kennebunkport.

- A ojciec? - Johnny próbuje przenieść spojrzenie z okna na jej twarz i z powrotem, żeby sobie nie pomyślała, że jest bezczelny. Zabawnie to wygląda.

Vicki wbija wzrok w filiżankę.

- Nie żyje - mówi po chwili.

- O, przykro mi. Kiedy umarł?

- Dawno temu, kiedy byłam mała. Dziwne, ile się czasem pamięta z dzieciństwa. Ja czuję się tak, jakbym widziała go zaledwie wczoraj.

- Jaki był?

Vicki z zadumą patrzy w przestrzeń.

- Miał ciepły szczery uśmiech i błysk w oku. Najlepiej pamiętam, jak każdego wieczoru zanosił mnie do łóżka i układał do snu. Opierałam głowę na jego ramieniu, a on mnie obejmował i nie było miejsca na ziemi, w którym czułabym się bezpieczniej.

- Od tego są ojcowie. Chyba.

- Chyba rzeczywiście. Wiesz, codziennie siedziałam w pokoju i bawiłam się lalkami, czekając, aż tata wróci z pracy. Gdy tylko słyszałam na podjeździe warkot silnika, biegłam jak najszybciej po schodach i wypadałam za drzwi. Potem, nawet się nie zatrzymując, biegłam po werandzie i zeskakiwałam z górnego schodka, bez patrzenia, bo wiedziałam, że tata podbiegnie do mnie i w razie czego zdąży mnie złapać. Pewnego dnia, już po jego śmierci, siedziałam w pokoju i nagle wydało mi się, że słyszę jego samochód. Byłam tak pewna, że to on, że zbiegłam na dół i bez zastanowienia skoczyłam z górnego schodka, jak zawsze - tyle że nie było nikogo, kto by mnie złapał. Właśnie wtedy ostatecznie zrozumiałam, że mój tata więcej nie wróci do domu.

- Ile szwów ci założyli?

- Boże, dziesiątki! - śmieje się Vicki, ale z jej oczu płyną łzy. - Łokcie i kolana miałam otarte do krwi. - Oddycha

głęboko i ociera łzy. - Wątpię, żebym kiedykolwiek o tym opowiadała. Nie pytaj, dlaczego nagle mi się to wszystko przypomniało.

- Nie mam nic przeciwko temu.

Vicki uśmiecha się do niego.

- Pewnie uznasz, że to dziwne, ale po tych wszystkich latach ciągle przyłapuję się na tym, że mówię coś do niego, proszę o pomoc albo o to, żeby mnie pilnował. Dziwnie to brzmi, prawda?

- Wcale nie tak dziwnie. - Johnny w końcu patrzy jej prosto w oczy. - Kiedy tracisz ojca, zostaje wielka pustka. Nie da się go zapomnieć z dnia na dzień, nigdy się nie da. Spytaj mojej matki, to ci powie. Albo lepiej jej nie pytaj - dodaje natychmiast. - To chyba kiepski pomysł, ze względu na tę sytuację i tak dalej...

- Spokojnie, rozumiem - zapewnia go Vicki. - Ale co z tobą? Ja straciłam ojca lata temu, a od śmierci twojego minęło zaledwie kilka tygodni. Biorąc pod uwagę sklep, rodzinę i wszystko inne, musi ci być niewiarygodnie ciężko. Twój ojciec znał tylu ludzi.

- Masz rację. Ojciec zdobywał przyjaciół tak łatwo, jak Rockefeller pieniądze. Po prostu miał do tego niewiarygodny talent.

- Pewnie dlatego, że lubił im pomagać.

- Uff, i to jak. I mówimy tu o przyjaciółach, krewnych, duchownych, miejscowych politykach, którzy chcą kasy, ludziach, którzy chcą biletów na mecze albo anulowania mandatu za złe parkowanie. Wszyscy krewni i znajomi czegoś od niego chcieli, dopiero teraz widzę, że i ja byłem jednym z nich. I ni z tego, ni z owego, wszyscy zaczęli przychodzić do mnie. Całkiem jakby po śmierci ojca pojawiła się jakaś wielka dziura, która wsysa mnie jak próżnia.

- Moim zdaniem jesteś na tyle silny, że sobie poradzisz. - Vicki też patrzy na niego tymi swoimi oczami, błękitnymi jak u dziecka.

- Może i tak. Ale pewne rzeczy się zmieniły. Nie cierpię pracy w sklepie, a dla ojca to była podstawa istnienia. Wszystko, co mamy, albo przynajmniej co ja mam, jest od niego. Nie chcę być cyniczny, ale większość tych ludzi, o których mówiłem, przychodziła do ojca, bo był miękki. Sklep przynosił pieniądze, więc ojciec rozdawał je, kiedy mu przyszła ochota. Ale pieniędzy już nie ma.

- Dlaczego?

- Po pierwsze, sklep nie jest zbyt duży. Ojciec sporo zarobił podczas boomu na rynku nieruchomości. Wyświadczył przysługę jednemu z ważniaków, więc potem już zawsze kupowali u nas.

- Jakiego rodzaju przysługę? - pyta Vicki nieufnie.

- Spokojnie, nie taką w stylu Dona Corleone - chichocze Johnny. - Jak się lepiej zastanowić, to właściwie nie było w tym nic specjalnego. Po prostu tato jechał wieczorem autostradą i zobaczył na poboczu pickupa, który złapał gumę, więc zatrzymał się i spytał, czy może jakoś pomóc. Facet nie miał zapasowego koła i ojciec podrzucił go na stację benzynową. Po drodze się przedstawił i okazało się, że gość jest jakimś ważnym dyrektorem z firmy budowlanej. Trochę pogadali, pośmiali się, ojciec się pożegnał i pojechał do domu. Następnego dnia wszyscy, naprawdę wszyscy, kupowali sprzęt u nas. Zarobiliśmy majątek. Ojciec nigdy nie rozbudowywał sklepu. Mógł to zrobić bez problemu, mógł kupić nowy dom, nowe auto, wszystko, ale nie chciał. Lubił proste rzeczy i nigdy nie przechwalał się pieniędzmi.

- Podziwiałam to w twoim ojcu.

- Tak, ale ludzie i tak zawsze wiedzą, kto ma kasę. Po tym, jak rynek nieruchomości w Rhode Island się załamał,

ludzie przestali budować i interes podupadł. To znaczy, nadal sobie radzimy, ale już nie tak jak wcześniej. Teraz to ja muszę kombinować, żeby jakoś szło, i wcale nie chcę tego robić do końca życia. Oto moja smutna historia.

Johnny poprawia się na krześle.

- A jaka jest twoja? - pyta. - Niby nie moja sprawa, ale jak ty i mój ojciec, no wiesz... Chodzi mi o to, jak...

- Się poznaliśmy? - dopowiada Vicki.

- Tak.

Vicki oddycha głęboko.

- Pierwszy raz zobaczyłam go w księgarni - zaczyna. - Wybrałam się na spotkanie autorskie, moja koleżanka z uczelni podpisywała tomik poezji, który właśnie wydała. Dziś zresztą będzie czytała na kampusie wiersze ze swojego najnowszego zbioru, tam właśnie idę. W każdym razie wpadłam na twojego ojca, kiedy wychodził, i upuściłam książkę, którą przyniosłam do podpisania. Był bardzo zdenerwowany i skruszony, kiedy ją podnosił.

- Taak, mogę to sobie wyobrazić. To znaczy, że idzie do księgarni kupować wiersze.

- Właśnie dlatego rozpoznałam jego twarz, kiedy spotkaliśmy się kilka tygodni później. Przypadkowo wybrano nas oboje do składu tej samej ławy przysięgłych.

- Czekał. Pamiętam, to było ze trzy lata temu. Chodziło o jakieś oszustwo bankowe czy coś takiego?

- Zgadza się - potakuje Vicki. - Podczas obrad ławy ja i twój ojciec ostro się posprzecaliśmy.

- Niech zgadnę - ty uważałaś, że facet jest niewinny, a tatko, że winny.

- Wręcz przeciwnie. Facet był naprawdę gnidą, zasługiwał na więzienie. Twój ojciec nie był jednak przekonany i kłóciliśmy się przez prawie sześć godzin.

- Pewnie gość był jego kumplem, tatko znał wszystkich - śmieje się Johnny. - I co dalej?

- Okazało się, że ława jest niejednomyślna, bo jeszcze jeden z przysięgłych zgodził się z twoim ojcem. Byłam wściekła, ale już po wszystkim twój ojciec zapytał, czy mam ochotę pójść na kawę, żebyśmy o tym pogadali. Najpierw odmówiłam, ale był taki uroczy, że zmieniłam zdanie. Po kawie była kolacja, po kolacji drink, a po nim... no cóż...

- Jedno prowadziło do następnego - dopowiada Johnny.

- Właśnie.

Johnny znowu wygląda przez okno. Całującą się parę zastąpiły nastolatki na deskach. Po drugiej stronie ulicy ostatnie osoby z kolejki wchodzi do kina. Johnny podnosi do ust filiżankę, ale okazuje się, że jest niemal pusta. W konsternacji zaczyna skubać i przygryzać kącik ust, a wtedy zauważa, że Vicki wpatruje się w niego.

- Co jest?

- Przepraszam. - Vicki kręci głową. - Nie chciałam się gapić, ale twój tata robił dokładnie to, co ty przed chwilą. To trochę niesamowite.

- Ludzie już mi to mówili - wzdycha Johnny smutno. - Od pewnych rzeczy nie uciekniesz.

- Takie jest życie, Johnny.

- Teraz ty mówisz jak mój ojciec - śmieje się Johnny.

Vicki również wzdycha i opuszcza wzrok. Przez dłuższą chwilę siedzą w milczeniu, aż w końcu Vicki mówi z trudem:

- Johnny, naprawdę nie wiem, jak mam wyjaśnić to, co zaszło tego dnia, w którym mnie odwiedziłeś. Nie wiem, czy to był smutek, gniew, pożądanie czy jeszcze coś innego. Dusiałam w sobie te wszystkie uczucia od śmierci twojego ojca, a nie miałam z kim o nim porozmawiać, więc nagle wszystko się ze mnie wydostało. To było jak eksplozja.

- Hej, nic się nie martw. To nie twoja wina, tak to już bywa. Poza tym to nie tak, że nie miałem nic do powiedzenia. To eksplozja, sama mówiłaś, zdarzyło się, i już. Nie dało się tego powstrzymać, więc po co tracić czas na wyjaśnienia?

- Ale ja chcę to wyjaśnić - upiera się Vicki. - Muszę.

- Spójrz na to z innej strony. - Johnny wzrusza ramionami. - To było jak Wielki Wybuch.

Vicki, jak się zapewne domyślacie, zdążyła już się zorientować, że żaden z niego Einstein, więc nie bardzo rozumie tę analogię.

- Co takiego?

- No wiesz, ta wielka eksplozja, od której, zdaniem naukowców, wszystko się zaczęło, tylko że nikt nie wie, jak ani kiedy. Zapalił się lont, bach, i było po wszystkim, ale my tu nadal jesteśmy, co? Udało się nam przetrwać.

- Tak. - Vicki się uśmiecha, lekko zarumieniona. - Chyba wiem, o co ci chodzi, ale nie rozumiem, co mogło powstać po tej naszej eksplozji.

- Znając moje szczęście, jakiś potwór - śmieje się Johnny.

Vicki mu wtóruje i na chwilę ich spojrzenia się krzyżują. Żadne nie odwraca wzroku, a Johnny lekko pochyla się ku Vicki nad blatem, która, wpatrzona w niego, robi to samo. Kiedy Johnny sięga po swoją filiżankę, delikatnie muska ręką jej dłoń, a Vicki jej nie cofa. I choć ta chwila mija bardzo szybko, oboje mają wrażenie, że trwała całe wieki.

- Chcesz jeszcze kawy? - pyta w końcu Johnny i czar pryska.

Vicki spogląda na zegarek i marszczy czoło.

- Bardzo chętnie bym się napiła, żebyśmy mogli dłużej porozmawiać, ale muszę już iść - odpowiada ku rozczarowaniu Johnny'ego.

- W porządku. Czytanie wierszy, zapomniałem. Chciałby zaproponować spotkanie przy innej okazji, ale nic nie mówi.

Po chwili wstają, Johnny pomaga Vicki włożyć kurtkę. Rzuca kilka dolarów na blat, po czym oboje idą do drzwi. Już na chodniku zatrzymują się i patrzą na ciemne niebo. Mżawka przerodziła się w miarowy deszcz.

- To niedaleko, pójde piechotą - oznajmia Vicki i otwiera parasol.

- Nie idź. - Johnny ociera z czoła krople deszczu. - Chodź, podwiozę cię. Powiesz mi, co się robi na takim spotkaniu, zanim dojedziemy na miejsce.

Vicki się waha. Johnny myśli, że pewnie nie chce wsiadać razem z nim do auta, ale w tej samej chwili Vicki robi krok w jego kierunku.

- Chodź ze mną i sam się przekonasz - oznajmia nieoczekiwanie.

Johnny patrzy na nią ze zdumieniem. - Ja? - Zaczyna się śmiać. - Na czytaniu poezji? Nie, raczej nie.

- No chodź - zachęca go Vicki z błyskiem w oku. - Możesz się całkiem dobrze bawić. Przynajmniej będziesz miał szansę zrobić coś, czego na sto procent jeszcze nigdy nie robiłeś.

- Już zrobiłem coś, czego nigdy wcześniej nie robiłem. Z tobą.

- To coś zupełnie innego. Dlaczego nie chcesz iść? Moglibyśmy dłużej porozmawiać, a poza tym, jeśli ci się nie spodoba, to po prostu wyjdiesz.

Johnny milczy przez dłuższą chwilę.

- W porządku - mówi w końcu. - Ale pod jednym warunkiem - że już po wszystkim skoczysz ze mną coś zjeść, zaczynam się robić głodny. Zgadasz się? ,

- Jasne.

- No dobrze. - Johnny nadal nie jest zachwycony perspektywą wieczorku poetyckiego. - Ale powiedz, kto tam

właściwie będzie? Bo wiesz, poezja to nie jest moja mocna strona, nie chciałbym się skompromitować.

- Och, tylko sama śmietanka uniwersyteckiej sceny literackiej - odpowiada Vicki żartobliwie. - Są niezwykle onieśmialający. Myślisz, że dasz sobie z nimi radę?

- Hej, jeszcze nigdy nie dałem się zastraszyć - nadyma się Johnny. - I nie obchodzi mnie, jaki nabiął tam serwują.

Vicki patrzy na niego dziwnie, po czym rusza przed siebie.

- Hej, dokąd to? - woła za nią Johnny.

- Chodź, pospacerujemy.

Deszcz pada coraz mocniej, więc Johnny chowa się pod parasolem.

- Na pewno nie chcesz jechać samochodem?

- Lubię spacerować w deszczu. Ty nie? Johnny przysuwa się do niej, żeby nie zmoknąć.

- Ech. - Wzrusza ramionami. - Zaczynam lubić.

ROZDZIAŁ dziewiętnasty

Kiedy Vicki i Johnny docierają na miejsce, wieczorek już trwa, dyskretnie wślizgują się więc do środka i stają pod ścianą. Johnny rozgląda się po pomieszczeniu. To olbrzymi gabinet, pod ścianami stoją regały z książkami, na podłodze leży ciężki, mocno zniszczony dywan. W powietrzu czuć stęchliznę i zapach pokrytych kurzem książek, które pewnie tkwią na swoich półkach od niepamiętnych czasów. Na środku stoi kilkadziesiąt składanych krzeseł. Wszystkie są zajęte, ludzie siedzą, ściśnięci, dotykając się kolanami. Ci, którzy zjawili się za późno, żeby znaleźć wolne krzesło, stoją pod ścianą, słuchając uważnie poetki, która zajęła miejsce na niewielkim podeście przed oknem, na samym końcu pokoju. Drobna kobieta o kruczoczarnych włosach i białej jak śnieg cerze trzyma przed sobą kartkę, ale kiedy mówi, wpatruje się w sufit. Wygląda to tak, jakby czytała na głos tekst, który widzi nad głową. Johnny wyciąga szyję, żeby sprawdzić, cóż to takiego, dostrzega jednak wyłącznie szpary na poplamionym wodą suficie. Kiedy kobieta mówi swoje, Johnny dochodzi do wniosku, że powinni jak najszybciej wezwać gipsiarza, bo niedługo sufit zwali im się na głowy.

Johnny znowu skupia uwagę na poetce. Teraz wydaje się mu, że jej oczy chowają się z tyłu głowy, co wygląda tak, jakby wpadła w jakiś trans. Pewnie nauczyła się na pamięć tekstu na kartce, i wykonuje coś w rodzaju performance'u. Co więcej, wszyscy w pomieszczeniu wpatrują się w sufit. To pierwszy kontakt mojego syna z wydarzeniem kulturalnym tego rodzaju, więc z trudem tłumi chichot.

Johnny ma wrażenie, że wieczór autorski ciągnie się przez całe godziny. Co jakiś czas kobieta podnosi nową kartkę, ale jej wzrok jest nieodmiennie przyklejony do sufitu. Wkrótce Johnny zaczyna zdawać sobie sprawę z szarpiącego głodu, który go dopadł. Robi się późno, a na domiar złego zaczyna

mu burczeć w brzuchu. Ku jego uldze, kobieta raptem zaczyna mówić coraz głośniej, jakby przygotowywała się do finałowego, wariackiego fortissimo.

- Spoglądam w sadzawki światła! - krzyczy dziwnym głosem. - Błyszczące jaśniejące wiry! Sięgam ku gwieździe, chwytam jej duszę; a ona wciąga mnie w siebie, tam się odradzam!

Przerywa, wypuszcza z dłoni kartkę i otwiera oczy. W tym samym momencie, jakby na sygnał, wzrok wszystkich wraca na miejsce i widownia, w tym Vicki, zaczyna entuzjastycznie klaskać.

- Co za dar - wzdycha Vicki. - Podobało ci się?

- To było coś zupełnie innego - odpowiada Johnny dyplomatycznie.

Kiedy wszyscy zbierają się wokół poetki, Vicki ciągnie Johnny'ego za łokieć.

- Chodź, pogratulujemy jej - zachęca go.

Przepychają się przez tłum, aż w końcu docierają do obłązionej kobiety, która wydaje się całkowicie przytłoczona okazywaną jej uwagą. Z bliska Johnny zauważa, że kiedy poetka patrzy normalnie, przed siebie, jest całkiem atrakcyjną kobietą, niezbyt młodą, ale zdecydowanie nie starą, tyle że chudą jak linguine! Johnny odruchowo się krzywi, kiedy Vicki ją przytula. Wydaje mu się, że wystarczy trochę mocniejszy uścisk i biedna kobietka po prostu się złamie.

- To było genialne, Emily - gratuluje jej Vicki.

- Co mnie wcale nie dziwi.

- Dziękuję, Vicki. Bardzo się cieszę, że przyszłaś. - Ja też.

- Emily, podejdź tutaj! - woła nagle z drugiego końca gabinetu chudy, łysiejący mężczyzna i macha ręką. - Idziemy wszyscy do kawiarni.

Emily wzdycha i spogląda na Vicki.

- Pora na mnie - mówi ze skruchą w głosie.

- Wiesz, jak to jest, jeden raz nie wystarczy. Będę im musiała wszystko powtórzyć. - Z uśmiechem patrzy na Johnny'ego. - Czy my się znamy?

- Raczej nie.

- To Johnny, mój przyjaciel - przedstawia go Vicki.

- Wyglądasz znajomo - zauważa Emily. - Mogłabym przysiąc, że już się spotkaliśmy. Nigdy nie zapominał twarzą. Chodźcie z nami do kawiarni, kto wie, może później sobie przypomnę.

Johnny, naturalnie, ma już dość poezji jak na jeden wieczór, ale widzi, że Vicki bardzo chce iść. Czy jednak chce, aby on poszedł razem z nią?

- Idź razem z przyjaciółmi. - Dochodzi do wniosku, że tak będzie najlepiej. - Ja chyba i tak powinienem już wracać do domu.

- Nonsens - oznajmia Emily. - Nalegam, żebyś wybrał się z nami.

- Ja też - dodaje Vicki.

Johnny postanawia zatem wybrać się z nimi. W kawiarni siedzi cicho, podczas gdy reszta bez ustanku bredzi o dwuwierszach, pentametrze jambicznym, układzie rymów i rytmach wznoszących. Dla Johnny'ego równie dobrze mogliby prowadzić tę dyskusję w obcym języku, więc słucha jednym uchem, za to nie spuszcza oka z Vicki, która zdaje się świetnie bawić i bierze czynny udział w tym dziwacznym bełkocie. Johnny nie ma pojęcia, o czym mówi, ale sądząc po tym, jak uważnie słuchają jej inni, muszą mieć o niej wyjątkowo dobre zdanie.

Johnny nie bardzo wie, dlaczego, ale robi to na nim wrażenie, ba, czuje się wręcz dumny.

Jednocześnie jednak nie uchodzi jego uwadze, że Horace, chudy łysol ze spotkania z poetką, uważnie przygląda się Vicki. Być może Emily była gwiazdą przedstawienia, ale to

Horace wydaje się przywódcą całej grupy, gdyż wszyscy pozwalają mu kierować rozmową. Johnny'ego to trochę denerwuje, przez dziwaczny głos Horacego, który brzmi tak, jakby jego właściciel miał polipy w nosie. Wkurzające, wiem, bo sam raz czy dwa wpadłem na tego gościa, kiedy jeszcze chodziłem po tym świecie. Prawdę mówiąc, mnie też wkurzał, ale to zupełnie inna historia.

W końcu rozmowa zbacza z wyzyna literackich na bardziej przyziemne tematy, kiedy nagle Horace zaczyna uskarżać się na problemy z parkowaniem w Providence.

- Dlaczego w tym mieście nigdy nie można znaleźć wolnego miejsca, żeby zaparkować i nie bać się mandatu? - jęczy. - Śródmieście jest najgorsze, miesiąc temu dostałem mandat, zapomniałem zapłacić od razu, a teraz słyszę, że jeśli nie zrobię tego do przyszłego tygodnia, będzie mnie to kosztowało siedemdziesiąt pięć dolarów. Wyobraźcie sobie tylko!

Wszyscy ze współczuciem kręcą głowami. Nareszcie mówią o czymś, co nie jest zupełnie obce Johnny'emu, więc decyduje się otworzyć usta.

- Trzeba kogoś znać - mówi do Horace'a.

Od razu żałuje, że się odezwał, bo nagle oczy wszystkich wpatrzone są w niego. Johnny chrząka i prostuje się na krześle.

- Jak to, znać kogoś? - chce wiedzieć Horace.

- Nie możesz parkować tam, gdzie nikogo nie znasz. Ja tak nie robię. Znam gościa z działką w śródmieściu, który pozwala mi parkować za friko.

Horace mruży oczy, jakby nic nie rozumiał.

- Za friko - powtarza tym swoim nosowym głosem, którego brzmienie doprowadza Johnny'ego do szału.

Pozostali pochylają się nad stolikiem, jakby właśnie usłyszeli najbardziej fascynującą informację w życiu.

- Za nic - mówi Johnny. - Oczywiście, kopsam gościowi parę dolców za pilnowanie wozu, ale warto.

- Kopsam? - pyta Horace.

Johnny nie może ukryć uśmiechu. Cieszy się, że teraz to oni nie rozumieją jego.

- Spoko. - Patrzy na Horace'a. - Jak będziesz następnym razem w centrum, zadzwoń, powiem ci, gdzie masz jechać.

- Cóż - oświadcza Horace wylewnie, udając przed innymi, że jest pod wrażeniem. - Nareszcie znam kogoś w śródmieściu, kto może mi pomóc. Teraz czuję się jak prawdziwy mieszkaniec Rhode Island.

Wszyscy poza Vicki i Emily wybuchają śmiechem. Johnny tylko uśmiecha się pod nosem.

- No to możemy sobie przybić piątkę.

Dobrze wiem, co myśli sobie Johnny - tak naprawdę chciałby facetowi wbić szczękę w mózg. Zwykle mój syn nie jest zbyt subtelny, ale czasem, gdy coś powie, trzeba czytać między wierszami.

- Gdzie w centrum pracujesz, Johnny? - pyta ktoś.

- Ma własny sklep - wtrąca Vicki.

- Ale na Hill - dodaje Johnny. - Techniczny.

- Tak? - Teraz Horace udaje wielkie zainteresowanie. - Mam Macintosha, ale wszyscy radzą mi, żebym się go pozbył i kupił IBM. Co o tym myślisz?

Najwyraźniej inni są również zainteresowani odpowiedzią. Vicki otwiera usta, ale Johnny odzywa się pierwszy.

- Chyba źle mnie zrozumiałeś, Horace - mówi. - Sprzedaję śrubki i gwoździe.

- Och, śrubki i gwoździe? - Horace z zadumą marszczy brwi i spogląda z góry na Johnny'ego. - To taka technika... Naturalnie, myślałem o komputerach.

Zerka na Vicki tak, jakby chciał ją zapytać, dlaczego w ogóle siedzi obok tego ćwoka. Trzeba przyznać, że Vicki robi,

co może, żeby ignorować Horace'a. Szczerze mówiąc, gość zaczął wkurzać nawet mnie, chętnie dałbym mu w łeb, ale oczywiście nawet nie ma co próbować. To nic, bez trudu znajdę inny sposób, żeby wyrazić swoje zdanie. Bądźcie czujni, a sami się przekonacie.

- Jasne. - Johnny siada wygodniej. - Nawet mamy komputer w sklepie, ale na razie jeszcze nie wykombinowałem, jak się go włącza.

- Większość z nas też tego nie wie, a już na pewno nie ja - zauważa Emily.

- Mówcie, co chcecie, ale prędzej czy później wszyscy będziemy zmuszeni nauczyć się korzystać z szerokopasmowej sieci - oznajmia Horace.

- Mnie tam wystarczą zwykłe sieci rybackie. - Johnny wzrusza ramionami.

Horace nie bardzo wie, co powiedzieć, więc tylko jeszcze mocniej marszczy czoło. Inni wracają do dyskusji o poezji, ale Emily pochyła się ku Johnny'emu i patrzy mu głęboko w oczy.

- Johnny, naprawdę myślę, że bardzo znajomo wyglądasz - mówi. - Na pewno nigdy się nie spotkaliśmy?

- Bardzo wątpię. Rzadko bywam na spotkaniach z poetami, a ty nie wyglądasz na klientkę sklepów takich jak mój.

- A jak się nazywa twój sklep?

- Sklep żelazny Catiniego.

- Sklep żelazny Catiniego? - powtarza dziwnym głosem i na moment milknie. - Nie, chyba nigdy tam nie byłam.

- A nie mówiłem?

- To sklep rodziny Johnny'ego - wyjaśnia Vicki. - Od śmierci ojca sam go prowadzi.

- Rozumiem. - Emily z zadumą kiwa głową.

- Od dawna, Johnny?

- Od paru tygodni.

- Bardzo mi przykro.

- Tak to już bywa.

- Tak, pewnie tak - zgadza się Emily cicho.

Po tych słowach cała trójka milknie. Reszta dalej rozmawia, aż Horace spogląda na zegarek i z przeraźliwym ziewnięciem oznajmia, że zrobiło się późno i trzeba zakończyć spotkanie. Chwilę później wszyscy już stoją, wkładając płaszcze i kurtki. Przed wyjściem Emily podchodzi do Johnny'ego i wyciąga rękę. Siła jej uścisku wprawia go w zdumienie, podobnie jak jej bardzo uważny wzrok.

- Ogromnie się cieszę, że cię poznałam, Johnny - mówi Emily. - Zobaczymy cię jeszcze?

To pytanie skierowane jest raczej do Vicki niż do Johnny'ego, ale on i tak odpowiada.

- Właściwie to pierwszy raz spotkałem poetów, wiesz? - oznajmia z uśmiechem. - Pożyjemy, zobaczymy.

- Nie przejmuj się, czasem musi minąć trochę czasu, zanim człowiek polubi takie spotkania. Polubisz poezję, jeśli dasz jej szansę.

- Może kupię sobie twoją książkę. Będę miał od czego zacząć.

- Wyjdzie dopiero na wiosnę - śmieje się Emily. - Ale pewnie i tak zmuszą mnie do spotkania autorskiego, więc obiecuj, że przyjdiesz i przyprowadzisz mnóstwo znajomych. My, poeci, naprawdę potrzebujemy wsparcia.

- Obiecuję. - Johnny kiwa głową do Vicki. - Tylko daj mi znać, kiedy to będzie.

Vicki i Johnny idą razem do auta. Deszcz trochę odpuścił, więc nie muszą się już ścisnąć pod parasolem. Mimo to idą całkiem blisko siebie i co jakiś czas przypadkowo się dotykają, przemierzając pogrążone w mroku ulice. Podczas spaceru Vicki tłumaczy Johnny'emu, kim byli ci wszyscy

ludzie w kawiarni. Okazuje się, że Horace jest kierownikiem jej wydziału.

- Tak sobie myślałem, że to jakiś ważniak, zwłaszcza że wszyscy mu się podlizywali - oznajmia Johnny. - Bez urazy, ale gość to palant.

- Horace jest bardzo miły, tylko ma swoje gorsze momenty.

- Tak jak wtedy, kiedy się dowiedział, że sprzedaje gwoździe. Patrzył na mnie jak na skunksa. Za to podobało mu się patrzeć na ciebie, każdy to widział.

- To nie tak jak myślisz - mówi Vicki. - Horace się o mnie troszczy, jest dla mnie niemal jak drugi ojciec. Czasem po prostu robi się nadopiekuńczy, ale bardzo mi pomaga.

- O, to na pewno.

- Poważnie. Jeśli dostanę stały etat wykładowcy, to najprawdopodobniej wyłącznie dzięki niemu.

- Co to jest stały etat wykładowcy, i niby dlaczego to takie ważne?

- A choćby dlatego, że będę mogła uczyć na Brownie, jak długo zechcę - wyjaśnia mu Vicki.

- W innym wypadku musiałabym się przenieść na inny uniwersytet, a bardzo bym tego nie chciała. Uwielbiam Browna.

- Aha - załapuje Johnny

Widzi już samochód i czuje się trochę rozczarowany. Jest zmęczony i bardzo głodny, ale podoba mu się ta rozmowa podczas spaceru. Odczyty poezji to nie jego hobby, ale w sumie wieczór z Vicki całkiem przypadł mu do gustu.

- Dziękuję, że poszedłeś ze mną - odzywa się Vicki, kiedy już siedzą w aucie. - Mam nadzieję, że się za bardzo nie wynudziłeś.

- Mówiłem ci już, że to dla mnie coś nowego. - Tak, ale czy podobała ci się poezja Emily? Chociaż troszeczkę.

- Tak, chyba troszeczkę. Ale pewnie za mało się skupiłem, bo byłem głodny.

- O Jezu! - krzyczy Vicki. - Ale świnia ze mnie, kompletnie zapomniałam, że przez cały wieczór nic nie jadłam.

Johnny uruchamia silnik, włącza światła i wycieraczki.

- Spokojnie, jakoś przeżyję - śmieje się. - Wrzucę coś na ruszt, kiedy cię odwiozę.

- Jak to? - Vicki wydaje się nieco zawiedziona.

- Myślałam, że się umówiliśmy.

- No tak, ale pomyślałem sobie, że pewnie jesteś zmęczona. W sumie jest późno i może chcesz się położyć. Zrozumiem. - Waha się. - Możemy to przełożyć na inny dzień.

- Nie - sprzeciwia się Vicki stanowczo. - Idziemy teraz, umowa to umowa, zawsze ich dotrzymuję. - Wygląda przez okno i widzi, że wszystkie restauracje na Thayer Street są już zamknięte. Z konsternacją patrzy na Johnny'ego. - Jest jeden problem. Nie mam pojęcia, gdzie o tej porze moglibyśmy coś zjeść.

Johnny chichocze i naciska pedał gazu.

- Spoko, znam jedno takie miejsce.

ROZDZIAŁ dwudziesty

Trzeba przyznać mojemu synowi, że bez względu na okoliczności zawsze wie, gdzie zdobędzie następny posiłek, całkiem jakby miał w brzuchu radar. W tej chwili ten radar wskazuje centrum miasta. W końcu docierają do ratusza.

Na chodniku stoi kolejka, złożona z dwudziestu paru osób, która prowadzi do baru w przyczepie ustawionej na rogu. Zgromadzeni stanowią mieszane towarzystwo, część z nich wygląda jak bezdomni, inni mają na sobie smokingi i eleganckie suknie, a reszta sprawia wrażenie zwyczajnych par i grup przyjaciół, którzy wyszli z domu w sobotni wieczór.

Johnny bierze głęboki oddech i wzdycha z zadowoleniem. Po raz pierwszy tego wieczoru czuje się znowu w swoim żywiole.

- Chodź, ustawimy się w kolejce - mówi.
- Co tam rozdają? Zupę dla ubogich?
- Nie - śmieje się Johnny. - To Haven Brothers. Tylko mi nie mów, że nigdy tutaj nie byłaś.
- Właściwie... Johnny kręci głową.
- W takim razie masz koszmarnie braki w wykształceniu, chociaż się zadajesz z tymi wszystkimi doktorami.
- Ale co ludzie zamawiają?
- Efki, niby co innego?
- Co to są efki?
- Boże - wzdycha Johnny i ponownie potrząsa głową. - Jest gorzej, niż myślałem. Najlepiej skup się i postaraj się nie przynieść mi wstydu, dobra?
- Dobra - odpowiada Vicki cicho.

Zajmują miejsce w kolejce, ale niewiele mówią, powoli posuwając się naprzód. Kiedy w końcu stają przy oknie, Johnny nie patrzy na małe menu przymocowane do przyczepy ani nawet nie pyta Vicki, na co miałyby ochotę.

- Cztery efki z dodatkami i dwie arizony - zamawia.

- Robi się - odpowiada chrapliwy głos z wewnątrz.
- Co to jest arizona? - dopytuje się Vicki.
- Mleko kawowe. Jak można tak nic nie wiedzieć?

Vicki wzrusza ramionami i uważnie studiuje menu.

- Nie ma tutaj ani słowa o efkach - zauważa.
- Mają je, wierz mi na słowo.

Vicki sceptycznie ogląda bar. - Jesteś pewien, że ten lokal posiada zezwolenie na sprzedaż żywności?

- Bez obaw - chociaż Johnny i ruchem głowy wskazuje ratusz. - Nawet burmistrz tutaj jada.

W oczekiwaniu na zamówiony posiłek Johnny ciągnie Vicki do lady z ocynkowanej blachy i wskazuje na małe okienko. Oboje wtykają głowy do środka i widzą niedużą kuchenkę z mocno rozgrzaną blachą oraz małą frytkownicę. Obok blachy znajduje się jeszcze jedna lada oraz kasa. Dalej z tyłu widać resztę wnętrza mieszkalnej przyczepy, przerobioną na barek z blaszaną półką i rzędem stołków pod ścianą. Grupa ludzi pracowicie pochłania kolację, inni wchodzą i wychodzą przez tylne drzwi. W kuchni urzęduje niski, starszy pan w fartuchu i czapce bostońskich Red Soksów, który za pomocą dużej łopatki układa na blasze bułki do hot dogów. Gdy bułki są już ładnie przyrumienione, kucharz wyciąga z gorącego oleju gotowane frankfurterki.

- To są efki - oznajmia Johnny z nabożną czcią.
- Wyglądają jak hot dogi.
- Bo to są hot dogi, w pewnym sensie, ale najlepsze w mieście.

Kucharz z wprawą przekłada efki, a następnie wsuwa jedną po drugiej do bułek. Potem kładzie wszystkie cztery na dłoni i przedramieniu, wolną ręką sięga po butelkę z musztardą i wyciska obfitą porcją na każdą parówkę. Na koniec posypuje przyprawą, pokrojoną w kostkę cebulą i solą selerową. Zawija te małe arcydzieła sztuki kulinarnej w

woskowany papier i podsuwa Johnny'emu do okna, razem z dwoma kubkami mleka kawowego.

- I co teraz? - pyta Vicki, kiedy Johnny kończy płacić.

- Teraz jemy.

- Gdzie?

Johnny zagląda przez tylne drzwi pojazdu, wraca i kręci głową.

- Za dużo frajerów - oświadcza. - Idziemy gdzie indziej.

Johnny dotyka ręki Vicki i prowadzi ją po schodach do głównego wejścia ratusza. Podłoga przed drzwiami jest względnie sucha, więc siadają, a Johnny rozpakowuje efki.

- To się je późną nocą w Providence - mówi i odgryza wielki kęs.

- Ale cuchną.

- No - śmieje się Johnny. - To przez cebulę. Przez kilka dni będziesz czuć jej smród na rękach.

Johnny ma słuszość, po takiej potrawie dłonie zalatują całymi dniami. Cóż, jeśli o mnie chodzi, nigdy nie mogłem tknąć takiego jedzenia, za każdym razem przysparzało mi agita.

Tymczasem Vicki nieufnie ogląda jedną z efek i zastanawia się, jak ją zjeść, nie brudząc się przy tym cebulą. Skubie trochę z boków, a po chwilowym namyśle odgryza solidny kęs.

- Widzisz, nie było tak źle, co? - podsumowuje Johnny.

- Jadłam w życiu gorsze rzeczy. Poczęstuj mnie jedną arizona.

- To rozumiem. - Johnny opiera się o drzwi. Przeżuwając, przypatruje się ludziom, którzy przewijają się w dole. - Wiesz, jeśli o mnie chodzi, stąd jest najlepszy widok w mieście. W sobotę w nocy można tu zobaczyć prawie wszystkich. Ludzi, którzy chodzą z klubu do klubu, tych, którzy właśnie skończyli robotę na drugą zmianę, gliniarzy na przerwie,

motocyklistów, aktorów, piosenkarzy, do wyboru, do koloru. Jest ciemno, zimno i późno, ale oni wszyscy schodzą się tu co sobotę i ustawiają w ogonku po efki, jakby szli do komunii.

Vicki spogląda na niego z uśmiechem.

- Wiesz, Johnny Catini, w pewnym sensie masz w sobie coś z poety. Powinieneś nad tym popracować.

- Tak, jasne. Może pójde na uniwersytet, żeby zostać nauczycielem, jak ty.

- Studiowałeś coś?

- Gdzie tam. Ojciec chciał mnie posłać na studia, ale ja ledwie skończyłem liceum, rozumiesz. Zrobiłem kilka kursów wieczorowych, tyle że jakoś nigdy się nie wciągnąłem. Chyba nie nadaję się do nauki.

- Po prostu nie dałeś sobie szansy. Nigdy nie jest za późno, żeby zacząć wszystko od nowa.

- E, po co komu studia. - Johnny macha ręką. - Wystarczy, że będę trzymał się ciebie. Sama widzisz, tego jednego wieczoru nauczyłem się chyba więcej o poezji niż przez lata szkoły.

Johnny żartuje, rzecz jasna, ale ze zdumieniem widzi, że Vicki traktuje jego słowa poważnie.

- Moim zdaniem oboje możemy sporo nauczyć się od siebie.

- Hm - mówi Johnny. - Kto wie.

Wypija łyk mleka kawowego i znowu skupia uwagę na ludziach w dole.

Po zakończonym posiłku Johnny bierze opakowania po efkach i zgniata je w kulę. Nie wstając, ciska zmięty papier na chodnik pod schodami.

- Johnny! - strofuje go Vicki. - Śmiecisz!

- Nie tutaj. Patrz.

Dosłownie po sekundzie z przyczepy wyłania się bezdomna stara kobieta. Wlecze się chodnikiem, podnosi

papierową kulę Johnny'ego i wrzuca ją do pobliskiego kubła na śmieci.

- Dzięki, Sally! - woła Johnny, a w odpowiedzi staruszka tylko kiwa głową.

- Naprawdę ją znasz? - dopytuje się Vicki.

- To Sally. Nie ma dokąd pójść nocą, więc właściciele baru pozwalają jej siedzieć w przyczepie, ale musi utrzymywać chodnik w czystości. Jak ludzie przestaną śmiecić, Sally straci robotę. Rozumiesz, w czym rzecz?

Vicki przygląda mu się przez moment i uśmiecha. Potem dopija mleko kawowe, zgniata kubek i rzuca go na chodnik, tak samo jak wcześniej Johnny.

- No proszę - mówi z zadowoleniem. - Spełniłam obywatelski obowiązek.

Oboje się śmieją, ich spojrzenia się krzyżują, ale żadne nie odwraca głowy. To jedna z tych chwil jak z filmu i Johnny czuje, jak jakaś siła przyciąga go do Vicki, kiedy nagle oboje słyszą okrzyk:

- Siema, Johnny C!

Johnny spogląda na drugą stronę ulicy i widzi znajome trio. W brzuchu czuje znajomy nieprzyjemny ucisk.

- O nie - mamrocze. - Znów to samo. Ku jego zaskoczeniu Vicki bierze go za rękę.

- Kim oni są? - szepcze niespokojnie.

- To ciemna strona Mocy.

Rozrechetani niczym stado hien, Vinny, Al i Tony przechodzą przez jezdnię i wdrapują się po schodach. Vinny wciska się na taras obok Vicki, która przesuwając się bliżej Johnny'ego. Al i Tony przyglądają się mu i uśmiechają sceptycznie, jak matka, która właśnie przyłapała syna z ręką w słoju z ciasteczkami.

- Dobry wieczór, panie Catini - odzywa się Vinny z szerokim uśmiechem, poprawiając okulary przeciwsłoneczne,

z którymi nigdy się nie rozstaje. - Witam - zwraca się miękko głosem do Vicki. - Mam na imię Vincent.

- Ma na imię Vinny - prostuje Johnny. - Dlaczego wreszcie nie ściągniesz tych koszmarnych okularów?

- Promienie UV, Johnny. Są wszędzie, nawet nocą. Nie wiedziałeś?

- Taa, jasne. To może pójdziecie do domu, zanim doznacie poparzenia słonecznego?

Al i Tony wybuchają śmiechem, Vinny cmoka.

- Johnny, zapominasz o dobrych manierach? - Kręci głową. - Nawet nie przedstawiłeś nam swojej przyjaciółki.

- Miałem nadzieję, że tego uniknę.

Vicki puszcza dłoń Johnny'ego i wyciąga rękę do Vinny'ego.

- Cześć. Mam na imię Vicki.

- Miło mi cię poznać. - Chwyta jej dłoń i przyciąga do ust, lecz w ostatniej chwili obraca rękę i całuje własną. Vicki wydaje się zdezorientowana, lecz Al i Tony zrywają boki ze śmiechu.

- To się nazywa uprzejmość - odzywa się Johnny i wyjmuje dłoń Vicki z uścisku Vinny'ego.

- Pozwól, że przedstawię ci tych chuliganów. Vinny'ego już znasz, a ci dwaj to Al i Tony. Miałem nieszczęście dorastać w ich towarzystwie.

- Miło mi - mówi Vicki.

- Cała przyjemność po naszej stronie - zapewniają Al.

- Ale chyba nie zamierzacie tutaj zostać, co?

- dopytuje się Johnny.

- Och, nie, jasne, że nie - oznajmia Vinny.

- Właśnie wracaliśmy do Hill. Przyszło nam do głowy, że wpadniemy do Eddiego na kawę, ale Tony'ego naszła chętka na efki, więc zrobiliśmy sobie przystanek tutaj.

- Skoro o tym mowa... - mówi Tony i zbiega ze schodów, żeby ustawić się w kolejce przed okienkiem.

- Wracając do tematu - ciągnie Vinny. - Na widok ciebie i Vicki pomyśleliśmy, że byłoby nieuprzejmie nie podejść i nie przywitać się.

- Jakoś bym wam wybaczył.

- Od czego są przyjaciele?

- Słuchaj, Johnny - wtrąca się Al. - Może oboje wybierzecie się z nami do Eddiego na kawę?

- Genialna myśl - zachwyca się Vinny i spogląda na Vicki. - Bardzo prosimy, chodźcie!

- Chłopie, masz pojęcie, ile wlałem w siebie kofeiny dzisiaj wieczorem? - jęczy Johnny. - Jeszcze trochę i będę chodził po ścianach.

- Spoko, Johnny, dostaniesz bezkofeinową.

- Nie, chłopaki, dzięki. Vicki jest trochę zmęczona i chce wrócić do domu, a ja muszę jutro jakoś wstać, żeby otworzyć sklep. Ale wiesz co, Al? Chodź na chwilę. - W głowie Johnny'ego świta niejasna myśl, więc wstaje i schodzi kilka stopni. - Zaopiekuj się Vicki na minutę - zwraca się do Vinny'ego i posyła mu groźne spojrzenie. - I trzymaj łapy przy sobie.

- Ze mnie zawsze dżentelmen w każdym calu. Johnny bierze Ala pod rękę i prowadzi go w dół schodów, żeby Vicki nic nie słyszała.

- Słuchaj, Al. W poniedziałek idziesz do nowej roboty, tak?

- No tak. - Al wzrusza ramionami. - Czemu pytasz? Co się stało, Johnny?

- Jeszcze nic się nie stało, ale może będę chciał cię prosić o małą przysługę. Jeden mój znajomy uczy na uniwersytecie Browna i ma problem z mandatem za parkowanie. To jeszcze

nie jest pewne, ale myślisz, że mógłbyś załatwić dla mnie tę sprawę? Jeśli będzie potrzebował?

Al uśmiecha się od ucha do ucha.

- Jasne - poklepuje Johnny'ego po ramieniu. - Teraz pracuję dla społeczeństwa. Jestem po to, żeby służyć ludziom pomocą.

- Super. To pomoże Vicki, bo ona chce dostać etat wykładowcy.

- Mam przy sobie dwa piątki, mogą się przydać?

Johnny śmieje się i kręci głową.

- Nie, dzięki. Wystarczy, że zajmiesz się dla mnie tym mandatem.

- Nie ma sprawy. Przekręć do mnie i podrzuć mi nazwisko, kiedy tylko będziesz gotowy - podkreśla Al.

Kiedy z powrotem wdrapują się po schodach, Al nagle przystaje, szarpie Johnny'ego za kurtkę i puszcza do niego oko.

- Tak na marginesie, nie mam ci za złe, że nas spławiasz. Ładna z niej sztuka.

- Wiem, wiem.

Po odejściu trzech muszkieterów Johnny odwozi Vicki do domu. Parkuje na ulicy przed budynkiem i przez pewien czas siedzą w samochodzie, rozmawiając o wszystkim i o niczym. Mówią o wieczorku poetyckim i Horasie, o nieporozumieniu ze sprzętem technicznym i o wizycie w barze Haven Brothers. Jednak po pewnym czasie nieuchronnie zapada niezręczna cisza.

- Wiesz, Johnny - odzywa się Vicky po chwili. - W kawiarni wspomniałeś, że nie wiesz, jak obsługiwać komputer w swoim sklepie, prawda? Z przyjemnością pokazałabym ci kiedyś, od czego zacząć, o ile miałbyś ochotę się nauczyć.

- Dzięki. Chętnie skorzystam któregoś dnia.

Znowu milczą. Vicki spogląda na swoje dłonie, a potem podnosi wzrok na Johnny'ego.

- Mógłbyś zacząć od zaraz - proponuje cicho. - O ile chciałbyś wejść na minutę. Mam w domu komputer, przy którym moglibyśmy wspólnie popracować.

- Pamiętam - odpowiada Johnny. Długo nie odrywa wzroku od deski rozdzielczej. - Na pewno nie jest za późno? Znaczący, nie jesteś zbyt zmęczona?

- Zaparzę kawy.

- Błagam. Cokolwiek, byle nie kawa.

- Co tylko zechcesz.

Johnny bierze głęboki oddech.

- Dobrze - decyduje i otwiera drzwi. - Chyba nigdy nie jest za późno na to, żeby nauczyć się czegoś nowego.

Razem idą do domu. Vicki otwiera drzwi i wchodzi do środka, ale Johnny się waha.

- Widzisz - odzywa się. - Przez cały wieczór próbowałem pożegnać się z tobą, ale coś mnie powstrzymywało przed odejściem. Nie wiesz, co to?

Vicki nie odpowiada, tylko szerzej otwiera drzwi i zaprasza go do środka.

ROZDZIAŁ dwudziesty pierwszy

Spójrzmy prawdzie w oczy, z falą na morzu nie ma co walczyć, nie ma sensu nawet próbować. Lepiej starać się płynąć na jej grzbiecie najdłużej, jak się da, i mieć nadzieję, że uda się przetrwać w jednym kawałku, kiedy w końcu fala rozbije się o brzeg. Wiercie mi jednak, że sama taka przejażdżka jest nie z tej ziemi.

Tam właśnie są teraz Vicki i Johnny, na szczycie fali, pędzą na niej na łeb na szyję, ale tak naprawdę nie mają o tym pojęcia. Oboje przymykają oczy, jakby usiłowali udawać, że nic się właściwie nie dzieje. Teraz jednak zadziałały już siły znacznie potężniejsze od nich i oboje mają świadomość, że niewiele na to poradzą.

Wyjaśnię wam, o czym mówię. Chodzi o to, że w następnych tygodniach ich wspólne wieczory będą zaczynały się i kończyły praktycznie w taki sam sposób. Ta noc nie jest wyjątkiem. Kiedy Johnny zjawia się pod domem Vicki, ona otwiera drzwi, zanim jeszcze on dotrze na szczyt schodków. Wypracowali sobie rytuał, który zawsze powtarzają. Johnny wspomina coś o tym, że właśnie był w pobliżu i postanowił wpaść, aby spytać, co tam u niej, z kolei Vicki za wszelką cenę próbuje udawać zaskoczoną jego widokiem. Potem, jak zawsze, mówi mu, że właśnie wychodzi, ale mogą wybrać się tam razem, o ile on ma ochotę.

Rzecz jasna, Johnny niezmiennie idzie. Wszystko, co robią, to element rozwoju rytuału, który zapoczątkowali. Vicki nigdy nie ciągnie go dwa razy w to samo miejsce, ale zawsze wybiera coś kształcącego. Jednego wieczoru każe mu siedzieć na wykładzie o współczesnej sztuce, następnego prowadzi go do biblioteki, a jeszcze innego zabiera go na recital fortepianowy. Poważnie, pomyślcie sami: wyobrażacie sobie Johnny'ego na recitalu fortepianowym?

Co oczywiste, te krótkie wyprawy nie są oficjalnie zaplanowane, wręcz przeciwnie. Nigdy nie zamierzają ponownie się spotkać, ale tak czy owak, Vicki jest zawsze gotowa zabrać Johnny'ego na jakąś kulturalną imprezę na uniwersytecie lub gdzieś nieopodal. Wystarczy, że Johnny przypadkiem zjawi się na progu.

Posłusznie i bez słowa sprzeciwu towarzyszy jej za każdym razem, choć nigdy nie jest pewien, dlaczego to robi. Gdyby go spytać, bez wahania przyznałby, że nigdy nie interesował się ani sztuką, ani literaturą, ani muzyką klasyczną. Mimo to czuje się w obowiązku iść, zupełnie jakby znowu był dzieckiem i kazano mu chodzić do szkoły.

- Gdzie idziemy dzisiaj? - pyta, kiedy spacerują ulicą.
 - Chcesz powiedzieć: „dokąd” - poprawia go Vicki.
 - Hm?
 - Dokąd. Wiesz, nie mówi się iść gdzieś, tylko iść dokądś.
 - Nie kumam.
 - Zawsze mówisz slangiem. Masz coś przeciwko normalnemu językowi?
 - Nic - burczy Johnny z niezadowoleniem. Vicki wzdycha głęboko i uśmiecha się do niego.
 - Wydaje mi się, Johnny Catini, że jesteś wkurzony.
- Johnny wzrusza ramionami.
- A ja myślałem, że w Providence.
 - Dzisiaj wieczorem w miasteczku uniwersyteckim grają film Felliniego, który zawsze chciałam obejrzeć.
- Johnny rzadko chodzi do kina, więc z umiarkowanym entuzjazmem przyjmuje wiadomość, że Vicki będzie go ciągnęła na zagraniczny film z napisami.
- To prawdziwa perełka! - wykrzykuje Vicki na widok obojętnej miny Johnny'ego. Przystaje. - Podobnie jak ty.

Unosi rękę, jakby chciała wsunąć mu ją pod ramię, ale tylko wpycha dłonie do kieszeni kurtki. Idą dalej w kierunku kina, w odległości kilku centymetrów od siebie.

Później, po projekcji, wybierają się na kawę. To także część rytuału. W kawiarni rozmawiają o wydarzeniu artystycznym, w którym właśnie uczestniczyli, choć prawdę powiedziawszy, zazwyczaj mówi niemal wyłącznie Vicki, Johnny zwykle tylko siedzi i słucha. Co jednak zaskakujące, bardzo uważnie śledzi jej tok rozumowania i nie nudzi się prawie nigdy. Tego wieczoru musi wysłuchać wykładu Vicki o filmie, a po pewnym czasie mimowolnie się uśmiecha.

- Co jest? - pyta Vicki, przerywając w pół zdania.

- Nic. Myślę i tyle.

- O czym? - Vicki wydaje się nieco urażona. - To wyglądało tak, jakbyś śmiał się ze mnie.

- Nie. - Johnny poklepuje ją po dłoni. - Wcale nie. Uśmiechnąłem się, bo myślę, że dobra nauczycielka z ciebie.

- Dlaczego tak mówisz? Johnny wypija łyk kawy.

- Bo ja wiem? Może dlatego, że zawsze czuję się jak w klasie, kiedy jesteśmy razem. Rozumiesz?

- Nie.

- Nie ma się czym przejmować. Mnie to nie przeszkadza. Chodzi o to, że zawsze bierzesz mnie w miejsca, w które nawet nie myślałem, że kiedyś trafię, a kiedy o tym mówisz, wszystko jest takie ciekawe. Wiesz, na pewno musisz być dobra w tym, co robisz. To jakby przywilej dla mnie. Vicki pochyła się nad stołem.

- Przywilej? Co masz na myśli?

- No bo widzisz, ci studenci tutaj muszą płacić kupę pieniędzy, żeby słuchać, jak uczysz, a ja mam wszystko gratis.

- Pomagam ci najlepiej, jak umiem. Wiem, że wcześniej nie miałeś do czynienia z większością tego, o czym mówię. Trudno się zorientować, jak dużo dzieje się w miasteczku

uniwersyteckim, jeśli ktoś jest spoza uczelni. Moim zdaniem dobrze, że bywasz na tych imprezach. Powinieneś korzystać z tego, co się tu organizuje, bo w ten sposób poszerzasz horyzonty.

- Miło, że chcesz mi pomóc.

Przez pewien czas oboje milczą. Wpatrują się w siebie, a następnie ponownie popijają kawę.

Potem Johnny odprowadza Vicki do domu, i teraz wygląda to tak, jakby zaczęła tykać bomba zegarowa, gotowa lada chwila eksplodować. Vicki coraz bardziej się denerwuje, im bliżej są domu, tym szybciej mówi. Nawet mnie zdumiewa fakt, że nigdy nie brak jej tematów. Kiedy docierają do drzwi, w napięciu wymieniają błahe uwagi o tym i o owym, a następnie Vicki standardowo zaprasza go do środka na jeszcze jedną kawę. Chyba nie przeszkadza im fakt, że przed chwilą opuścili kawiarnię. Vicki mogłaby zaprosić go na kieliszek wina, na program w telewizji, albo nawet na partię szachów, lecz z nieokreślonego powodu zawsze proponuje mu kawę. W sumie to bez znaczenia, bo i tak nie będą popijać wina, oglądać telewizji ani grać w szachy. Chodzi o pretekst, żeby pomóc Johnny'emu przekroczyć próg wraz z nią. Moim zdaniem, z kawą jest najłatwiej.

Wchodzą do środka i Johnny podąża za Vicki do salonu. Vicki nastawia płytę, a gdy rozbrzmiewa muzyka, odwraca się do niego.

- Podoba mi się ten utwór - mówi Johnny i robi, co w jego mocy, żeby do niej nie podejść. - Co to?

- Symfonia Mozarta, opus dwudzieste piąte, g - - moll - odpowiada Vicki bez tchu.

Johnny się waha, ale w końcu niepewnie się zbliża. Każdego wieczoru, kiedy są razem, oboje usiłują trzymać się na dystans, ale codziennie ich starania trwają coraz krócej.

Vicki wpatruje się w niego bezradnie, jak jeleń na drodze, który gapi się na reflektory nadjeżdżającego samochodu.

- Naprawdę powinienem iść - odzywa się Johnny.
- Wiem.
- Naprawdę nie powinienem tutaj być.
- Wiem.
- Mama zabiłaby nas oboje, gdyby o tym wiedziała.
- Wiem.
- Kompletnie nic nas nie łączy.
- Wiem.
- Twoi przyjaciele mnie nie cierpią.
- Wiem, wiem.

Zanim Johnny wymyśli kolejny powód, dla którego nie powinni być razem, padają sobie w ramiona. Właśnie wtedy nadciąga ta przeklęta, wielka fala, porywa ich oboje i niesie ze sobą. Nic nie mogą na to poradzić, więc nawet nie próbują walczyć.

No ale trudno się dziwić. Tak wygląda amore.

ROZDZIAŁ dwudziesty drugi

Nie wiem, o co chodzi z tymi komputerami, ale jakoś nigdy mnie specjalnie nie pociągały. Wszyscy robią zamieszanie z powodu tego całego Internetu, a jak dla mnie, niezbyt się on różni od telewizji. Kupiłem komputer tylko z jednego powodu. Któryś z naszych dostawców przekonał mnie, że mogę oszczędzić pieniądze, na bieżąco śledząc stan magazynu, zamawiając towar, płacąc rachunki i w ogóle. Mówił tak, jakby to był największy wynalazek od czasów krojonego chleba. Wcześniej właściwie zawsze wystarczał mi papier i ołówek. Jasne, moja księgowość może i nie była genialna, ale pełne i precyzyjne zapisy to niekoniecznie najlepsza rzecz pod słońcem, kiedy prowadzi się interes, a szczególnie gdy skarbówka wpada z wizytą... Poza tym zawsze przestrzegałem zasad ogólnie przyjętych w księgowości - rozumiecie chyba, o co mi chodzi.

Mimo to doszedłem do wniosku, że chyba nadszedł czas, aby zaryzykować. Wiadomo, trzeba było wprowadzić sklep w koniec XX wieku. Problem w tym, że kiedy rozpakowałem pudło i postawiłem komputer na ladzie, zabrakło mi cierpliwości, aby usiąść i nauczyć się, jak działa. Nie miałem nawet pojęcia, jak włączyć to urządzenie, więc machnąłem ręką. Codziennie obiecywałem sobie, że je uruchomię, ale zawsze wymyślałem jakąś wymówkę, aby tego nie robić. W niedługim czasie stanęło na tym, że zrobiłem z komputera tablicę do przyklepania karteczek z notatkami. Przynajmniej nie wyrzuciłem pieniędzy w błoto. Ostatecznie kompletnie zapomniałem o sprzęcie, który stał się dla mnie jeszcze jedną zawalidrogą. Patrzyłem na to tak: zrobiłem, co należało, bo kupiłem grata, więc teraz ktoś powinien przyjść i nauczyć mnie, jak z niego korzystać.

Do sklepu wchodzi Nina, widzi Johnny'ego za ladą i zbliża się do niego.

- Co robisz?

Johnny nie podnosi wzroku znad komputera i przez cały czas stuka w klawisze. Usiłuje przepisać liczby z ostatniego spisu towaru. Co pewien czas zerka do grubego podręcznika „dla początkujących”, który położył obok na ladzie. Wszystko dla niego jest zupełną nowością, w dodatku bardziej niż skomplikowaną, lecz wygląda na to, że zaczyna chwytać, o co chodzi. Pomrukuje pod nosem melodię z magnetofonu, który przyniósł do pracy dzisiaj rano.

Siostra zachodzi go od tyłu i zagląda mu przez ramię.

- Johnny, co ty robisz?

- A jak ci się wydaje? Pracuję.

- Od kiedy masz jakieś pojęcie o komputerach? Zawsze mówisz, że nie wiesz nawet, jak to włączyć.

- Właśnie się uczę.

Nina się cofa.

- Tatko miał się nauczyć, jak używać komputera, ale zachorował - zauważa ponuro. - Nigdy się do tego nie zabrał, bo był zavalony obowiązkami. Niby dlaczego ty masz czas na naukę?

- Bo nie jestem tatkiem - odpowiada Johnny. - A teraz pozwolisz mi pracować czy nie?

- Pewnie. Przyszłam tylko po kilka żarówek.

Odwraca się i idzie do drugiej części sklepu.

- Nie zapomnij powiedzieć mi, ile wzięłaś! - woła za nią Johnny. - Chcę na bieżąco aktualizować bazę danych.

- Jasne, Billu Gatesie! - odkrzykuje Nina.

Chwilę później wraca i kładzie żarówki na ladzie.

- Trzy sztuki, każda po sto watów.

- Dzięki - mówi Johnny i nadal stuka w klawisze.

Nina opiera łokcie o ladę i wraz z nim wpatruje się w ekran.

- Naprawdę radzisz sobie coraz lepiej, co?

- Ech. - Johnny wzrusza ramionami. Nina spogląda na magnetofon.

- Czego słuchasz?

- Mozarta.

- Mozarta?

- Symfonia jakaś tam g - moll. Ładna, nie?

Nina przypatruje się bratu z uwagą, a następnie wyciąga rękę i przykładła mu dłoń do czoła.

- Na pewno dobrze się czujesz? - W jej wzroku pojawia się troska.

Johnny w końcu odwraca się od komputera i kieruje spojrzenie na siostrę.

- Na pewno - odpowiada ze śmiechem. - A coś się stało?

- Bo ja wiem... Po prostu wydajesz się...

- Jaki?

- Trudno powiedzieć. Chyba jakiś inny.

- Po prostu jestem zajęty. Wierz mi.

Wraca do pracy i znowu koncentruje się na klawiaturze. Nina się cofa i przez pewien czas obserwuje brata w milczeniu, aż w końcu bierze kurtkę i torebkę i mówi:

- Wiesz co, tatko zawsze powtarzał, że pokaże dzieciakom, jak korzystać z komputera, kiedy tylko go podłączy i uruchomi.

- Są trochę za małe, nie?

- Coś ty. Właśnie teraz powinny zacząć, zanim pójdą do szkoły. Teraz wszystkie dzieciaki korzystają z komputerów.

- Hm, może i masz rację. - Johnny usiłuje się skupić. - W sumie nigdy o tym nie pomyślałem.

- Nie znalazłbyś kiedyś chwili, żeby im pokazać, co i jak z tym komputerem?

Johnny odwraca się na krześle, twarzą do niej.

- Ja? Co ty, na żarty ci się zebrało?

- Nie rób takiej miny - upomina go siostra. - No, zgódź się, będzie fajnie. Dzieciaki cię uwielbiają, zafundujesz im super rozrywkę.

- Nina, przecież ja ledwie się w tym rozeznaję. Niby jak mam je czegoś nauczyć?

- Bez obaw, coś wymyślisz.

- Taa, pewnie. A potem będzie na mnie, jak pójdą do szkoły i nie będą miały pojęcia, co do czego.

- Wcale nie. No, proszę, powiedz, że się zgadzasz - nalega Nina.

Johnny mamrocze coś pod nosem.

- Uznaję to za zgodę. - Nina się uśmiecha, a potem przez chwilę wodzi wzrokiem po sklepie. Na jej twarzy pojawia się smutek.

- Co ci jest? - chce wiedzieć Johnny. - Wszystko dobrze?

- Tak - mówi Nina. - Myślałam o tatku. Mineły już dwa miesiące, od kiedy umarł. Aż trudno uwierzyć.

- Przy dobrej zabawie czas mija jak z bicza trzasł.

- Zamknij się, Johnny. Mówię poważnie. Kiepsko się z tym czuję.

- Wiem, wiem. Wszystkim nam z tym źle. Ale co zrobić?

- Chyba nie da się nic zrobić, ale dobrze jest pogadać. - Nina zerka na kalendarz ścienny. - Już prawie listopad i Święto Dziękczynienia za pasem, potem Gwiazdka i Nowy Rok. Bez tatka święta nie będą takie same.

- Jakoś sobie damy radę.

- Chyba nie mamy wyjścia. Myślisz, że w tym roku mama poradzi sobie z ugoszczeniem wszystkich?

- Mam nadzieję. Jeśli nie, to wybuchnie trzecia wojna światowa, kiedy trzeba będzie zdecydować, w którym domu urządzimy Dziękczynienie.

- Nie pomyślałam o tym.

- No to się przygotuj.

- Dobrze. - Nina zbiera się do wyjścia. - Przynajmniej mamy na co czekać. Na mnie czas. Może wpadniesz dzisiaj na kolację? Gina i Jimmy też przychodzą.

- Dzięki, ale mam zajęty wieczór.

- Czym zajęty?

- Idę do biblioteki.

- Do biblioteki? - powtarza Nina i wpatruje się w brata z uwagą. - Na pewno dobrze się czujesz?

- Tak, a teraz może już pójdziesz sobie i pozwolisz mi skończyć pracę?

- Jak sobie życzysz. Tylko daj mi znać, kiedy dostaniesz stypendium Rhodesa.

- Nie ma sprawy - mamrocze Johnny.

Może roześmiałyby się, gdyby wiedział, czym jest naukowe stypendium Rhodesa. Ale nie wie, więc wraca do roboty i znowu pomrukuje do muzyki z magnetofonu.

ROZDZIAŁ dwudziesty trzeci

Kobiety uwielbiają mówić, i dobrze, bo większość mężczyzn idzie przez życie w zupełnym milczeniu. Na szczęście kobiety wypełniają tę pustkę, inaczej nie byłoby zbyt wielu rozmów między płciami. Gdyby to zależało od nas, zapanowałaby długa cisza, okazjonalnie przerywana uwagami typu: „Podaj sól” albo „Możesz mi oddać kołdrę?”.

Kobiety ogólnie myślą o znacznie większej liczbie spraw niż mężczyźni, więc to logiczne, że mają również dużo więcej do powiedzenia. Pamiętam, jak kiedyś w sklepie, akurat dzień był dosyć spokojny, zająłem się płaceniem rachunków, podliczaniem paragonów i tak dalej. Nagle dzwoni Teresa i chce rozmawiać o Świącie Dziękczynienia czy o czymś z nim związanym, nie za bardzo teraz pamiętam. Mamrocze więc coś niezrozumiale, nieważne co, ważne jest to, iż daję do zrozumienia, że oficjalnie biorę udział w rozmowie. Wymaga to ode mnie okazjonalnych „hm” albo „uhm”, albo „wiem”. Moim zadaniem jest słuchanie tego, co mówi Teresa, więc tak robię, dopóki nie okazuje się, że skończył mi się atrament w piórze i nie mogę dokończyć wypisywania rachunków. Wtedy odkładam telefon i zaczynam się rozglądać za piórem. Wracam po minucie czy dwóch, podnoszę słuchawkę, a Teresa dalej gada, w ogóle nie przerwała.

- Uhm - mówię i wracam do rachunków. Wchodzi klient, więc znowu odkładam słuchawkę i idę go obsłużyć. Gość szuka jakichś pędzli, szybko mu je podaję, kładę wszystko na ladzie i podliczam, facet płaci i wychodzi. Trwa to jakieś cztery minuty, może pięć. Podnoszę słuchawkę i od razu się orientuję, że Teresa nie zdażyła za mną zatęsknić.

- Uhm - mówię.

Przez następnych dziesięć albo piętnaście minut kartkuję katalogi, żeby sprawdzić, czy pojawiło się coś nowego, co powinienem mieć z nadejściem zimy. Trzeba zmieniać towar

w zależności od sezonu, tak postępuje większość sklepów. Zauważam parę rzeczy, które mogłyby się przydać, więc spisuję je na kartce, żeby nie zapomnieć. Przez cały ten czas Teresa nie przerwała ani na moment.

- Wiem. - Kończę przeglądanie i wpycham katalogi pod ladę. - To co jest dzisiaj na kolację?

Nie zrozumcie mnie źle; choć kobiety uwielbiają mówić, to i tak potrafią słuchać o wiele lepiej niż mężczyźni. Dlatego jeśli kobieta przejmuje się czymś naprawdę ważnym, zwykle podzieli się tym z inną kobietą, zamiast tracić czas na omawianie tego z mężczyzną. Dzięki temu ma szansę na w miarę rozsądny komentarz, nawet jeśli rozmawia z nieznaną. Czasem wydaje mi się, że tak jest nawet lepiej.

Tak czy owak, kiedy kobieta musi się wygadać, to nie ma odwrotu, a teraz Vicki ma właśnie taką potrzebę. Dzień w dzień chodzi po Uniwersytecie Browna jak w transie, bo wie, że sprawa z Johnnym jest co najmniej dziwna. Jednocześnie czuje, że znalazła zakazany owoc i po prostu nie może się powstrzymać od skosztowania.

Pewnego popołudnia, wracając z ostatnich zajęć przez kampus, widzi przed sobą Emily. Jest chłodno, wieje ostry wiatr. Vicki ma na sobie gruby sweter, ale Emily okutała się w zimowy płaszcz, czapkę i szal.

- Zamarzam! - krzyczy Emily.

- Widzę. Dokąd idziesz?

- Do swojego gabinetu.

- Mogę się zabrać z tobą?

- Jasne, dawno się nie widziałyśmy. Pogadamy o tym, co się działo.

Kiedy wdrapują się po schodach Wydziału Anglistyki, natykają się na Horace'a, który zmierza w przeciwną stronę. Na pewno pamiętacie Horace'a, to jego Johnny poznał tamtego wieczoru, gdy poszedł do kawiarni. Prawdę mówiąc, Horace

nie jest taki zły, tylko trochę mnie wkurzył, kiedy potraktował z góry Johnny'ego. Ale spokojnie, już się tym zająłem. Horace uśmiecha się półgębkiem na widok Vicki i Emily, chociaż w tej chwili wygląda jak żywy trup. Wita się pośpiesznie i idzie dalej.

- Co się dzieje z Horace'em? - pyta Vicki, gdy wchodzi do gabinetu Emily. - Wygląda dziś strasznie.

- Chyba nic poważnego - odpowiada Emily. - Rano mówił mi, że ostatnio kiepsko sypia. Podobno ciągle śni mu się jakiś dziwny koszmar, w którym gania go dinozaur.

- Dinozaur? - śmieje się Vicki. - Czyżby naoglądał się za dużo horrorów?

- Moim zdaniem pije za dużo kawy - chichocze Emily.

- Możliwe.

Emily zaczyna układać papiery na biurku, i mogę was zapewnić, że to nie lada zadanie. Błat wygląda jak pojemnik na śmieci, jest zasłany stosami książek, studenckich esejsów oraz jej własnych niedokończonych rękopisów.

- Co u ciebie? - pyta, zrzucając część rzeczy do jednej z szuflad. - Dawno nie rozmawiałyśmy.

- Szaleństwo. - Vicki siada ciężko na niewielkiej sofie naprzeciwko biurka i spogląda na ścianę.

Emily zawiesiła na niej zdjęcie amfiteatru w Taorminie na Sycylii. Miłe miejsce, na skale, z widokiem na ocean. Sam chciałbym kiedyś tam pojechać.

Wszystko w swoim czasie. Emily patrzy na Vicki.

- Nadal widzisz się z Johnnym? - pyta.

- Właśnie dlatego szaleństwo - wzdycha Vicki.

- Rozumiem. Chcesz o tym pogadać?

Czy Vicki chce o tym pogadać? To jakiś żart? No więc Vicki mówi wszystko, naprawdę wszystko, sto procent. Od góry do dołu, w tę i z powrotem. Nawija ile wlezie, gada jak nakręcona, spowiada się jak w konfesjonale. Imiona,

nazwiska, miejsca. Chociaż już nie żyję, nie mogę uwierzyć w to, co słyszę. Mannagia, połowy z tego nawet nie pamiętam!

Kiedy Vicki wreszcie kończy spowiedź, Emily przez chwilę tylko siedzi, niewątpliwie przerażona, bo jej twarz ma identyczny kolor jak kartka, którą właśnie przewróciliście. Vicki z kolei leży na sofie, zakrywa oczy i twarz, jakby się bała, że sufit zaraz się na nią zwali.

- Tylko nie mów, że potrzebuję pomocy specjalisty! Tyle to sama wiem.

- Nie, nie potrzebujesz pomocy specjalisty - oświadcza Emily cicho. - Potrzebujesz tylko chwali samotności, żeby zrozumieć, dlaczego zakochałaś się w... w obu tych mężczyznach.

- Emily, myślisz, że nie kombinowałam, o co biega? - wybucha Vicki. - Właśnie dlatego jestem w takim stanie.

Emily patrzy na nią dziwnie.

- Mogłabyś powtórzyć?

- Co?

- Nic, nieważne.

- Najgorsze, że mam okropne poczucie winy.

- Bo Johnny jest synem Nicka?

- Nie, chodzi mi o Horace'a.

- A co z nim? - pyta Emily ostrożnie. - Nie chcesz chyba powiedzieć, że ty i Horace...

- Na litość boską, jasne, że nie! - Vicki znowu krzyczy. - To coś innego.

- Czyli co?

- Trudno wytłumaczyć.

- Strasznie się dziś płaczesz, Vicki. Po prostu powiedz i już.

Vicki odrywa ręce od twarzy.

- Horace chyba się uparł nie lubić Johnny'ego. - oznajmia. - No i już, powiedziałam.

- Możesz powtórzyć?

- Co?

- To pierwsze zdanie.

Vicki ciężko wzdycha.

- Horace chyba się uparł nie lubieć... O, Boże, słyszysz, jak ja mówię? - Znowu ukrywa twarz w dłoniach. - Co się ze mną dzieje?

- Myślę, że sama wiesz. - Emily śmieje się cicho. - Ale dlaczego czujesz się winna temu, że Horace być może nie lubi Johnny'ego?

- Odkąd tu przyjechałam, Horace jest dla mnie taki dobry. Wiem, że to zabrzmiało strasznie, ale podświadomie boję się, że nie pomoże mi zdobyć tu etatu właśnie ze względu na Johnny'ego. Okropnie mi głupio, że tak myślę, ale nic na to nie poradzę i bywają dni, że wkurzam się na Horace'a, że to przez niego tak się czuję. Mam ochotę stawić mu czoło, innym zresztą też, i bronić Johnny'ego. Dlaczego ni stąd, ni zowąd wszyscy staliśmy się takimi snobami?

- Horace zawsze był dla ciebie kimś w rodzaju ojca, prawda?

- Chyba tak - przyznaje Vicki. - Ale co to właściwie znaczy?

Emily prostuje się i składa ręce, po czym z zadumą patrzy na Vicki.

- Nie jestem pewna, ale przez chwilę pobawię się we Freuda i zobaczymy, czy uda nam się coś z tego zrozumieć.

- O Boże, czyli jednak myślisz, że potrzebuję pomocy specjalisty - jęczy Vicki.

- Na razie ja ci muszę wystarczyć. No dobrze, zaczniemy od Nicka. Twój ojciec zmarł, kiedy byłaś bardzo mała, więc być może zakochałaś się w Nicku z powodu nierozwiązanych spraw z okresu dorostania, które powinnaś była rozwiązać z ojcem.

- Chcesz przez to powiedzieć, że zakochałam się w Nicku, bo mam coś w rodzaju kompleksu tatusia?!

- Pozwól, że spróbujemy naświetlić całą sprawę - nalega Emily. - O ile wiem, kompleks Elektry leczy się po to, żeby młoda kobieta mogła w końcu ruszyć z miejsca i stworzyć udany związek z innym mężczyzną. W tym celu najpierw musi wyrosnąć z przywiązania do ojca. Ty nie miałaś tej szansy, bo twój ojciec odszedł na wczesnym etapie twojego życia, więc przeszłaś tę fazę już jako dorosła kobieta. Prędzej czy później musiał się znaleźć ktoś taki jak Nick.

- W porządku. - Vicki wydaje się bardziej niż sceptyczna. - Powiedzmy, że masz rację: Nick reprezentował mojego ojca. Sugerujesz, że to, co nas łączyło, było tylko fazą, przez którą musiałam przejść?

- Wszyscy przechodzimy przez pewne fazy i z nich wychodzimy, a ludzie, których spotykamy i w których się zakochujemy, są elementem tych etapów. Zastanów się nad tym - to, że w gimnazjum jakiś chłopak wpadł ci w oko, nie znaczy, że w przyszłości będziesz się zakochiwała tylko w takim typie mężczyzn, prawda? Ile razy chodziłaś na studiach z kimś, na kim ci naprawdę zależało, a teraz zastanawiasz się: Boże, co ja w nim widziałam, to taki frajer!

Vicki nieoczekiwanie wybucha śmiechem.

- Błagam, nawet nie zamierzam ich liczyć - wzdycha.

- Rozumiesz teraz, o co mi chodzi?

- Tak, ale to o wiele bardziej skomplikowane niż to, co mówisz.

- Rozumiem. Nick był pewnie inny od mężczyzn, z którymi umawiałaś się wcześniej, i wydał ci się atrakcyjny, bo miał ustaloną pozycję, był dojrzały i pewny siebie. Bywał w świecie, a przynajmniej w tej jego części, w której mieszkał. Niezależnie od wieku, takie cechy u mężczyzny są bardzo seksowne. Ja tam nie będę protestował.

- To brzmi tak, jakbyś i ty go znała - zauważa Vicki.
- Powiedzmy, że znam ten typ. Ale wracając do tematu - mogę się założyć, że w głębi serca byłaś gotowa prędzej czy później zakończyć ten romans, tylko że Nick zachorował.
- Skąd ta pewność?
- Odpowiem pytaniem na pytanie. Myślisz, że ty i Nick wzięlibyście ślub?
- Nie - odpowiada Vicki z westchnieniem. - Wiem, że w moich ustach dziwnie to zabrzmiało, ale Nick był naprawdę bardzo oddany żonie i rodzinie. Nie, małżeństwo nie wchodziło w grę.
- Hm. - Emily patrzy na nią z zadumą. - Zadam ci jeszcze jedno pytanie. Często razem chodziliście w różne miejsca?
- Vicki kręci głową.
- Prawdę mówiąc, rzadko kiedy wychodziliśmy ode mnie.
- Dlaczego?
- Nick znał mnóstwo osób i zawsze się bał, że na kogoś wpadniemy. To bardzo mały stan, Emily.
- Wiem.
- Poza tym ciągle mu się śpieszyło do pracy - dodaje Vicki. - Oboje usiłowaliśmy pogodzić mnóstwo zajęć i obowiązków. Czasem mnie to wkurzało.
- Mogę to zrozumieć, ale taka sytuacja odpowiadała wam obojgu, prawda? To znaczy świadomość, że wasz związek ma określone granice, ułatwiała sprawę, dzięki temu presja była mniejsza. Oboje wiedzieliście, że nigdy nie będziecie musieli zadawać sobie trudnych pytań, które pojawiają się, kiedy nadchodzi pora na decyzję, czy chce się z kimś związać na poważnie.
- Może i tak. Nigdy tak o tym nie myślałam. A co z Horace'em?
- Pewnie teraz, kiedy twój romans z Nickiem definitywnie się skończył, Horace został twoim tradycyjnym ojcem,

oczywiście w sensie psychologicznym. Nie myślisz o nim w romantycznych kategoriach, taką przynajmniej mam nadzieję, ale jak o człowieku, który o ciebie dba, ma na ciebie oko i do którego możesz się zwrócić o radę.

- A Johnny?

- Łatwizna - chichocze Emily. - Szaleńczo zakochałaś się w Johnnym, bo doskonale wiesz, że twój ojciec go nie cierpi.

- Boże! - śmieje się Vicki. Emily jej wtóruje.

- Naprawdę tego nie widzisz? Im bardziej twój ojciec go nie akceptuje, tym atrakcyjniejszy Johnny ci się wydaje. Historia stara jak świat.

- Czyli Johnny to Romeo, a ja to Julia, tak?

- Poniekąd. Przynajmniej ja tak to widzę.

Przez chwilę siedzą w całkowitym milczeniu.

- Co teraz zrobisz? - pyta Emily w końcu.

- Sama nie wiem. Za parę tygodni jadę do domu, do Maine, spędzić Święto Dziękczynienia z mamą. Chyba odłożę myślenie o tym, dopóki nie będę na miejscu, bo w tej chwili myślenie kiepsko mi wychodzi.

- C'est l'amour, mon amie.

Vicki bierze głęboki oddech i wstaje, po czym wygląda przez okno. Nad zieleńcem nadal szaleje wiatr, rozrzucając liście w niewielkich wirach, które wyglądają jak maleńkie tornada.

- Dziękuję, że mnie wysłuchałaś, Emily. Dobrze było wyrzucić to z siebie. Mam tylko nadzieję, że nie uznasz mnie za skończoną wariatkę.

- Nonsens - obrusza się Emily. - Czasem każdy musi pogadać o takich sprawach. To bardzo ludzkie.

- Dzięki - mówi jeszcze raz Vicki w drodze do drzwi.

- Do usług.

Po jej wyjściu Emily podchodzi do okna i patrzy, jak Vicki zmierza przez kampus, zmagając się z wiatrem. Słońce

chyli się ku zachodowi, a niebo wygląda tak, jakby na horyzont wylała się puszka pomarańczowej farby. Emily kręci głową, odwraca się i siada za biurkiem.

- O rany - mówi do siebie. - Dziewczyna naprawdę potrzebuje pomocy.

Może mieć rację, ale co tam wiedzą poeci?

ROZDZIAŁ dwudziesty czwarty

Pamiętacie, co wam mówiłem o talerzach, o tych, którymi Bóg kręci nad swoją głową, jak uliczni artyści? Teraz nadeszła taka chwila, w której talerze zaczynają się lekko chwiać, i wiadomo już, że wkrótce jeden z nich rąbnie w chodnik. Naturalnie, mamy do czynienia z Johnnym, więc zapewne talerze spadną mu na głowę, ale on na razie w ogóle się tego nie spodziewa. Siedzi właśnie i po raz setny wpatruje się przekrwionymi oczami w list od Amerykańskich Sklepów Żelaznych. Z westchnieniem puszcza kartkę, która ląduje na blacie, pociera oczy i ziewa. Przez brudnawe małe okienko nad jego głową wpadają promienie wschodzącego słońca, przez co niewielkie pomieszczenie na zapleczu skąpane jest w łagodnym bursztynowym świetle. Wszystko wygląda trochę nierealnie, jak na starej fotografii.

Johnny przyszedł do sklepu bardzo wcześnie, żeby wreszcie zabrać się do piętzącej się na biurku papierkowej roboty. Przy odrobinie szczęścia mógłby sporo zrobić jeszcze przed przyjściem klientów, jednak zamiast się tym zająć, zmarnował czas na czytanie tego bzdurnego listu, a zwłaszcza fragmentu o możliwie wysokim zwrocie inwestycji. Johnny nie jest księgowym, nie ma pojęcia, co to znaczy „możliwie wysoki”. Kusi go, żeby chwycić za telefon i poznać odpowiedź na to pytanie, ale wie, że o tej porze nikt nie odbierze. Wobec tego jak zwykle składa list i wpycha go do jednej z szuflad biurka, tłumacząc sobie, że niedługo postara się to załatwić.

- Niby dlaczego miałbym rezygnować z rajy? - mówi głośno.

Z trzaskiem zamyka szufladę i idzie do sklepu.

Ma dziś niezbyt dobry humor, bo jest poniedziałek, a Johnny od zawsze nienawidzi poniedziałków. Jego zdaniem nie ma w nich nic dobrego. Nikt nigdy nie podejrzewał

Johnny'ego o pracoholizm, więc poniedziałek dla niego to przygnębiające requiem na pożegnanie kolejnego cennego weekendu, a także równie przygnębiająca zapowiedź całego tygodnia pracy, który będzie się ciągnął aż do następnego weekendu. Najgorsze, że akurat dzisiejszy poniedziałek to dzień remanentu. Większość poranka Johnny spędzi na dreptaniu po każdej alejce i liczeniu towaru, żeby po południu złożyć nowe zamówienie. Prawdę mówiąc, sam nie cierpiałem remanentów, to istny koszmar.

Z tabliczką pełną przypiętych kartek w dłoni Johnny niechętnie bierze się do pracy. Spokojnym krokiem wchodzi w pierwszą alejkę i zaczyna liczyć produkty. Jasne, to żadna wielka filozofia, ale męcząca robota, bo przez cały czas trzeba się na niej skupiać. Co jakiś czas zerka przez ramię na komputer na ladzie, dzięki któremu kontrolowanie towaru i sporządzanie nowych zamówień stało się mniej kłopotliwe. Problem w tym, że nadal trzeba obejść wszystkie alejki i sprawdzić, co leży na półkach, to najgorsza część. Dopóki nie wymyślą komputera, który zeskoczy z lady i zrobi to za Johnny'ego, nikt go nie wyreczy. Dlatego właśnie komputer tylko stoi na ladzie, a monitor gapi się na Johnny'ego niczym ciemne kwadratowe oko, co trochę irytuje mojego syna.

Ranek mija, klienci wchodzi i wychodzą, to typowy poniedziałek o tej porze roku. Większość przedsiębiorców budowlanych robi wszystko, żeby skończyć prace na świeżym powietrzu przed nastaniem kiepskiej pogody, więc przez pewien czas Johnny ma pełne ręce roboty, ale potem w sklepie się trochę uspokaja. Zbliża się południe, kiedy Johnny słyszy dźwięk dzwonka w drzwiach wejściowych. Do sklepu wchodzi Angela, jak zwykle odpicowana, w butach na wysokich obcasach i dżinsach z kolorowymi nadrukami, i sprężystym krokiem zmierza ku ladzie.

Johnny nie widział jej od pogrzebu, ale chodziło mu po głowie, że ich spotkanie to pewnie tylko kwestia czasu, jednak przez nadmiar szaleństwa w ostatnich tygodniach kompletnie zapomniał o jej istnieniu. W tej chwili uświadamia sobie, że jeśli nie będzie uważał, jego życie lada chwila może skomplikować się jeszcze bardziej. Bierze głęboki oddech, szykując się na konfrontację.

Angela przechyla się przez ladę i całuje go w policzek.

- Witaj, nieznajomy - mówi z uśmiechem. - Kopę lat.

Wygląda fantastycznie i pachnie tymi samymi perfumami co wtedy, gdy po raz ostatni byli sami, po stypie. Johnny wdycha zapach dziewczyny, przez co nagle powracają wszystkie wspomnienia tamtej długiej nocy.

- Cześć, Angela - mówi niespokojnie. - Miałem... chciałem do ciebie zadzwonić.

- Och, nie wątpię.

Johnny odchrząkuje. Wie, że jest teraz pod obserwacją, co ostatnio bez przerwy mu się przytrafia. Cóż, takie są koszty.

- Nie powinnaś być w pracy? - pyta. Angela kładzie miękką, ciepłą dłoń na jego dłoń.

Delikatnie głaszcze palcami skórę Johnny'ego.

- Postanowiłam dziś zrobić sobie wolne - oznajmia. - Pomyślałam, że wpadnę się z tobą zobaczyć.

- Jak miło. - Johnny powoli wysuwa dłoń z jej uścisku.

Podnosi długopis i tabliczkę i udaje, że dopisuje coś do spisu towarów. Myśli sobie, że może jeśli będzie udawał bardzo zajętego, Angela pójdzie swoją drogą. Nie chodzi o to, że próbuje się jej pozbyć, tylko że... hm, próbuje się jej pozbyć. Angela to dobra dziewczyna, ale Johnny czuje, że nie ma szans w konfrontacji z nią, nie jest na to dość rozgarnięty - jak większość mężczyzn próbujących stawić czoło kobiecie, która dobrze wie, co robi.

Angela z kolei jest niesamowicie bystra, w każdym znaczeniu tego słowa, więc zachowanie Johnny'ego nie robi na niej najmniejszego wrażenia.

- Dawno się nie widzieliśmy. - Angela patrzy na niego wymownie. - Pomyślałam, że może zaprosisz mnie na lunch, żebyśmy mogli trochę pogadać.

- Hm, sam nie wiem, Ange. - Johnny ciężko wzdycha. - Nie mogę dziś wyrwać się ze sklepu, nikt mnie nie zastąpi, a do tego mam od groma zaległości.

Angela zaczyna się dąsać i przez chwilę Johnny ma nadzieję, że mu odpuści. Nagle jednak dziewczyna promiennie się uśmiecha.

- W porządku - mówi słodko. - Może kupię kilka kanapek i zjemy lunch tutaj?

Ku swojemu przerażeniu Johnny nie ma pojęcia, jak się z tego wywinąć, więc tylko stoi jak słup soli i zastanawia się, dlaczego kobiety zawsze potrafią go przechytrzyć, i to bez najmniejszego wysiłku. To naprawdę zaczyna go wkurzać, ale niby dlaczego akurat on miałby się różnić od całej reszty męskiej populacji?

- Dobrze - zgadza się niechętnie. - Możemy zjeść tutaj.

Tłumaczy sobie, że sklep to przynajmniej neutralny grunt i tu nie narobi sobie żadnych kłopotów. Gdyby zgodził się pójść z nią, kto wie, co mogłoby się zdarzyć. Wyciąga z kasy kilka banknotów.

- Proszę. Tylko nie kupuj nic, przez co będę miał agita.

- Zatrzymaj to sobie. - Angela mruga do niego. - Dziś ja stawiam.

Z zadowoloną miną odwraca się i, kołyszając biodrami, opuszcza sklep. Po jej wyjściu Johnny ukrywa twarz w dłoniach.

- Mam problem - jęczy. - Wiedziałem.

Angela wkrótce wraca z kanapkami i kawą. Kiedy rozstawia to wszystko obok kasy, Johnny wyciąga dwa taborety i podsuwa jej ten nowszy.

- Masz, weź ten dobry, ja wezmę taboret Dennisa Rozrabiaki.

- Co takiego? - śmieje się Angela.

- Taboret Dennisa Rozrabiaki - powtarza Johnny. - Nazywam go tak, bo kiedy byłem dzieckiem, tata zmuszał mnie do siedzenia na nim w kącie.

- Za karę?

- Nie - chichocze Johnny. - Ale tak się czułem. Widzisz, ojciec nigdy nie zmuszał mnie do pracy w sklepie, czasem tylko musiałem trochę zamieść albo pomóc klientom przenieść rzeczy do auta. Za to kazał mi siedzieć tutaj i przyglądać się, co się dzieje, i to godzinami, czasem miałem wrażenie, że przez wieczność. Tkwiałem tu i czytałem komiksy albo po prostu się nudziłem. Co jakiś czas wchodził klient, a wtedy ojciec nawijał z nim o tym czy o tamtym, ale jak już gość wyszedł, tatko odwracał się do mnie, patrzył na mnie po swojemu i pytał: „Ej, uaglio, słuchałeś uważnie?”. Dziwne, ale teraz co jakiś czas klienci pytają o różne rzeczy, na przykład, jak użyć jakiegoś narzędzia czy naprawić kran. Najdziwniejsze jest to, że w dziewięciu przypadkach na dziesięć znam odpowiedź, chociaż nie wiem skąd. Klienci wychodzą, a później pytam samego siebie, skąd niby to wiedziałem, do cholery?

- Pewnie mimo wszystko słuchałeś - zauważa Angela z uśmiechem. - Twój ojciec był dobrym nauczycielem.

Johnny wzrusza ramionami i siada na taborecie. Niewiele mówi podczas jedzenia, tylko komentuje pogodę albo inne drobiazgi. Angela zdaje się nie mieć nic przeciwko niezobowiązującej rozmowie, jednak nie spuszcza z niego wzroku. Johnny zaczyna się lekko niepokoić.

- Zawsze tu tak spokojnie w porze lunchu? - pyta Angela.

- Żartujesz sobie? Czasem mamy tu istne szaleństwo. Albo jest jak dzisiaj, tyle że nigdy nie wiadomo, kiedy rozpęta się piekło. A co, denerwuje cię ta cisza?

- Nie, szczerze mówiąc, tak jest lepiej. Miałam nadzieję, że będziemy mogli pogadać na osobności.

- Jak to? - dziwi się Johnny.

- A tak to, że chcę powiedzieć ci coś bardzo ważnego.

- Co? - Johnny odgryza spory kawałek kanapki.

W tej samej chwili zaczyna mieć dziwne przeczucie. Pamiętacie, co mówiłem wam o kręcących się talerzach? Johnny zaraz odkryje, jak łatwo mogą spaść i walnąć go w głowę.

Angela pochyla się ku niemu i rzuca mu pełne słodczy spojrzenie, a potem z uśmiechem bierze go za rękę.

- Johnny. - Jej głos jest bardzo spokojny. - Będziemy mieli dziecko.

Johnny nie wie, czy kanapka trafiła do złej dziurki, czy też może właśnie dostał ataku serca, ale nagle czuje, że nie może oddychać. Oczy wychodzą mu z orbit i uświadamia sobie, że wypłuł na wpół przeżuty fragment capocol' na kolana. Jest jak ogłuszony, więc tylko wpatruje się w Angelę, starając się z całych sił powiedzieć coś w miarę zrozumiałego, ale z jego ust wydobywa się jedynie dziwny charkot.

Angela nadal patrzy na niego słodko i podnosi kubek kawy.

- Żartowałam - mówi, zanim się napije.

Johnny wali głową o ladę, zanim w końcu udaje mu się złapać oddech.

- Na litość boską, Angela - jęczy. - Nigdy więcej tego nie rób.

Uśmiech znika z twarzy Angeli.

- Rozumiem, że sama myśl o tym wydaje ci się straszna - cedzi dziewczyna ze stoickim spokojem.

Johnny odrywa głowę od lady.

- Tak. - Kiwa głową dla podkreślenia powagi swojego komentarza. - Można powiedzieć, że to trochę przerażające.

- Myślałam, że tak właśnie zareagujesz.

- To po co to zrobiłaś?

- Sama nie wiem. - Wzrusza ramionami. - Chyba chciałam sprawdzić, czy nasze bliskie spotkanie po stypie coś znaczyło, czy po prostu oboje mieliśmy ochotę trochę... się rozerwać.

- Nie wiem, co to było - przyznaje Johnny, ocierając usta rękawem, i wzdycha. - Przepraszam, Angela, ale ostatnio wszystko stoi na głowie. Tyle się wydarzyło od śmierci ojca, że nie wiem, co robię. Czasem czuję się tak, jakbym wdepnął w czeluść.

- Chcesz powiedzieć, że czujesz się, jakbyś wpadł w czeluść, prawda? - Angela znowu się uśmiecha.

- Wszystko jedno.

Angela patrzy na niego uważniej niż dotąd. Zna Johnny'ego na tyle dobrze, że nie spodziewa się zwierzeń, ale jest dość bystra, żeby się zorientować w sytuacji.

- Czy chodzi o inną?

Johnny pociera kark i wbija wzrok w ladę.

- Nie, nie chodzi o inną. - Nawet on ma wrażenie, że jego głos nie brzmi przekonująco.

Angela śmieje się gorzko.

- Rozumiem. No to może opowiedz mi o niej.

Johnny zerka na nią, zdumiony jej reakcją. Prawdę mówiąc, sam jestem nieco zdumiony, w końcu Angela ma charakter. Głowę bym dał, że Johnny będzie musiał kryć się za ladą, żeby nie oberwać jakimś latającym w powietrzu przedmiotem.

- Daj spokój. - Angela ujmuje go pod brodę. - Jesteśmy przyjaciółmi, prawda? Pozwól sobie pomóc.

Johnny odsuwa głowę.

- Nie możesz pomóc, nie z tym.

- Dlaczego?

- Uwierz mi na słowo. - Przewraca oczami. - To trochę skomplikowane.

- Nigdzie mi się nie śpieszy.

- Powiedzmy, że...

Dokładnie w tym momencie drzwi do sklepu się otwierają i staje w nich Teresa. Podchodzi ku ladzie, przyjemnie zaskoczona.

- Witaj, Angela. - Uśmiecha się z aprobatą. - Jak miło cię widzieć.

- Dzień dobry, jak się pani miewa?

- W porządku. Od razu mi lepiej, kiedy widzę, że dobrze się bawicie.

- Angela przyniosła kanapki na lunch - wtrąca Johnny, zanim jego matka coś sobie pomyśli, ale jest już za późno.

- Jak miło. Twój ojciec i ja przez trzydzieści lat jadaliśmy razem lunche na tej samej ladzie.

Angela uśmiecha się i zsuwa z taboretu. Zbiera papierki po kanapkach i wpycha je do papierowej torebki, w której przyniosła jedzenie, po czym wrzuca ją do kosza, razem z pustymi kubkami po kawie.

- Naprawdę muszę już lecieć, Johnny - mówi.

- Daj mi ścierkę, to wytrę okruszki z lady.

- Nie zwracaj sobie głowy, ja się tym zajmę

- oznajmia Teresa. - Johnny, odprowadź Angelę do drzwi.

Johnny pozwala wziąć się pod ramię i razem z Angielą wychodzi na chodnik. Jest ładny dzień, przyjemnie poczuć słońce na twarzy. Johnny żałuje, że resztę dnia spędzi w sklepie.

- Dzięki, że wpadłaś, Ange. Naprawdę.
- Nie ma sprawy. - Angela cmoka go w policzek. -
Wybacz, że napędziłam ci stracha.
- Daj spokój, pewnie na to zasłużyłem.
- Wiesz, gdzie mnie szukać, jeśli będziesz mnie potrzebował, prawda?
- Będę pamiętał.
- Grzeczny chłopiec. A teraz wracaj do pracy.

Po tych słowach Angela odwraca się i odchodzi sprężystym krokiem. Johnny przez chwilę stoi nieruchomo, wpatrując się w jej sylwetkę. Nieważne, pod jakim kątem się ją obserwuje, nieważne, w jakich okolicznościach, Angela zawsze naprawdę dobrze wygląda. Dlatego Johnny nie może ukryć uśmiechu.

- Tak - wzdycha. - Będę o tobie pamiętał, Angela, nawet gdybym nie chciał.

ROZDZIAŁ dwudziesty piąty

Kiedy Johnny wraca, Teresa zamiata podłogę pod kasą. Cóż, odkąd pamiętam, nie cierpiała myśli, że mogłaby marnować czas, zawsze musi czuć, że robi coś pożytecznego. Teraz ledwie raczy zerknąć na syna i wraca do zamiatania.

- Angela to porządna dziewczyna - oświadcza.

- Dobrze by było, żebyś to z nią się ustatkował.

- Nie zaczynaj, mamó - mamrocze Johnny. Podnosi tabliczkę i wraca do spisywania towarów.

- Właściwie dlaczego tu dzisiaj przyszedłeś? Szpiegujesz mnie?

- Nie, chociaż może by się przydało. Idę właśnie do Giny, więc postanowiłam wstąpić i sprawdzić, co słychać. Nie masz nic przeciwko temu?

Johnny bez słowa odkłada tabliczkę na ladę i przez chwilę tylko gapi się przez okno. Teresa nuci starą włoską piosenkę, którą śpiewała mu przed snem, kiedy był mały. Moja matka też mi ją śpiewała, więc wracają wspomnienia. Johnny odwraca się i patrzy, jak Teresa miarowo przemierza podłogę i wchodzi w alejkę. Ciche drapanie miotły o podłogę wydaje się współgrać z wolnymi, melodyjnymi dźwiękami. To niemal hipnotyczne. Słowa idą jakoś tak:

Vananon' angelo mio, Non tema niente, Ti guarda Dio,
Luna in alto, stelle lucenti, brillar' per te su Terra dormiente...

Johnny kładzie łokcie na stole i opiera brodę na dłoniach. Piosenka uspokaja go tak samo jak kiedyś, na chwilę pogrąża się w rozmyślaniach. Kiedy w końcu wraca do rzeczywistości, przekonuje się, że Teresa stoi tuż przed nim, z jedną ręką na biodrze, a drugą na miotle. Cierpliwie stuka nogą o podłogę, nie spuszczać wzroku z syna.

- Co? - mamrocze Johnny.

- Co się z tobą dzieje? Zakochałeś się czy co?

- Co ty wygadujesz?

- Od piętnastu minut gapisz się w okno z tym wyrazem twarzy - informuje go.

- Jakim wyrazem twarzy? - najeża się Johnny. Uświadamia sobie, że skubie i przygryza kącik ust, więc wzdycha i kręci głową.

- Opowiesz mi o tym? - pyta go matka.

- O czym?

- O tym, co ci chodzi po głowie.

Johnny podnosi tabliczkę z kartkami i w milczeniu gapi się na nią. Na ulicy słychać warkot ciężarówki dostawczej, okna drżą jak podczas trzęsienia ziemi. Samochód przejeżdża i znowu zapada cisza.

Johnny odkłada tabliczkę.

- Mogę cię o coś spytać? - Patrzy na matkę.

- Pytaj.

- Chodzi o tatka.

- A konkretnie? Johnny znowu milknie.

- Tak się zastanawiałem... To znaczy, czy tatko kiedykolwiek myślał o rzuceniu biznesu?

- Chodzi ci o to, czy chciał sprzedać sklep? - Upewnia się Teresa.

- Tak.

Teresa uśmiecha się do niego.

- Mniej więcej codziennie przez całe życie.

- To dlaczego nigdy tego nie zrobił?

Zamiast odpowiedzieć, Teresa opiera miotłę o ladę i idzie prosto na zaplecze. Tam otwiera szufladę biurka, wyciąga z niej książkę telefoniczną i natychmiast zaczyna ją kartkować.

- Chodź, popatrz. - Przywołuje Johnny'ego gestem ręki.

Johnny staje obok niej i spogląda na ogłoszenie, które Teresa wskazuje palcem.

- Piekarnia Nocellego. I co?

- Przeczytaj pod spodem.

- Tuż za rogiem ulicy, gdzie mieści się sklep żelazny Catiniego - czyta na głos.

Teresa przerzuca kilka kartek, po czym stuka palcem w następne ogłoszenie.

- Teraz to.

- Kwaciarnia Bento's - odczytuje Johnny.

- Pod spodem - rozkazuje mu matka zniecierpliwionym tonem.

- Naprzeciwko sklepu żelaznego Catiniego. Może to wynik wstrząsu, który zafundowała mu

Angela, ale dziś Johnny niezbyt szybko myśli, więc tylko wpatruje się w matkę, nie bardzo wiedząc, o co jej chodzi.

- Naprawdę nie rozumiesz, Johnny? Twój ojciec nie mógł pozbyć się sklepu, bo sklep żelazny Catiniego to teraz punkt orientacyjny. Kiedy ludzie tłumaczą komuś, jak trafić w tę okolicę, nie mówią: „Skręć w pierwszą ulicę w lewo po światłach” ani: „Przejeźdź dwie przecznice i skreć w prawo”. Nie, mówią: „Skręć w lewo za sklepem Catiniego” albo: „To tylko ulicę od Catiniego”, albo: „Jeśli miniesz Catiniego, to znaczy, że pojechałeś za daleko”. Rozumiesz? Ludzie nie pamiętają nazw tutejszych ulic, ale pamiętają nazwisko Catini. To dlatego, że jesteśmy tu od lat, na dobre i na złe. Sprzedajemy artykuły żelazne kolejnym pokoleniom tych samych rodzin i nasze nazwisko nie jest związane tylko z tym budynkiem, ale i z ziemią, na której on stoi. To coś znaczy dla tych ludzi i wiele znaczyło dla twojego ojca. Dlatego właśnie, kiedy te wielkie sieci machały mu dolarami przed nosem, żeby sprzedał sklep, nie mógł tego zrobić. Nie mógł znieść myśli, że po latach wysiłków, żeby odnieść sukces, na drzwiach zawisnie nazwa jakiejś wielkiej anonimowej korporacji. Dlaczego miałoby tak być? Nasze nazwisko jest ważniejsze niż pieniądze.

- O co ci właściwie chodzi? Mogłem się tego spodziewać.

Teresa z trzaskiem zamyka książkę telefoniczną.

- A jak myślisz? - wrzeszczy. - Chodzi o to, że ojciec nie mógł sprzedać tym rekinom sklepu, bo tu zostawił serce i duszę. Ty też powinienes. Pewne rzeczy nie są na sprzedaż.

- No tak. - Johnny wzrusza ramionami. - Tak sobie tylko pomyślałem.

- Dobrze, że w ogóle o czymkolwiek myślisz - burczy Teresa. - Może zacznij myśleć o swoim życiu i o ustatkowaniu się. Już pora, jesteś dorosłym mężczyzną. Może któregoś dnia przyprowadzisz dziewczynę, z którą widzisz się co drugi wieczór, żeby twoja matka ją poznała.

- Jasne.

Johnny wychodzi z zaplecza i znowu bierze tabliczkę. Przez te wszystkie wizyty wątpi, czy zdoła do końca dnia złożyć zamówienia.

Teresa wychodzi za nim i zagląda mu przez ramię.

- Nie zamawiaj więcej niż sześć tych kluczy francuskich. Wolno się sprzedają, będą tylko zajmowały miejsce na półce. I dopilnuj, żeby przysłali ci dokładnie te marki, które zamówiłeś.

Johnny odwraca głowę i patrzy na nią.

- Dasz mi się tym zająć, mamó, czy może sama to zrobisz, a ja pójdę do Giny?

Doświadczenie nauczyło go paru rzeczy, więc odskakuje zawczasu, żeby uniknąć ciosu otwartą dłonią w czoło.

- Nie pyskuj, mądrało jedna. - Teresa jest zirytowana, że nie trafiła. - Jeszcze cię nie było na świecie, kiedy ja miałam do czynienia z tymi dostawcami. Słuchaj, co mówię, a może się czegoś nauczysz.

- Ple ple ple.

Teresa wzdycha i podnosi wzrok ku niebu.

- Boże, pomóż mi - lamentuje. - Skąd się taki wziął?

Rzuca mu to swoje słynne spojrzenie, kręci głową i wkłada sweter.

- Daj znać, czy będziesz dziś jadł kolację w domu, żebym nie marnowała czasu na gotowanie dla ciebie - mówi mu, a potem odwraca się szybko i idzie do drzwi. - A przed zamknięciem zamieć do końca. Podłogi są brudne!

Johnny oddycha z ulgą, kiedy drzwi się za nią zamykają. Wiem, że kocha matkę, ale czasem szlag go przez nią trafia. W zasadzie ta reguła odnosi się do wszystkich kobiet w życiu mężczyzny, na zmianę doprowadzają go do szaleństwa. To pewnie genetyczne. Tak czy owak, stojąc tam z tabliczką, Johnny znowu zerka na komputer, a ten jak zawsze odpowiada mu ciemnym, nieobecny spojrzeniem.

- I na co się tak gapisz? - mamrocze Johnny, po czym wchodzi głębiej w alejkę.

ROZDZIAŁ dwudziesty szósty

Czasami zabawnie jest obserwować świat z mojej perspektywy. Jeśli człowiek uważnie patrzy, to może się zdziwić, jak często historia się powtarza. I nie mówię teraz o historii, o której każdy się uczył w szkole, ale mam na myśli osobiste historie, jakie się zna z życia rodzin i bliskich osób. Z tego, co widzę, ludzie na okrągło mówią i robią to samo - aż trudno uwierzyć. Zupełnie jakby życie było wielkim przedstawieniem, w którym do odegrania jest tylko kilka ról, więc ludzie wcielają się w nie na przemian, jedno po drugim. Rzecz jasna, każdy z nas jest inny, więc nadajemy rolom naszą własną dynamikę, a czasami pożyczamy coś z cudzego tekstu, żeby było ciekawiej. To moja teoria, ale kto wie, może cały świat naprawdę jest sceną, prawda?

I tak Johnny podchodzi do schodów przed domem Vicki. Trzeba pamiętać, że ma za sobą dość ciężki dzień: Angela przeraziła go na śmierć, matka prawila mu kazanie, a do tego po południu miał w sklepie urwanie głowy i ledwie zdołał podliczyć pieniądze za towar, a już trzeba było zamykać. W tej chwili chłopak jest zupełnie wykończony.

Tak jak zawsze, Johnny nie zawracał sobie głowy dzwonieniem do Vicki, żeby ją uprzedzić o swojej wizycie. Myśli, że będzie czekała w środku, gotowa zaciągnąć go na kolejną kulturalną wycieczkę. Prawdę powiedziawszy, chłopak się cieszy na tę wyprawę, uważa, że to mu pomoże odświeżyć umysł. Dlatego dzwoni do drzwi i czeka, zastanawiając się, jaki wieczór zaplanowała dzisiaj Vicki.

- Cześć, Johnny - wita go Vicki. - Wejdz.

Vicki nie ma na sobie kurtki i nie wydaje się tak chętna do wyjścia, jak na ogół, więc Johnny z miejsca wie, że coś się szykuje. Nie martwi się jednak, bo myśli, że pewnie postanowiła spróbować czegoś nowego, żeby wprowadzić jakąś zmianę do ich rutyny. Dotąd praktycznie przez cały czas

pozwalal jej szefowac, wiec i teraz idzie za nia do srodka, opada na sofe i czeka na dalsze polecenia.

Vicki pozwala mu sie rozgościć, wyciągnąć nogi, usadowić wygodnie. Sama staje przy kominku i z zadumą spogląda na Johnny'ego. Z odtwarzacza w kącie sączy się jakaś muzyka klasyczna, jeden z tych staromodnych kawałków na fortepian, których wysłuchał kilka tygodni temu na recitalu. Dziwne, ale rozpoznaje melodię.

- Nic mi nie mów, to są te, „Klawisze dobrze utamponowane”, co? - Kołysze palcem w powietrzu, jakby był ekspertem od muzyki dawnej.

- Hm, blisko - odpowiada Vicki. Nie spuszcza wzroku z Johnny'ego, ale nic więcej nie mówi.

- Więc co jest grane? - dopytuje się Johnny.

- Musimy porozmawiać.

- O czym?

- Bo ja wiem, o czymkolwiek. Może opowiesz mi o swoim dniu?

Johnny, rzecz jasna, jeszcze o tym nie wie, ale w tej chwili jest na przesłuchaniu, o którym napomknąłem wam jakiś czas temu. Może opowiesz mi o swoim dniu? Niewinne, drobne pytanie na błaży temat, co? Chłopak nie ma pojęcia, że zaraz znajdzie się w krzyżowym ogniu pytań, a prokuratorka jest skłonna traktować go jak świadka wrogo nastawionego do powołującej go strony.

- A co konkretnie chcesz wiedzieć o moim dniu? - Johnny tkwi w błogiej nieświadomości swojego losu.

- Bo ja wiem. Powiedz mi cokolwiek. Dajmy na to, jak ci się udał lunch?

Dopiero wtedy dociera do niego, że źle się dzieje w państwie duńskim i znowu czuje ucisk w gardle.

- Mój lunch?

- Tak, lunch - potwierdza Vicki niepokojąco groźnym tonem. - No wiesz, taki posiłek między śniadaniem a kolacją. Smakował ci dzisiejszy lunch?

Czy ta rozmowa nie brzmi znajomo?

Ze wstydem muszę wyznać, że w tej chwili nie mogę się powstrzymać od śmiechu. Wiem, chyba powinienem okazać synowi nieco więcej współczucia, zważywszy na jego ostatnie perypetie, ale spójrzmy prawdzie w oczy, chłopak sam się wpakował w kłopoty. Johnny wie, że podczas lunchu nie zrobił nic złego, ale ma też świadomość, że będzie po nim, jeśli udzieli niewłaściwej odpowiedzi. W takiej sytuacji postanawia nic nie mówić.

- A może ja ci opowiem, co dzisiaj robiłam w porze lunchu? Otóż postanowiłam wybrać się na przejażdżkę do Federal Hill.

- Po...poważnie? - duka Johnny.

- Mhm - mruczy Vicki i krzyżuje ręce na piersi. - Zamierzałam zatrzymać się przy sklepie, żeby zrobić ci niespodziankę, może zaprosić cię na lunch. Wyobraź sobie moje zaskoczenie, kiedy spojrzałam przez okno i zobaczyłam, że już zrobiłeś sobie przerwę.

- Wyobrażam sobie...

Vicki się rozkręca, niczym lampart krąży wokół sofy i ani na moment nie spuszcza z oka Johnny'ego, jakby był rannym zwierzęciem, na które warto zapolować.

- Więc dlatego zawsze uciekasz? - atakuje Vicki, zanim Johnny zdąży cokolwiek powiedzieć na swoją obronę. - Tyle razy mówiłeś, że na ciebie pora, bo musisz wracać do sklepu. Tyle razy usiłowałam zatrzymać cię na trochę, ale ty zasłaniałeś się obowiązkami. Mówiłeś o ludziach, którzy na tobie polegają. I za każdym razem, kiedy ja zostawałam tutaj, ty pędziłeś na spotkanie z inną, tak?

Vicki naprawdę się zjeżyła, widywałem to już wcześniej, bo od czasu do czasu przechodziłem z nią przez to samo. Dobrodziejstwo inwentarza, sami rozumiecie.

- Nie, Vicki - broni się Johnny desperacko. - Nie rozumiesz. Wyciągnęłaś kompletnie błędne wnioski.

Chociaż jest całkiem szczerzy, reaguje praktycznie tak samo, jak większość facetów postawionych pod murem. Chłopak mówi prawdę, ale brzmi to tak, jakby kłamał.

- Och, doprawdy - warczy Vicki. - A niby jakie wnioski wyciągnęłam twoim zdaniem, panie troskliwy sklepikarzu, co?

Johnny wstaje, ale jednocześnie uderza kolanem w róg stolika do kawy. Boli go jak cholera, nienawidziłem, kiedy przytrafiało mi się coś takiego. Nie dość, że kręci mu się w głowie, to jeszcze teraz zwija się z bólu.

- Vicki, zrozum - prosi z bolesnym grymasem.

- To nie to, co pomyślałaś. To była Angela, moja dobra znajoma.

- Bardzo dobra znajoma, dało się zauważyć. - Jesteśmy, a właściwie byliśmy przyjaciółmi, ale teraz już nie jesteśmy.

Mój syn zaczyna bełkotać jak idiota i najwyraźniej zdaje sobie z tego sprawę, bo ma dość rozumu, żeby zamilknąć i wziąć głęboki oddech. Kulejąc, idzie do Vicki i chwyta ją za ramiona.

- Posłuchaj. Znam Angelę, odkąd pamiętam. Fakt, dawno temu byliśmy... Sama rozumiesz, ale to się skończyło, kiedy cię poznałem. Angela postanowiła dziś wpaść, żeby się co do tego upewnić. Musisz pamiętać... Ejże, zaczekaj chwilę. - Johnny milknie na sekundę. - Przyszłaś dzisiaj do sklepu?

- Tak. Co w tym złego?

- Oszalałaś? - wykrzykuje Johnny. - Dziś była u mnie mama, zaraz po tym, jak skończyliśmy jeść. Mogła cię zobaczyć!

- No i co z tego? Twoja matka mnie nie zna, nie stałoby się nic strasznego.

Johnny skubie i przygryza kącik ust. Kombinuje, że już po nim, bo wpadł po uszy w kupę łajna. Bo widzicie, problem w tym, że jeszcze nie dojrzał do decyzji, żeby powiedzieć Vicki o dniu, w którym Teresa była świadkiem mojego potajemnego lunchu w East Side. Johnny uznał, że to tylko jeden z drobiazgów, które najlepiej zamieść pod dywan. Teraz, rzecz jasna, wygląda na to, że ktoś z całej siły próbuje wyciągnąć ten dywan spod jego stóp.

- Zapomnij - proponuje w końcu. - Nie warto zaprzętać sobie tym głowy. Zawsze jestem trochę nerwowy, kiedy chodzi o mamę. Nic się nie stało, wybacz. I proszę cię, zapomnij o Angeli, jesteśmy dobrymi kumplami i tyle.

Vicki przez pewien czas patrzy na niego sceptycznie, ale emocje powoli opadają.

- Przepraszam - wzdycha wreszcie i siada na drugim końcu sofy. - Nie powinnam była wyciągać pochopnych wniosków.

Johnny przysuwa się bliżej.

- Hej, nie ma za co przepraszać. To nie twoja wina.

- Przeciwnie, moja - upiera się i ponownie wzdycha. - Postąpiłam źle. Poza tym, tak naprawdę wcale nie mam prawa się denerwować. Przecież do niczego się nie zobowiązaliśmy. Nawet nie powiedzieliśmy sobie... Chodzi o to, że nie jestem nawet pewna, czy oboje jesteśmy... Chcę powiedzieć, że... - Urywa i spogląda na Johnny'ego. - Przydałaby mi się jakaś pomoc - wyznaje z rozpaczą.

Musicie zrozumieć, że na dźwięk słowa „zobowiązania” mój syn dostaje duszności. W jego mniemaniu rozmowa zbacza na bardzo niebezpieczne tory, więc postanawia przejąć kontrolę nad sytuacją, zanim dojdzie do katastrofy.

- Może powinniśmy wyskoczyć gdzieś do kina, później napić się kawy i wtedy pogadać, co? - proponuje z nadzieją. - Grają dzisiaj coś dobrego?

- La Stradę - odpowiada Vicki zmęczonym głosem.

- Hej, to film Felliniego, no nie? Uwielbiam filmy Felliniego. No chodź, idiemy.

Vicki siedzi nieruchomo przez kilka minut, aż wreszcie godzi się z tym, co nieuchronne, wstaje i idzie po płaszcz.

Znacznie później, kiedy leżą obok siebie w łóżku, oboje tylko wpatrują się w sufit. Z miny Johnny'ego wnioskuję, że wpada w lekką panikę, jakby zastanawiał się, czy to nie jest dobry moment na to, aby odejść w siną dal, póki jeszcze ma szansę. Bierze kilka głębokich oddechów i jakoś się uspokaja. Wie, że jeśli zostanie tutaj dostatecznie długo, to przestanie go skręcać w żołądku i straci ochotę na ucieczkę, przynajmniej tej nocy

Vicki wydaje się równie oszołomiona i zdezorientowana jak Johnny, leży nieruchomo i szeroko otwartymi oczami wpatruje się w przestrzeń. Trzeba zrozumieć, przez co przechodzi. Chodzi mi o to, że niektórzy ludzie zwyczajnie przeskakują z jednego związku do drugiego i nigdy nie zastanawiają się nad tym, co robią, z kim i dlaczego. Vicki do nich nie należy, choć mogłoby się wydawać inaczej. Z jej punktu widzenia wszystko ma znaczenie w perspektywie kosmicznej. Pamiętam, że kiedyś siedzieliśmy razem w jej salonie i przez okno wpadła mucha. Wstałem, zwinąłem gazetę i trzasnąłem muchę jak należy, a Vicki strasznie się zdenerwowała. Zapytała mnie, dlaczego musiałem ją zabić i wygłosiła swoją teorię, zgodnie z którą wszystkie żyjące stworzenia znalazły się tutaj po to, żeby uczyć się od siebie nawzajem, bez względu na to, czy są duże, czy małe. Nie rozbawiło jej moje wyjaśnienie, że ta mała istota właśnie się nauczyła, że nie wolno wlatywać przez otwarte okna. Teraz

Vicki nagle siada, podciąga kolana pod brodę i zaczyna lekko się kołysać w przód i w tył.

- Darmowa nauka - mówi zamyślona. - Jak dla dzieci pracowników naukowych.

- Ze co?

- Nic takiego. Właśnie przyszła mi do głowy pewna bardzo dziwna myśl.

- Powiedz, jaka. - Johnny siada obok niej.

- Nie, to naprawdę nic takiego. Myślałam o tym, co mi powiedziałaś któregoś wieczoru: że uczę cię za darmo, więc dostajesz wszystko gratis, a inni studenci muszą płacić.

- Co w tym dziwnego?

- Nie o to chodzi. - Vicki sprawia wrażenie trochę zmieszanej. - Mam na myśli co innego.

- No już - zachęca ją Johnny. - Powiedz mi.

- Ale to jest trochę dziwaczne. Nie wiem, czy będziesz miał ochotę tego słuchać.

- Na pewno będę. Mów. Vicki się wzdryga.

- Myślałam o królu Edypie - wyznaje w końcu. Johnny momentalnie chowa się pod kołdrę.

- Rety. Moglibyśmy zostawić pana Eda w spokoju? - Bierze głęboki oddech i zamyka oczy. - A właściwie jak się kończy ta jego historia? Ma szczęśliwe zakończenie?

- Wyłupuje sobie oczy i przez resztę życia ślepy wędruje po świecie.

- No to super - mamrocze Johnny.

Vicki kładzie się obok niego i przez dłuższy czas żadne z nich nie wypowiada ani słowa.

- Co się dzieje, Johnny? - pyta w końcu z irytacją. - Co my wyprawiamy?

- Bo ja wiem. Ale myślę, że lepiej to robić, jak nie robić.

Vicki sięga do lampy na stoliku przy łóżku.

- Niż nie robić - mówi z naciskiem i gasi światło.

Dobranoc, chłopcze.

ROZDZIAŁ dwudziesty siódmy

No dobrze, nadszedł czas, żebym wziął się do roboty. Odkąd kopnąłem w kalendarz, pętałem się w pobliżu, obserwując świat, ale nie robiłem nic, aby komuś pomóc. Po śmierci człowiek dowiaduje się między innymi, że nawet trup nie może sobie odpuścić i przez resztę wieczności tylko biernie patrzeć. Jeśli będziecie łazili, gdzie popadnie, i podglądali, to prędzej czy później On zechce, żebyście zrobili coś konstruktywnego, bylebyście nie wchodzili w bezpośredni kontakt z żywymi. Trzeba zatem wykazać się odrobiną pomysłowości, ale jest mnóstwo sposobów na to, żeby osiągnąć cel. To prawie tak, jakbyście byli dziećmi, dorastali i uczyli się, co robić, aby był z was pożytek dla reszty ludzkości. Mniej więcej tak jest tutaj. Życie to jedna wielka lekcja, nawet kiedy jest się martwym.

Johnny'emu śni się właśnie dinozaur, typowy tyranozaur, którego kiedyś zdarzyło mu się zobaczyć w telewizji. Ten jednak jest całkiem żywy, realistyczny i na dodatek stoi tuż za oknem jego pokoju.

Johnny wstaje, rozsuwa zasłony przy łóżku i wygląda na zewnątrz. Stoi tam to bydlę, wielkie jak stodoła, pysk ocieka mu krwią, krótkie, ale potężne i groźne łapy podrygują z wściekłości, i nagle dinozaur zaczyna ryczeć tak głośno, że pękają bębunki. Wystarczy jeden rzut oka na potwora, żeby wiedzieć, co się święci, więc Johnny wskakuje z powrotem do łóżka i chowa głowę pod kołdrę.

Teraz zadaje sobie pytanie, dlaczego nie uciekł, kiedy nadarzała się okazja. Słyszał, jak bestia idzie po niego, ciężko stawia łapy, ryczy, a po drodze rozwała wszystko w mieście. Powinien był się zmyć, póki miał czas.

Teraz jest już jednak za późno, bo to przecież sen.

Dinozaur za oknem wydaje mrozący krew w żyłach ryk, a w Johnnym stopniowo narasta pierwotny strach. Najpierw

odczuwa go w żołądku, a potem lęk nagle otacza go ze wszystkich stron, zupełnie jakby do jego ciała przylgnęło milion lodowatych macek. Górę bierze nowe uczucie: panika. Każda cząstka jego osoby, od rozgorączkowanego mózgu do dużego palca u nogi, krzyczy jednym głosem:

- Uciekaj, głupi bęcwale!

Ale on nie może uciec. Za wszelką cenę usiłuje wstać, lecz przez cały czas tkwi w miejscu jak skamielina. Dinozaur znowu ryczy, tak donośnie, że Johnny'emu zapiera dech w piersiach. Wie, że już za chwilę stworzyciel wetknie łeb przez okno i pożre go w całości. Johnny trzęsie się jak galareta, zwinięty w kłębek pod kołdrą, modląc się, żeby koniec przyszedł szybko.

Koniec jednak nie nadchodzi, a przynajmniej nie taki, jakiego się spodziewał. Johnny otwiera oczy i nasłuchuje w ciemności, ale nie słyszy nic, ani dinozaura, ani brzęku rozbijanej szyby. Kładzie głowę z powrotem na poduszkę i wpatruje się w sufit.

- Cholerny koszmar - mamrocze.

Vicki leży obok niego, a jej piersi miarowo unoszą się i opadają. Zasnęła błyskawicznie, i to dawno temu. Johnny również, skoro o tym mowa, ale teraz całkiem się rozbudził. Przesuwa wierzchem dłoni po czole, żeby wytrzeć krople potu. Nadal ciarki go przechodzą, a serce galopuje mu jak koń wyścigowy.

Johnny leży nieruchomo przez pewien czas, aż w końcu zaczyna się uspokajać. Wyciąga ręce i otula kołdrą ramiona Vicki, która porusza się, czując dotyk jego dłoni, lecz dalej mocno śpi. Johnny przytula się do niej i ponownie zamyka oczy. Stara się, jak może, ale wygląda na to, że ze snu nici. Wie, że oddycha w takim samym tempie jak Vicki, lecz dzieje się coś dziwnego. Johnny nagle zyskuje świadomość wszystkiego, co go otacza. Wyraźnie słyszy tykanie budzika,

dociera do niego plusk deszczówki spływającej z dachu. Zasłony kołyszają się niemal niezauważalnie, bo framuga okna jest nieszczelna. Prawdę powiedziawszy, sam to kiedyś zauważyłem i przyszło mi do głowy, że powinienem uszczelnić okna dla Vicki, ale jakoś nigdy się do tego nie zabrałem. Tak czy owak, właśnie wtedy Johnny'ego ogarnia dziwne wrażenie, że coś go szarpie, ale od środka. Szarpnięcie jest delikatne, nic przykrego. Przeciwnie, to całkiem miłe, więc delectuje się tym uczuciem i zdaje sobie sprawę, że siedzi na łóżku.

Otwiera oczy.

Pokój spowija łagodna poświata, która stopniowo zyskuje na intensywności. Robi się coraz jaśniej, ale kiedy Johnny patrzy w światło, nie boją go oczy. Teraz wie, że z całą pewnością dzieje się coś bardzo dziwnego. Co ciekawe, z niezrozumiałych powodów wcale się nie boi, więc spogląda w sam środek jasności. W oddali dostrzega mały, ciemny kształt, który zdaje się powiększać. Jest coraz bliżej i nagle do Johnny'ego dociera, że patrzy w głąb wielkiego tunelu, z którego wychodzi jakaś postać. Ciemna sylwetka otoczona świetlistą aurą spokojnie opuszcza tunel i nieruchomieje u stóp łóżka. Jasność przygasa, więc przybysz jest teraz wyraźnie widoczny. Przychodzi pora na moją ulubioną część.

- Witaj, Johnny - mówię.

Wpatruje się we mnie, jakby nie wierzył własnym oczom.

- Tatko? To naprawdę ty?

- Pewnie, że to ja - odpowiadam. - A co, spodziewałeś się innego ducha?

Światło z tunelu całkiem już znikło, ale nadal otacza mnie poświata, jakbym stał pod wąskim reflektorem punktowym na ciemnej scenie. Siadam na skraju łóżka i wpatruję się w syna.

- Nie spodziewałem się żadnego ducha - mówi Johnny. - Co ty tutaj robisz? Powinieneś być martwy.

- Jestem martwy, ale miałem ochotę wpaść i pogadać.
- Możesz to robić, kiedy zechcesz?
- Pewnie.

Johnny drapie się po boku i ziewa. To dopiero widok: jest cały rozczochrany, w kąciку ust widać zaschniętą ślinę.

- Więc dlaczego umarli nie robią tego częściej ?
- Hm, bo jesteśmy zajęci. Poza tym możemy rozmawiać z wami tylko wtedy, kiedy śpicie, jak ty teraz.
- Przecież wcale nie śpię.
- Wydaje ci się, że nie śpisz, ale tak naprawdę to tylko sen.

- Nie, spałem dwie minuty temu i śnił mi się ten cholerny dinozaur. Wystraszył mnie na śmierć. W sumie to ostatnio miewam sporo dziwnych snów.

- Nasze sny są tym, co z nich uczyni nasze życie - obwieszczam tonem filozofa. Nie jestem w tym najlepszy. - Uznałem, że dinozaur najlepiej przykuje twoją uwagę.

- Zaraz, moment. Chcesz powiedzieć, że... Dopiero teraz zauważa, że nie patrzę na niego, tylko na Vicki. Twarz mu czerwienieje jak dojrzały pomidor.

- Hej - protestuje nerwowo. - To nie tak, jak ci się wydaje.
- Jest dokładnie tak, jak mi się wydaje - zapewniam go, nie spuszczać z niej wzroku.

Mówię to bez złości, bez cienia niechęci, choć Johnny właśnie tego się spodziewa. Kiedy jest się już po tej stronie, wszystko widzi się inaczej, bez nadmiernych emocji. Albo coś jest, albo nie, i nie ma się co zastanawiać, czy jest dobre czy złe, bo tak chciał Najważniejszy. Nikt z nas nic na to nie poradzi.

- Hej, tatku - odzywa się Johnny. - Nie wiem, co powiedzieć. To nie moja wina. Niepotrzebnie kazałeś mi tutaj przyjść, żeby pożegnać ją w twoim imieniu. Gdybyś tego nie zrobił, do niczego by nie doszło.

- Ech, nie bądź tego taki pewien. - Wzruszam ramionami.
- Niektóre rzeczy po prostu muszą się zdarzyć, prędzej czy później. Nie da się ich zaplanować.

- Niby że to było jakieś przeznaczenie, że ja i Vicki się spotkaliśmy?

- Hm, coś w tym stylu - potwierdzam.

- Ech, nie wierzę w takie historie.

- Musisz się sporo nauczyć.

- Zaczynasz mówić jak ona - mamrocze. - Nic dziwnego, że tak dobrze się dogadywaliście.

Chichoczę mimo woli, ale już pora przejść do rzeczy. Dlatego robię ojcowską minę i posyłam mu spojrzenie, wicie jakie, każdy ojciec to potrafi. Pamiętam, jak mój tatko patrzył tak na mnie. Nigdy nie udawało mu się zbić mnie z tropu, choćby nie wiem jak wrzeszczał, ale gdy spoglądał tak na mnie, to koniec, rozsypywałem się w drobny mak.

- Powiedziałaś jej? - pytam.

- Co niby?

- Wiesz, co.

Johnny trze dłonią kark. To wyraźny znak, że go trochę zdeprymowałem.

- Chodzi ci o to, że mama widziała was dwoje razem, tak?

Po ojcowsku kiwam głową. - Jeszcze nie - przyznaje. Surowo mrużę oczy, żeby wyrzucić na nim jeszcze większą presję.

- Hej, daj mi spokój, tatku, nie miałem okazji. Zresztą, po co? Tylko by się zdenerwowała, a poza tym, to wszystko twoja wina.

- Moja wina? - śmieję się. - Jak do tego doszedłeś?

- Za życia powinieneś być zachowywać się trochę dyskretniej, ot co. Gdybyś o tym pamiętał, nie musiałbym się teraz tak gryźć.

- Ogólnie biorąc, życie takie nie jest, Johnny.

- Nie mów.

Johnny nachyla się, żeby mnie lepiej widzieć. Wyglądam dobrze, jestem sprawny i pełen animuszu, jak w najlepszych latach życia. Dlatego wyciąga rękę, aby mnie dotknąć, tak z ciekawości. Rzecz w tym, że nie może mnie dotknąć. Prawie mu się udaje, ale wtedy się odsuwam. To jest tak, jakbym siedział na wielkiej gumce recepturce, która się rozciąga w tę i z powrotem. Mówiąc szczerze, nic nie mogę na to poradzić, to po prostu jedna z zasad.

- Przykro mi - mówię. - To nie jest dozwolone.

- Byłem ciekaw.

- Tak jak wszyscy.

Widzę, że jest trochę zirytowany. Oczekuje jakiegoś potwierdzenia, że naprawdę rozmawiamy, że to nie jest tylko jakiś dziwaczny sen, wywołany zjedzeniem nieświeżych efek. Rzecz jasna, wcale nie zamierza rozpowiadać po całym mieście, że spędził noc na pogaduszkach z duchem ojca. Po prostu chciałby znać prawdę i już.

- Wiem, co sobie myślisz - informuję go. - Ale takie są reguły gry, nie możesz wiedzieć na pewno. Być może jestem naprawdę, a może istnieję tylko jako projekcja twojego sumienia, bo czujesz się winny.

- Hej, nie mam żadnych projektów na sumieniu. Chciałem tylko się upewnić.

- Nie możesz.

- Niby czemu?

- Na tym polega niepewność wszechświata, Johnny. Ona rządzi wszystkim i sprawia, że życie jest życiem i że jest fajne. Nikt i nic nie wie, co się okaże na końcu. Gdyby było inaczej, wszystko pewnie ległoby w gruzach.

- Ale jak to jest?

- Co jak jest?

- Jak to jest być martwym. Wzruszam ramionami i rozglądam się. Wiem, że Johnny nie widzi tego, co ja.

- Nie najgorzej - decyduję po chwili. - Trzeba trochę czasu, żeby przywyknąć, ale nie narzekam.

- Tak, ale jak to jest, kiedy się umiera? Czy koniec życia boli?

- Nie, ani trochę, to całkiem bezbolesne. Poza tym życie wcale się nie kończy. Widzę to teraz, to jedna z tych rzeczy, których się dowiadujesz tutaj na samym początku. Pomyśl sobie, że to jest tak, jak z wielką klepsydrą, Johnny. Kiedy się starzejesz, drobiny piasku przesypują się, dopóki górny pojemnik nie jest pusty, ale przez cały czas napęnia się dolna część. Potem wszystko staje na głowie i historia zaczyna się na nowo.

- To się wydaje jakieś takie niepotrzebne.

- W pewnym sensie masz rację, ale zbaczamy z tematu.

- A jaki jest temat?

- Kiedy zamierzasz powiedzieć Vicki o matce?

- Daj spokój, tatku, niby co mam jej powiedzieć? Och, Vicki, tak nawiasem mówiąc, koniecznie trzymaj się z daleka od mojej mamy, bo jak cię zobaczy, to pewnie od razu wyrwie ci serce.

- Vicki powinna wiedzieć to, co ty wiesz. To ważne.

- Więc sam jej powiedz - warczy Johnny - Zwyczajnie, obudź ją teraz, i tak raczej nie śni o niczym specjalnym. Poza tym, co za różnica? Przede wszystkim w ogóle nie powinno było dojść do tego, co się stało tej nocy. I to się już nie powtórzy.

Uśmiecham się wbrew sobie.

- Akurat, Johnny. Powtarzasz to sobie niemal co wieczór od półtora miesiąca, a i tak ciągle tu wracasz.

- Co ty wyprawiasz? - krzyczy Johnny. - Szpiegujesz mnie?

- Nie, nie szpieguję cię, po prostu troszczę się o ciebie.

- W taki sposób, że podglądasz wszystko to, co robię z Vicki?

- Wcale nie wszystko! - oburzam się. - Masz mnie za jakiegoś zboczeńca, czy co? Dobrze wiem, kiedy trzeba odwrócić wzrok.

- Taa, jasne.

- Posłuchaj, Johnny. - Patrzą mu prosto w oczy. - To ważna chwila w twoim życiu. Musisz znaleźć odpowiedzi na kilka istotnych pytań.

- Niby jakich?

- Na początek, zastanów się, czy ją kochasz. - Ruchem głowy wskazuję Vicki. - Przecież właśnie o to usiłowała cię spytać dziś wieczorem.

Johnny posyła mi jedno ze swoich typowych spojrzeń.

- Tatku, nigdy nie gadałem z tobą o takich sprawach, kiedy żyłeś. Dlaczego miałbym zacząć po twojej śmierci?

Muszę przyznać, że Johnny ma rację. Faktycznie, nie zdarzało nam się rozmawiać na te tematy, kiedy jeszcze chodziłem po tej ziemi. Ilu synów i ojców mówi o czymś takim? Któregoś razu przeprowadziłem z nim standardową ojcowską rozmowę, a potem uznałem, że powinien radzić sobie sam. Zresztą faceci nie potrzebują zbyt dużo czasu, żeby wykombinować, o co chodzi w tych sprawach.

- Może dobrze by ci zrobiło, gdybyś o tym pogadał.

- Zapomnij, tatku.

- To przynajmniej powiedz, że o tym pomyślisz.

- Tak. - Wzrusza ramionami. - Pomyślę. Ale najpierw chcę cię o coś spytać.

- Wal.

Johnny zaczyna przygryzać i skubać kącik ust, więc domyślam się, że usiłuje znaleźć sposób na zadanie delikatnego pytania.

- Wiem, że to nie mój interes, ale... Zastanawiam się i ciągle nie rozumiem, jak to się stało, że byliście razem. Facet w twoim wieku z kimś w jej wieku. To mnie przerasta. Jak mogłeś to robić?

- Zaczekaj, aż będziesz facetem w moim wieku, wtedy to cię przestanie przerastać. Mówi się, że kobiety mają biologiczny zegar, który cały czas tyka. U mężczyzn jest tak samo, wierz mi, a jedyna różnica polega na tym, że u nich alarm jest nastawiony na mniej więcej dwadzieścia lat później. Zaczekaj, aż usłyszysz tykanie własnego zegara i dopiero wtedy zadaj mi to pytanie.

- Hm, może masz rację. Tylko powiedz mi, czy naprawdę ją kochałeś.

Tym razem ja się śmieję.

- Hej, Johnny, za życia nigdy nie rozmawiałem z tobą o tych sprawach, więc dlaczego miałbym to robić po śmierci?

- Ha, ha. Bardzo śmieszne.

- Wybacz. Po prostu usiłuję cię skłonić, żebyś pomyślał o tych rzeczach, nic więcej.

- Tak się składa, że już o nich myślałem.

- To dobry znak. Zmieniając temat, dlaczego od pewnego czasu zamartwiasz się sklepem żelaznym? Wygląda na to, że ciągle się na niego uskarżasz.

- Nie dość, że podsłuchujesz mnie i Vicki, to jeszcze podglądasz mnie w sklepie?

W odpowiedzi tylko wzruszam ramionami.

- Ech, nie chodzi tylko o sklep, tatku - wzdycha. - Ostatnio wszystko jest nie tak, jak należy. Rozumiesz, ty się wymeldowałeś, a teraz wszyscy oczekują ode mnie, że z marszu wskoczę w twoje buty. Mam poczucie, że coś mnie pochłania, wiesz, i sam nie wiem, czy mi to odpowiada. Może jest tak, jak mi to kiedyś powiedziała Vicki: że usiłuję odnaleźć siebie.

- Skoro chcesz odnaleźć siebie, to może spróbuj rzucić okiem do lustra - proponuję. - Oszczędzisz sobie mnóstwo czasu i energii.

- Bardzo śmieszne.

- Posłuchaj, Johnny. Szukasz swojego miejsca na ziemi, a nie zajmujesz moje. Od ciebie zależy, czy będzie należało wyłącznie do ciebie.

- Ale jak mam to zrobić?

Zanim zdołam cokolwiek odpowiedzieć, mój czas się kończy. Pokój znowu wypełnia się dziwaczną poświatą i widzę jasny tunel. Nic nie mogę na to poradzić, muszę spokojnie pozwolić, żeby mnie stąd wyciągnęli.

- Hej, dokąd to? - protestuje Johnny.

- Tak, tak, słyszę! - Przez ramię wołam w głąb tunelu i z powrotem odwracam się do syna. - Wybacz, ale na mnie pora. Nie pozwolono mi zostać dłużej.

- Więc co mam zrobić? - dopytuje się niespokojnie. - Jak mam to wszystko sam rozwiązać?

- Podążaj za głosem serca, Johnny, ono cię poprowadzi. Nie wszystko jest zawsze takie, jak się wydaje. Niekiedy coś się zaczyna, kiedy tobie się wydaje, że to właśnie koniec. W każdym razie wszystko zawsze się układa.

Wciąga mnie światło, które oślepia Johnny'ego. Wyciąga do mnie rękę, ale odsuwam się jeszcze szybciej.

- Tylko tyle? - woła za mną. - Nie możesz się bardziej postarać? Wielkie dzięki!

- Podążaj za głosem serca. - Mój głos roznosi się echem, kiedy znikam. Wkurza mnie, że muszę odejść tak szybko, ale przyznaję, efekty specjalne robią wrażenie. Świetlisty tunel kurczy się, aż wreszcie pozostaje tylko maleńka, pomarańczowa kropka.

Johnny nie pamięta, kiedy zamknął oczy, ale gdy ponownie je otwiera, w pokoju widać już pierwsze, łagodne

promienie wschodzącego słońca. Rozgląda się, jakby oczekiwał, że dostrzeże mnie gdzieś w pobliżu, ale zauważa tylko łagodną poświatę wczesnego świtu.

- Dziwaczny sen - mamrocze, przewraca się na bok i opiera na łokciu. - To na pewno był sen?

Sen czy jawa, coś w głębi duszy musi mu podpowiadać, że pora się przyznać, bo łagodnie potrząsa ramieniem Vicki, ale ona ziewa na znak protestu i usiłuje owinać się kołdrą.

- Daj mi spać - jęczy.

- Obudź się - prosi Johnny czule. - Musimy o czymś porozmawiać, zanim pójdę do sklepu.

- To nie może poczekać?

- Nie. Widzisz, chodzi o moją mamę.

ROZDZIAŁ dwudziesty ósmy

Wiecie, czego naprawdę mi brakuje? Porannej kawy z anyżówką. Tutaj czegoś takiego nie uświadczysz, a przecież nie ma nic lepszego, zwłaszcza w chłodny, listopadowy poranek, kiedy niebo przybiera ciemnoszary kolor, a z chmur sfruwają pojedyncze płatki śniegu. Możecie sobie spacerować, przypatrywać się bezlistnym drzewom i brązowej trawie, a wszystko wygląda tak, jakby umarło. Macie jednak świadomość, że tak naprawdę świat po prostu na pewien czas zapadł w sen. Zbliża się koniec długiego, ciężkiego roku, więc ziemia zasłużyła na odpoczynek. Jeśli wsłuchacie się w swój wewnętrzny, cichy głos, usłyszycie, jak wam podpowiada, żebyście zwolnili, bo czas się schronić i przygotować do zimy. Mnie ten głos mówi również, że pora zacząć popijać kawę z anyżówką.

Sama myśl o ciepłym, ożywczym aromacie parującej z kubka anyżówki przywołuje tysiące wspomnień. W weekend, wczesnym rankiem chętnie robiłem obchód po domach córek. Na początek zaglądałem do Marii, bo mieszkała najdalej, potem wracałem do domu, po drodze wstępując do Niny i na końcu do Giny. Zazwyczaj przynosiłem im gazetę, trochę ciastek z piekarni, bochenek chleba, cokolwiek. Nigdy nie zaprzętałem sobie głowy informowaniem ich zawczasu o wizycie, bo moje córki i tak zawsze zdawały się wiedzieć, kiedy wpadnę. Gdy wchodziłem, parzyły już dla mnie kawę, a ja na początek bawiłem się chwilę z wnukami, póki jeszcze były w piżamach. Kiedy miałem pewność, że narobiłem już dość zamieszania, siadałem przy kuchennym stole i sączyłem kawę z anyżówką, maczając w niej ciastko, gawędziłem o pogodzie, poznawałem najświeższe rodzinne plotki. Nic wielkiego, ale w ten sposób utrzymuje się kontakt z własnymi dziećmi, kiedy już dorosną i się wyprowadzą. Trzeba je odwiedzać i nie ma co czekać, aż same wpadną z wizytą, nie

od tego są. Jeśli robią to, co powinny, to siedzą w domu i zajmują się własnymi dziećmi, tak jak wy kiedyś zajmowaliście się nimi. Musicie tylko zaglądać do nich najczęściej, jak możecie, posiedzieć chwilę, a potem dawać im spokój.

Dziś jest jeden z takich poranków, na dzień przed Świętem Dziękczynienia. Już zrobiło się zimno, z ciężkich chmur zaraz sypnie śnieg. Johnny siedzi w kuchni, sączy kawę i czyta gazetę, kiedy do środka wkracza Teresa, w szlafroku i w kapciach, i podchodzi do termostatu.

- Kto tak podkręcił temperaturę? - pyta.

- A kto jeszcze tutaj mieszka? - Johnny nie odrywa wzroku od gazety. - Marzłem.

- Więc włóż sweter - radzi mu Teresa i obniża temperaturę. - Ogrzewanie kosztuje, gdybyś zapomniał.

Johnny tylko ziewa w odpowiedzi.

Teresa nalewa sobie kubek kawy i siada przy stole.

- Dolać ci trochę anyżówki? - zagaduje Johnny'ego.

- Nie, dzięki.

Teresa przysuwa sobie część gazety i wertuje kartki.

- Twój ojciec zawsze lubił kawę z odrobiną anyżówki.

- Nie jestem tatkiem.

W kuchni robi się cicho, słychać tylko buczenie lodówki i tykanie ściennego zegara. Wiatr się nasila i smaga dom tak, że aż dzwonią szyby w oknach. Muszę przyznać, że ten moment poranka zawsze był moją ulubioną częścią dnia, bo tylko wtedy miałem pięć minut spokoju, które mogłem przeznaczyć na rozmyślenia o tym, co robię z własnym życiem. Johnny nigdy nie wstawał tak wcześnie, ale ostatnio odkrył to samo, co ja przed laty. Takie chwile skupienia pomagają zachować zdrowy rozsądek.

Teresa nuci pod nosem i zerka do gazety.

- Jakie masz plany na dzisiaj? - pyta.

- Takie jak zwykle - odpowiada Johnny, ukryty za rubryką sportową. - Ale chcę zamknąć sklep wczesnym popołudniem.

- Wczesnym? To znaczy o której? - Teresa posyła mu jedno ze swoich spojrzeń, chociaż wie, że syn jej nie widzi.

- Nie patrz tak na mnie - mówi Johnny, nadal z nosem w gazecie. - Nie zamknę przed trzecią. Tatko robił tak samo w dni przed świętami.

- Nie jesteś swoim ojcem.

- Właśnie to staram się wytłumaczyć ludziom.

Teresa koncentruje się na przeglądaniu nekrologów, żeby sprawdzić, czy nie dołączył do mnie ktoś znajomy.

- W porządku - oświadcza. - Będiesz miał czas, żeby załatwić dla mnie kilka spraw. Dziewczyny przychodzą dzisiaj po południu, żeby przygotować ze mną jutrzejszą kolację. Też możesz pomóc, trzeba przynieść parę rzeczy.

- Nie ma sprawy. Tylko nie każ mi ganiać po całym mieście. Mam jeszcze własne sprawy do załatwienia, a potem idę z chłopakami.

- Jakie masz sprawy do załatwienia?

- Rozmaite. W porządku ?

Teresa wie, że nie ma co przypierać go do muru. Z Johnnym jest tak, że im bardziej chcecie wycisnąć z niego informację, tym szczelniej zamyka się w sobie.

- Dam ci listę, zanim wyjdiesz - zapowiada Teresa, nucąc pod nosem.

- Strasznie jesteś dzisiaj wesoła - zauważa Johnny, po czym wstaje, żeby dolać sobie kawy.

- Dobrze wypoczęłam w nocy. To jakiś problem?

- Skąd.

Johnny stawia kubek na blacie i wygląda przez okno. Łysawe drzewa kołyszą się na wietrze, kilka suchych liści, które umknęły przed ostatnim grabieniem, ściga się po

podwórzu z tyłu domu, jak dzieci podczas szkolnej przerwy. Johnny spogląda na szare niebo, wzdryga się i ponownie napełnia kubek kawą.

- Nie mogę uwierzyć, że jutro jest Święto Dziękczynienia. Za moment będzie Gwiazdka. Rety, od śmierci tatki czas pędzi tak, jakby ktoś docisnął pedał gazu.

- Tak ci się wydaje, bo masz dużo zajęć. Nie zauważasz upływu czasu, bo ciągle coś robisz. Czas wlecze się wtedy, gdy siedzisz i czekasz, aż minie. Wierz mi, wiem, co mówię.

- A odkąd to ty siedzisz i czekasz?

- Czasami mam takie wrażenie. - Jak to możliwe?

- Nawet nie pytaj. I tak byś nie zrozumiał.

- Dlaczego nie?

- Bo jesteś mężczyzną.

- A co to ma z tym wspólnego?

- Wszystko.

Johnny wzrusza ramionami i znowu siada przy stole. Dopiero za kilka minut wychodzi do sklepu, więc ponownie sięga po gazetę i raz jeszcze przegląda strony sportowe.

- Jakie masz plany? - pyta.

Teresa odkłada gazetę i przez chwilę wpatruje się w przestrzeń.

- Nie wiem, ale czuję, że powinnam znaleźć coś dla siebie - wzdycha w końcu. - Powinnam nauczyć się czegoś nowego. To chyba jedyne wyjście. Nauka. Moim zdaniem jest tak, że kiedy przestajesz się uczyć, przestajesz żyć. Ludzki umysł jest jak gąbka, która musi wchłaniać wodę, bo inaczej kompletnie wysycha. Kto wie, może wrócę do szkoły, zapiszę się na kilka kursów, zobaczę, co mają do zaproponowania. Może nauczę się, jak założyć nową firmę, albo wezmę kilka lekcji pisania i któregoś dnia napiszę książkę. Gdybym chciała poświęcić ją tobie, twoim siostram i ojcu, zebrałabym materiał na kilka tomów. A może nauczę się obcego języka i zwiedzę kawałek

świata. Nie mam pojęcia, do czego się zabiorę. Możliwości są nieskończone, jeśli tylko dobrze wykorzystam czas podarowany mi przez Boga.

- Chodziło mi o to, jakie masz plany na popołudnie, żebym wiedział, o której przywieźć do domu to, czego potrzebujesz.

Teresa patrzy na niego z niedowierzaniem. Bez słowa zwija swój fragment gazety, wstaje od stołu i wychodząc z kuchni, wali Johnny'ego rulonem w głowę.

ROZDZIAŁ dwudziesty dziewiąty

W świętach, zwłaszcza tych ważnych, takich jak Święto Dziękczynienia, miłe jest to, że otacza je nimb doniosłości, całkiem jakby zwykłe życie na moment szło w odstawkę, żebyście mogli biegać jak w amoku i przygotowywać się do celebrowania. Pewnie zabrzmiałoby to dziwnie, ale zawsze lubiłem tę część świąt. Świat może się walić, wszystko w życiu fatalnie układać, ale nagle przez jeden jedyny dzień martwicie się wyłącznie tym, czy w czwartkowe popołudnie na waszym stole znajdzie się nadziewany indyk, piure ziemniaczane i sos żurawinowy. To naprawdę pomaga oczyścić umysł.

Teresa ostro dawała mi w kość w przeddzień Święta Dziękczynienia. Niezależnie od tego, jak wcześniej zaczęła przygotowania, zawsze okazywało się w ostatniej chwili, że jest jeszcze dziesięć tysięcy rzeczy do załatwienia. Tego dnia zamykałem sklep wcześniej, żeby zdążyć pobiec do mleczarza, sklepikarza i masarza. Czasem to była mordega, ale nie miałem nic przeciwko temu. Przynajmniej tyle mogłem zrobić, zwłaszcza że zapłata przychodziła już następnego dnia, kiedy to my, mężczyźni, byliśmy traktowani jak paniska, a kobiety nas obsługiwały.

Teraz przyszła kolej na mojego syna. Wybija trzecia po południu i Johnny odprowadza do drzwi ostatniego klienta. Gdy ten wychodzi, Johnny zamyka sklep i wywiesza tabliczkę ZAMKNIĘTE, nim zdąży się pojawić ktokolwiek inny. Wpycha dzisiejsze paragony do woreczka, chwyta płaszcz i biegnie na zaplecze, żeby jak najszybciej zacząć załatwiać sprawunki dla matki. Dała mu całą listę, nic nadzwyczajnego, parę drobiazgów z targu, wino i piwo ze sklepu i jeszcze kilka rzeczy. Johnny nie ma nic przeciwko bieganiu na posyłki na życzenie matki, ale jest niezadowolony, bo planował coś innego, więc teraz gna do auta jak szaleniec.

Kiedy w końcu wpada do domu, jego siostry już są w kuchni. Otoczone torbami pełnymi warzyw, wszystkie trzy stoją przy ladzie, każda z nożem w dłoni i łzami w oczach.

- O co chodzi? - Johnny stawia przyniesione torby na blacie stołu.

- O nic - chlipie Maria.

Johnny wznosi wzrok ku niebu i wraca do samochodu po wino i piwo. Po chwili wchodzi do domu z butelkami wina ustawionymi na skrzynce piwa.

Ledwie udaje mu się wejść do kuchni bez zrzucenia wina na ziemię. Stawia to wszystko na podłodze i patrzy na siostry, które nadal ocierają łzy z oczu.

- Co się dzieje? - pyta.

Nikt mu nie odpowiada, więc Johnny wyciąga portfel i szuka listy, którą dała mu matka. W tej samej chwili wchodzi Teresa i od razu bierze się do przeglądania zawartości toreb.

- Kupiłeś butelkę ekstraktu waniliowego, jak cię prosiłam?

- Tak, tak, mam wszystko. Ale o co im chodzi?

- Nie zwracaj na nie uwagi.

- Świetnie. - Johnny przewraca oczami. - I tak mam sporo roboty.

Chwyta kluczyki do auta i wybiega z domu. Gdy tylko drzwi się za nim zatrzasną, kobiety wybuchają głośnym śmiechem.

- A temu co odbiło? - dziwi się Nina.

- Kto tam wie? - wzdycha Teresa. - Pewnie problemy z jedną z tych jego dziewczyn.

- Ile ich teraz ma? - śmieje się Maria, ocierając oczy grzbietem dłoni.

- Lepiej zapytaj, ilu potrzebuje - radzi jej Gina, osuszając kącik oczu papierową chusteczką.

- No dobrze, dziewczynki, wystarczy już cebuli - zarządza Teresa. - Zajmijmy się teraz innymi warzywami.

- Bogu dzięki - mówią moje córki unisono, po czym wrzucają pokrojoną cebulę do wielkiej miski na środku kuchennej lady.

- Co dalej? - pyta Maria.

Teresa wkłada fartuch i wyciąga z torby pęczek marchewek. Myje je pod kranem, a potem obiera, jedną po drugiej, nad zlewem.

- Ja się zajmę tym, a wy obierzcie ziemniaki. Na piure potrzeba nam całej fury.

Po chwili wszystkie już pracują. Obieranie warzyw nie trwa długo, szybko zaczynają je kroić. Zazwyczaj, kiedy wszystkie cztery są w kuchni, cisza nie trwa dłużej niż dwie sekundy - bez przerwy przerzucają się komentarzami i każda koniecznie chce mieć ostatnie słowo. Teraz jednak milczą i przez chwilę słychać tylko stukot noży o deski do krojenia, niczym stukot końskich kopyt na chodniku. Wkrótce Teresa zaczyna nucić pod nosem pogodną melodyjkę, a córki spoglądają na nią z uśmiechem.

- Masz dziś dobry humor, mamo? - pyta Maria.

Teresa zsuwa posiekaną marchewkę do miski i chwytając następny pęczek.

- Prawdę mówiąc, tak. Po raz pierwszy od wielu tygodni naprawdę świetnie się wyspałam, a do tego miałam cudowne sny.

- O czym? - chce wiedzieć Gina. Teresa odkłada nóż i spogląda w okno.

- Nigdy dotąd nie przyśnił mi się taki piękny sen - zaczyna. - Był śliczny, ciepły letni dzień, a ja chodziłam boso pośród łąnów najwspanialszych kwiatów. Były tam rumianki, petunie, bzy, słoneczniki, stokrotki i niecierpki, słowem wszystkie kwiaty we wszystkich możliwych kolorach. Grządki

wyglądały jak kwadraty olbrzymiej patchworkowej kołdry, rzuconej na piękne niewysokie wzgórza. Szłam, wszędzie wokół mnie rozkwitało życie, a ja czułam się szczęśliwa, spokojna i znowu młoda. - Jak miło - mówi Gina. - I co dalej?

- Obudziłam się.

Dziewczyny jednocześnie wybuchają śmiechem, ale Teresa unosi rękę.

- Chwileczkę, to nie wszystko. Bo widzicie, tylko mi się wydawało, że się przebudziłam. Łąka zniknęła, ale to wspaniałe uczucie spokoju pozostało. Przez chwilę tylko leżałam w łóżku, śpiąca i rozmarzona, i uświadomiłam sobie, że w powietrzu nadal czuć zapach kwiatów, a potem, że to wcale nie kwiaty. Wtedy mnie właśnie oświeciło, co to takiego.

- No co? - dopytuje się Nina.

- Woda kolońska - wyjaśnia Teresa. - Woda kolońska waszego ojca.

Wszystkie trzy dziewczyny patrzą po sobie.

- Woda tatka?

- Tak jest. - Teresa energicznie kiwa głową. - Woda kolońska waszego ojca, Bombay Rum numer siedem. Wszędzie rozpoznałabym ten zapach.

- Ale dlaczego poczułaś wodę taty? - dziwi się Gina.

- Właśnie to chcę wam powiedzieć - oznajmia Teresa z półuśmiechem.

Oczywiście, nie ma już mowy o żadnym krojeniu warzyw. Widzę, że Teresa jest bardzo z siebie zadowolona, bo zdołała skupić na sobie niepodzielną uwagę córek. Możecie mi wierzyć, że to nie lada osiągnięcie, kiedy jest się razem z nimi w jednym pomieszczeniu, i na dodatek gadają.

- No mów! - wykrzykuje Maria.

- Dobrze. Usiadłam i rzeczywiście, w nogach łóżka zobaczyłam waszego ojca.

Sam miałem wam o tym opowiedzieć, ale potem przyszło mi do głowy, że może niech Teresa opiszcie to własnymi słowami. Czasami tak lepiej wychodzi, a poza tym, kiedy jej słucham, lepiej pojmuję, na ile dobrze mnie rozumieją. Ale wróćmy do tematu.

- Tatko? - nie dowierza Nina. - A co tam robił?

- Nic nie robił, tylko siedział i gapił się na mnie z tym swoim uśmiechem, takim samym, jaki mi posłał przy pierwszym spotkaniu.

- Nie bałaś się?

- Jak mogłabym się bać waszego ojca?

- No, gdybym ja zobaczyła teraz tatę, to pewnie bym zemdląła - oświadcza Nina, a Maria i Gina potakują.

- Bzdura - obrusza się Teresa.

- I co dalej? - dopytuje się Gina.

- Wyciągnęłam rękę, żeby go dotknąć, i spytałam: „Nick, to naprawdę ty?”.

- I co on na to?

- „A co, spodziewałaś się kogoś innego?”

Dziewczyny zgodnie chichoczą.

- Faktycznie, mógłby tak powiedzieć - zauważa Maria. - I co wtedy?

Teresa podnosi nóż i wraca do krojenia marchewek.

- „Jasne, że nie spodziewałam się nikogo innego. Po prostu śnił mi się cudowny sen. Był piękny i dzięki niemu dobrze się poczułam”. Wtedy Nick popatrzył na mnie i powiedział: „Przynajmniej tyle mogłem zrobić. Cieszę się, że ci się podobał”.

- Niby tatko podarował ci ten sen?

- Też się zastanawiałam, więc postanowiłam go zapytać.

- No i?

- Tylko wzruszył ramionami i odparł: „Tak jakby. Kiedy mogłem, jakoś nie przyłożyłem się do dawania ci kwiatów,

więc pomyślałem, że teraz zrobię to w taki sposób. Od czasu do czasu pozwalają nam na takie rzeczy".

- O rany - wzdychają dziewczyny jednocześnie.

- To samo pomyślałam. - Teresa znowu kiwa głową. - Potem popatrzyłam na niego i spytałam: „Jak się miewasz, Nick, dobrze się o ciebie troszczą?”. „O, tak - przytaknął. - Wiesz, jak jest”. „Nie, nie wiem. Ja nadal żyję, zapomniałeś?” „No tak”, on na to.

- I co potem zrobiłaś? - pyta Maria.

- Zaczęłam wstawać z łóżka i powiedziałam: „Może zejdziesz, Nick, zaparzę kawę. Mamy do pogadania”.

- I co, zeszliście?

- Nie. Wasz tata powiedział, że to kiepski pomysł.

- Dlaczego?

- Powiedział dokładnie: „Śpisz, Tereso, więc lepiej nie wstawaj. Tylko narobisz bałaganu w kuchni”. „Ale przecież czuję się zupełnie przebudzona”, odpowiedziałam mu. „Wierz mi, że jesteś kompletnie nieprzytomna, to po prostu sen”. „Wobec tego to jeszcze jeden dobry sen - oświadczyłam. - Cieszę się, że się ze mną spotkałeś, Nick”. A on: „Ja też. Tak sobie pomyślałem, że może pora wpaść. I ja mam z tobą do pogadania”.

- Ale jak wyglądał? - chce wiedzieć Gina. - Wydawał się szczęśliwy?

- Chyba tak. Kiedy jednak spojrzałam mu w oczy, zobaczyłam, że coś go dręczy. Nie można być czyjąś żoną przez trzydzieści siedem lat i nie dostrzegać takich rzeczy.

- I co to było?

- Zapytałam, ale powiedział, że chodzi o Johnny'ego, że trochę się o niego martwi. Wtedy powiedziałam: „O niego się nie martw. Pora, żeby sam zaczął się o siebie martwić i nauczył się odpowiedzialności. Wiesz, ile razy musiałam zamykać sklep za niego, żeby mógł się pouganiać za

spódniczkami?". „Nie bądź dla niego taka surowa - poprosił wasz ojciec. - Teraz ma mnóstwo spraw na głowie".

- Nie wątpię - śmieje się Nina.

- No ale co jeszcze się stało? - niecierpliwi się Maria. - Mówił cokolwiek o nas?

- Nie - przyznaje Teresa. - Nie sędzę, albo przynajmniej niczego nie pamiętam.

- Dlaczego nie? - Maria wydaje się zirytowana. - To niesprawiedliwe.

Reszta zgodnie kiwa głowami. Zadziwiająca, prawda? Nieważne, ile lat mają twoje dzieci, i tak zawsze będą się kłócić, jeśli jedno dostanie coś, czego nie dostanie cała reszta. I chociaż już nie żyję, nadal muszę pamiętać o tym, żeby mieć coś dla każdego, bo inaczej będą kłopoty.

- Czego chcecie ode mnie? - pyta Teresa na widok ich min. - Odegrajcie się na ojcu przy okazji modlitwy.

- I tyle? - pyta Nina. - To wszystko, co miał do powiedzenia?

- Skąd. Po jego minie i tym skubaniu kącika ust, co zawsze robił, kiedy był w kropce, domyśliłam się, że to nie wszystko, więc spytałam: „Co ci leży na wątrobie, Nick?". Zaczął kluczyć i mówi w końcu: „Tak się zastanawiałem, co u ciebie. Wiesz, może nie minęło tak dużo czasu, ale życie toczy się dalej i musisz podjąć jakieś decyzje".

- Ale jakie decyzje? - dziwi się Gina.

- O to go właśnie zapytałam.

- Co odpowiedział?

- Wzruszył ramionami i oświadczył: „Co zrobić z resztą życia i z kim to zrobić". A ja na to: „Nick, zastanawiasz się, czy kiedyś znowu wyjdę za mąż?".

- O nie - jęczy Gina. - A tatko co?

- Znowu zaczął kluczyć. „Właściwie to nie - przyznał. - Chodzi mi o to, że nic w tym złego, w końcu nie żyję. Co

prawda minęło tylko kilka miesięcy, ale czas ucieka. Nadal jesteś młoda, rozumiem. Zresztą to twoje życie". „No to o co chodzi?", pytam. Zawsze lubiałam, kiedy wasz ojciec był o mnie trochę zazdrosny, więc skoro trafiła się jeszcze jedna okazja, dlaczego miałabym ją sobie odpuścić?

- Jesteś okropna - chichocze Gina. - Mów, co ci odpowiedział.

- „Nie ma problemu. Najmniejszego. Tak tylko o tym wspominałem w rozmowie. Zresztą masz prawo poznawać nowych ludzi". „Czyżby nowe znajomości stanowiły problem?", ja na to. „Nie, skąd, chodzi o to, że..." „Że z kobietami jest inaczej, tak?", dokończyłam za niego, a on: „Nie inaczej, tylko po prostu nie chciałbym, żebyś coś zrobiła, zanim nie będziesz gotowa. Nie chcę, żebyś cierpiała". „I nie chcesz, żebym się dobrze bawiła bez ciebie, co, Nick?", zapytałam go wtedy.

- Po co tak z nim rozmawiałaś? - oburza się Maria. - Całkiem jakbyś się z kimś spotykała. A może jest ktoś nowy, o kim nam nie powiedziałaś?

- Oczywiście, że nie ma nikogo! - wykrzykuje Teresa.

- To dlaczego chcesz, żeby tato tak myślał?

- Mam swoje powody, panno Wtrącałka.

- Wszystko jedno, powiedz lepiej, co było dalej - niecierpliwi się Nina.

- To bądźcie cicho i słuchajcie. Wasz ojciec spogląda na mnie i głęboko wzdycha, po czym mówi: „Ciężko jest patrzeć na wszystko z tej strony, wiedząc, że nic się nie da zrobić. Człowiek czasem zaczyna się bać". „Przecież nie żyjesz - ja na to. - Czego na Boga mogą się bać zmarli?"

- I co powiedział?

- „Jednej jedynej rzeczy - zapomnienia". - Teresa odkłada nóż i sięga po ściereczkę na ładzie, bo ni z tego, ni z owego jej

oczy napęlniają się łzami. - Te cebule - chlipie i ociera oczy. - Nadal oczy mnie szczypią.

Nasze córki dobrze wiedzą, że cebula nie ma z tym nic wspólnego.

- Jak to skomentowałaś? - pyta Gina cicho.

Teresa bierze głęboki oddech, żeby się trochę uspokoić, i uśmiecha się do dziewczyn.

- Powiedziałam: „Nie przejmuj się, Nick, niezależnie od tego, co zrobię ze swoim życiem, nigdy cię nie zapomnę. Pamiętaj, że jesteś moim mężem”.

- I co, poczuł się lepiej?

- Na pewno, bo się uśmiechnął i powiedział: „Pamiętam i nie chciałbym, żeby było inaczej”. Zapewniłam go, że ja też nie. A potem obejrzał się przez ramię i krzyknął: „Wiem, wiem!”.

- Do kogo? - dziwi się Maria. - Był tam jeszcze jakiś duch?

- Nikogo nie było, dlatego zapytałam: „Nick, o co chodzi?”, a on na to: „Nic się nie martw, wołają mnie, bo już pora na mnie”. „Zobaczę cię jeszcze?” „Oczywiście. Dopóki będziesz chciała”. „Zawsze będę chciała”. „A ja zawsze będę chciał, żebyś ty chciała”.

- Co dalej? - pyta Nina.

- Życzyłam dobrej nocy waszemu ojcu i znowu zasnęłam. Trafiłam prosto do pięknego snu o kwiatach, a kiedy dziś rano się obudziłam, czułam się wypoczęta i znowu w jednym kawałku, zupełnie jakbym urodziła się na nowo. Dalej się tak czuję.

Teraz moje córki ryczą jak bobry. - Jakie to piękne - wzdycha Gina.

- Chciałabym, żeby tatko też mnie odwiedził - pochlipuje Maria.

- I ja - dodaje Nina.

- Odwiedził? - śmieje się Teresa. - Dwie minuty temu słyszałam, że zemdlałybyście na jego widok.

W tej samej chwili do kuchni wpada Johnny, rozgląda się dzikim wzrokiem i biegnie na górę.

- Gdzie ja zostawiłem portfel, do cholery? - wrzeszczy.

- Tu na ladzie! - woła Teresa.

Johnny zbiega ze schodów i znowu wpada do kuchni. Łapie portfel i już stoi w drzwiach, kiedy nagle nieruchomieje i patrzy na zapłakane siostry i matkę.

- Co się z wami wszystkimi dzieje?

- To cebula. - Teresa niemal wypycha go z kuchni. - Naprawdę, tylko cebula.

ROZDZIAŁ trzydziesty

Opowiem wam historyjkę o sobie i Vicki. Raz wbiła sobie do głowy, że musi zobaczyć przedstawienie w Bostonie, jakąś sztukę z Alem Pacino w roli głównej, tytułu nie pamiętam. Tak czy owak, gadała o tym przy każdym naszym spotkaniu i wkrótce miałem tego powyżej uszu. Załatwiłem w końcu bilety i pewnego wieczoru podjechałem po nią i ruszyliśmy do Bostonu.

Z oczywistych powodów nie lubiłem pokazywać się z Vicki w Rhode Island. Sami rozumiecie, w naszym stanie wszyscy się znają i wszyscy plotkują, więc nie ma co ryzykować, jednak wieczorny wypad do teatru w Bostonie, gdzie można wmieszać się w tłum, wydawał się całkiem bezpieczny.

W drodze Vicki była rozgadana i szczęśliwa, bo po raz pierwszy od tygodni, a może nawet miesięcy, pokazaliśmy się razem publicznie. Dla niej to ważne, ja jednak wolałem się nie wychylać.

I tak wchodzimy do teatru, siadamy na swoich miejscach, sztuka się zaczyna. Chociaż lubię Pacino, to akurat na tym przedstawieniu mocno się nudziłem. Omal nie zasnąłem w połowie pierwszego aktu, Vicki jednak była zachwycona. Podczas przerwy wyszliśmy do foyer czegoś się napić, a Vicki bez przerwy trajkotała, jak było cudownie. Szczerze mówiąc, pewnie gdybym zabrał ją na powtórki komedii z Chaplinem, byłaby równie zachwycona, bo po prostu choć na jeden wieczór wyszlibyśmy z jej mieszkania.

Stoję sobie, pijam dzin z tonikiem i udaję, że słucham, co mówi Vicki. Zaczynam się odprężyć, myślę sobie, że może na dzisiejszy wieczór wyłączę radar, kiedy nagle ktoś mnie poklepuje.

- Hej, Nick!

Czuję się tak, jakby silny arktyczny wiatr dmuchnął mi w plecy. W chwili gdy słyszę swoje imię, zamieram, jestem jak sparaliżowany, Vicki zresztą też. Powoli, bardzo powoli odwracam się i widzę, że to Dickie McDougal z Providence we własnej osobie, czyli gość z Providence, którego znam od wieków. Dick Mick, tak na niego mówiliśmy, póki Johnny nie przemianował go na Elektrycznego Dicka, bo facet jest elektrykiem. Od zawsze kupuje w naszym sklepie, co gorsza, Teresa i jego żona Marcia świetnie się znają, a sam Dickie to koszmarny gaduła. Nagle dopada mnie okropny ból głowy i czuję się tak, jakby ktoś wbił mi siekierę w czoło.

- Hej, Dickie. - Udaję przyjemne zaskoczenie.

- Co ty tu robisz?

- Żartujesz sobie? Uwielbiam Pacino, marzyłem o tym, żeby zobaczyć tę sztukę. Przez dwa tygodnie próbowałem zdobyć bilety, ale były wykupione na każde przedstawienie, które mi pasowało. Zaraz powiesz, że wystarczyło do ciebie zadzwonić, co?

Lekko wzruszam ramionami i mam ochotę poskubać kącik ust. I ja, i Vicki pobledliśmy, ale nie ma co udawać, że nie przyszliśmy tu razem.

- Dickie. - Odkasłuję nerwowo. - To Vicki, moja... hm, znajoma.

- Witam - mówi Dickie, jakby fakt, że spotkał mnie w towarzystwie innej kobiety, nie miał najmniejszego znaczenia.

- Piękna sukienka - zwraca się do niej.

- Dziękuję. - Vicki od razu się rumieni. Dickie niespodziewanie wybucha gromkim śmiechem.

- Hej, Dickie, Nicky i Vicki! - wykrzykuje.

- Ale świetna nazwa dla kapeli! Pewnie za nią samą podpisaliby z nami kontrakt i zarobiliśmy miliony! Co wy na to?

- Ja chyba skorzystam z toalety, zanim zacznie się drugi akt - oznajmia Vicki. - Do zobaczenia na sali. Miło było cię poznać.

- Ładna dziewczyna. - Dickie z aprobatą kiwa głową, kiedy Vicki znika w tłumie.

- Posłuchaj, Dickie - zaczynam. - Nie możesz powtórzyć Marcii, że mnie widziałeś...

Zanim jednak zdołam skończyć, z tłumu wyłania się drobna, wystrzałowa blondynka, podchodzi do nas i bierze Dickie'ego pod ramię.

- Co ty wyprawiasz, Dickie? - mówi i robi balona z gumy. - Siedziałam sama jak palec, czekając, aż do mnie wrócisz.

- Hej, nie panikuj - śmieje się Dickie. - Rozmawiałem ze starym kumplem. Nick, poznaj Vanesę.

- Jak się masz, Vanesso - mówię posłusznie. - Jak co się mam? - pyta blondynka, nie przerywając zucia.

Dickie znowu głośno się śmieje.

- Nie zwracaj na nią uwagi, Nick - radzi mi, po czym pochyła się ku mnie i dodaje scenicznym szeptem, żeby Vanessa na pewno usłyszała: - Nazywam ją Vanessa Ekspresa.

- Dickie! - Vanessa żartobliwie uderza go w ramię. - Ale z ciebie palant.

Światła zaczynają migotać, na znak, że za chwilę zacznie się drugi akt.

- O, pora na nas. Do zobaczenia, Nick.

Odchodząc, Dickie ogląda się przez ramię i gestem daje mi do zrozumienia, że będzie milczał jak grób. Zanim oboje znikną na sali, mruga jeszcze do mnie i uśmiecha się szeroko.

Teraz cała reszta stada truchta na początek drugiego aktu, ja jednak nie. Błyskawicznie dopijam drinka i ruszam do baru po następny. Czuję się tak, jakby ktoś właśnie wyssał ze mnie całą energię, dowleka

się jakoś do barmana i zamawiam podwójny dzin z tonikiem.

Przez resztę wieczoru ani ja, ani Vicki dobrze się nie bawiliśmy i mam wrażenie, że kiedy sztuka się skończyła, obojgu nam ulżyło. W drodze powrotnej Vicki z ponurą miną w milczeniu wpatrywała się w okno. Nastrój ulotnił się jak bąbelki z otwartej butli szampana.

W końcu, kiedy już przejechaliśmy spory kawał drogi, odwróciła do mnie i westchnęła:

- Chyba tak to z nami jest. I już zawsze będzie:

Odwróciła się z powrotem do okna i przez resztę drogi żadne z nas nie odezwało się ani słowem. Prawdę mówiąc, po tej wyprawie nigdy nie było już tak jak przedtem.

Opowiedziałem wam tę historię tylko dlatego, że teraz Vicki wygląda przez okno auta z takim samym wyrazem twarzy jak wtedy, kiedy wracaliśmy z Bostonu. Właściwie ma tę minę dzień w dzień, odkąd Johnny powiedział jej, że jego matka widziała nas tamtego popołudnia na lunchu w East Side. Nie układa się im już tak jak wcześniej, sami rozumiecie.

Vicki ma problemy z autem, więc podwiezienie jej na dworzec autobusowy to jedna ze „spraw”, które Johnny musi załatwić przed Świętem Dziękczynienia. Z oczywistych powodów nie chciał o tym mówić Teresie. Problem w tym, że po załatwieniu sprawunków dla matki i przymusowym powrocie do domu po portfel Johnny'emu zostało niewiele czasu, żeby zdążyć na ostatni autobus do Kennebunkport. Dlatego nagle zaczyna pędzić jak wariat.

- Nic się nie martw, zdążymy - pociesza Vicki.

Nie mógł wybrać gorszego momentu na wypowiedzenie tych słów. Gdy podnosi wzrok, w lusterku wstecznym widzi pulsujące światła. Z jękiem zjeżdża na pobocze. Vicki przez cały czas milczy, tylko pociera czoło, a czas ucieka.

Nigdy nie rozumiem, dlaczego zatrzymanie przez policję za przekroczenie prędkości tyle trwa. Z jakiegoś powodu zawsze zostawiają człowieka na widoku, a sami wracają do swojego wozu, tkwią tam godzinami i diabli wiedzą, co robią. A ty, człowieku, siedź sobie i się kiś we własnym sosie. Więc kiedy policjant wraca do auta z mandatem, Johnny jest niemal ugotowany. Nic jednak nie może zrobić, więc tylko przyjmuje mandat i ciska go przez ramię na tylne siedzenie. Potem z przerażeniem spogląda na zegar.

- Te autobusy nigdy nie odjeżdżają zgodnie z planem - mówi i wrzuca bieg. - Założę się, że i tak zdążymy.

Oczywiście, kiedy wjeżdżają na parking dworca, po ostatnim autobusie do Maine nie ma nawet śladu. Niezrażony tym Johnny biegnie do okienka kasy, żeby się upewnić, czy przypadkiem dziś nie odjedzie coś jeszcze. Dowiaduje się, że nie, po czym wlecze się z powrotem do auta, żeby przekazać Vicki złą wiadomość.

- Przepraszam - mówi i opada na fotel.

- To nie twoja wina - wzdycha Vicki. - Chyba tak to już z nami jest, i pewnie zawsze będzie.

- O co ci chodzi?

- O to, że zawsze będę na drugim miejscu, za twoją rodziną i sklepem. - Wydaje się okropnie przygnębiona. - Rozumiem. Żadne z nas nic na to nie poradzi.

Przez chwilę siedzą, patrząc na przyjeżdżające i odjeżdżające autobusy.

- Czeka! - wykrzykuje nagle Johnny. - Twój autobus musi się przecież zatrzymać w Attleboro, to tylko pięć minut drogi stąd. Może uda się nam go dogonić.

Zanim Vicki zdąży wyrazić swoje zdanie na ten temat, auto wyjeżdża z piskiem opon z parkingu wprost na I - 95 na północ. Kiedy docierają do Attleboro, nie widać jednak żadnego autobusu.

- Odjechał kwadrans temu - informuje Johnny'ego kasjer.
- Uch! - krzywi się Johnny. - Gdzie się najwcześniej zatrzyma?

- W Braintree.

Johnny wraca do samochodu i pędzą teraz do Braintree w Massachusetts. Przez całą drogę Johnny jedzie sto trzydzieści na godzinę, więc uważa, że tym razem mają spore szanse zdążyć. Oczywiście, mają też spore szanse na następny mandat. Jest jeszcze jeden mały problem: kiedy byli w Attleboro, zapomniał zapytać, gdzie dokładnie w Braintree zatrzymuje się autobus. Rzeczywiście, udaje im się błyskawicznie dojechać do Braintree, ale Johnny nie wie, dokąd się udać po zjeździe z autostrady. Krąży po całym mieście, próbując zgadnąć, gdzie może się znajdować dworzec autobusowy, ale nic z tego nie wynika. W końcu zatrzymuje się i opiera głowę na kierownicy.

- Nie masz pojęcia, dokąd jechać, prawda? - pyta go Vicki z lodowatym spokojem.

W odpowiedzi Johnny tylko kręci głową.

- Tam niedaleko jest Burger King - wzdycha. - Może ktoś nam powie, gdzie jest dworzec.

Johnny podjeżdża pod restaurację i wchodzi do środka, podczas gdy Vicki czeka w aucie. Parę minut później wychodzi z dwoma kubkami kawy w dłoni.

- Wiesz już, dokąd jechać? - pyta Vicki. Johnny wsiada i podaje jej kawę.

- Tak - odpowiada, po czym uruchamia silnik. Wracają tą samą drogą, którą przyjechali, a potem wjeżdżają na dziewięćdziesiątkę piątkę.

- Johnny, wjeżdżasz na autostradę. Dokąd jedziesz?

- A jak myślisz? - Johnny przyciska pedał gazu. - Jedziemy do Maine.

ROZDZIAŁ trzydziesty pierwszy

Byłem w Maine tylko raz, latem, bo ja wiem, z dziesięć lat temu. Teresa uparła się na wyjazd po rozmowie z jedną ze swoich przyjaciółek, która opowiedziała jej o jakimś miejscu na wybrzeżu, gdzie rzekomo znajdują się wszystkie boskie outlety, a także niesamowicie interesujące sklepiki, cudowne hoteliki i urocze pensjonaty, na dodatek niebiańskie restauracje. Innymi słowy, nocny koszmar przeciętnego faceta, takiego jak ja. Do dziś nie wiem, jak dałem się namówić Teresie na tę wyprawę. Jak większość mężczyzn, uważam, że wyprawa na zakupy z żoną w środku lata jest równie pociągająca jak borowanie zębów, jednak pojechaliśmy.

Plan był taki, żeby dotrzeć na miejsce, pospacerować, dać Teresie zrobić zakupy, znaleźć przyjemny pensjonat na nocleg, może zjeść smaczną kolację i wrócić do domu następnego ranka.

Brzmiało to dość bezboleśnie, tyle że nic z tego nie wyszło.

Po pierwsze, było chyba ze czterdzieści stopni w cieniu i wszędzie roilo się od turystów, więc po sekundzie od wjazdu do miasta poczułem się zgrzany i nieszczęśliwy. Teresa też, bo zamiast na zakupach, większość dnia spędziliśmy w korkach, usiłując się zorientować, dokąd jechać. Kiedy w końcu zabraliśmy się do szukania noclegu, okazało się, że wszystko jest zajęte i po tej stronie Góry Waszyngtona nie znajdzie się ani jeden wolny pokój. Do tego w restauracjach też siedziały tłumy i trzeba było się przygotować na minimum półgodzinne oczekiwanie.

I tak oto dzień ma się ku końcowi, a my siedzimy w aucie, spoceni, zmęczeni i zirytowani, na dodatek nie mamy nawet gdzie posadzić tyłków i zjeść kolacji. Dociera do nas w końcu, że nie pozostaje nam nic innego, tylko jechać do domu. Wtedy właśnie Teresa odwraca się do mnie i wrzeszczy:

- Dlaczego w ogóle dałam ci się namówić na ten wyjazd?

Biorąc pod uwagę ogólną sytuację, chętnie wziąłem na siebie winę. Zawróciłem i pojechaliśmy prosto do Providence, na dodatek udało nam się jeszcze skoczyć na późny makaron na Hill. Tak właśnie, przyjaciele, skończyły się nasze zakupowe wycieczki.

Kiedy Vicki i Johnny dojeżdżają do Kennebunkport, jest dobrze po dziewiątej wieczorem. Okazuje się, że Kennebunkport leży kawalek za miejscem, w którym ja i Teresa byliśmy tamtego lata, tyle że o tej porze roku okoliczne drogi są późnym wieczorem niemal całkiem puste. No cóż, niektórzy mają fart. Johnny jedzie przez centrum miasta, a potem pogrążoną w półmroku, biegnącą wzdłuż oceanu drogą. W dole widać niewielki skrawek lądu, który wcina się w zatokę. Johnny ledwie widzi zarys okazałego domu, który na nim stoi.

- To dom Bushów - mówi Vicki, kiedy mijają bramę wieńczącą długi podjazd.

- Tych od piwa?

- Nie, głuptasie. - Vicki uśmiecha się po raz pierwszy, odkąd wsiadła do auta. - Tych od prezydenta.

- Och. - Johnny wzrusza ramionami.

Trochę dalej Vicki każe mu skrócić w boczną drogę, prowadzącą w głąb lądu, i jadą przez pewien czas, aż wyrasta przed nimi ładny stary dom z okalającą go werandą i dużymi oknami z widokiem na zatokę.

- To tu.

Johnny wjeżdża na wysypany żwirem podjazd i parkuje przed stodołą przerobioną na garaż, podczas gdy Vicki zbiera swoje rzeczy.

- Mój Boże, to było jak lot samolotem. Chyba jeszcze nigdy nie przyjechałam tu tak szybko.

- Proszę nie wstawać z foteli, dopóki samolot nie przestanie kołować - odpowiada Johnny. - I proszę nie zapomnieć bagażu podręcznego.

Vicki odwraca się do niego i delikatnie ujmuje go pod ramię.

- Wiesz, Johnny, naprawdę nie musiałeś tego robić - mówi mu mniej więcej piętnasty raz od wyjazdu z Braintree.

- Hej, żyję, żeby ci służyć. No dobra, wezmę twoją torbę z bagażnika.

Noc jest zimna, lodowaty wiatr znad oceanu dodatkowo chłodzi powietrze. Przeciągając się po wyjściu z samochodu, Johnny wypuszcza z ust kłęb pary. Potrząsa głową, żeby dojść do siebie po długiej jeździe, i jednocześnie się rozgląda. W domu wszystkie okna są oświetlone, w powietrzu czuć zapach palonego drewna. Johnny unosi wzrok i widzi dym z komina. Po chwili spogląda na zatokę.

- O co chodzi? - pyta go Vicki.

- Nic takiego. Słysząc stąd ocean. Fajne odgłosy.

- Kiedy byłem mała, spędzaliśmy tu każde lato. Też kocham ten dźwięk.

Zanim zdążą pokonać schodki prowadzące na werandę, drzwi wejściowe się otwierają i staje w nich matka Vicki, cała w uśmiechach, po czym serdecznie ściska córkę.

- Już zaczynałam się martwić - mówi. - Kiedy nie zadzwoniłaś z Portland, bałam się, że może był jakiś wypadek.

- Wybacz, mieliśmy małą zmianę planów. - Vicki wskazuje głową Johnny'ego. - Spóźniłam się na autobus, więc przyjechaliśmy samochodem.

- W takim razie wejdźcie oboje do środka i się ogrzejcie, a potem opowiecie mi, co się działo.

W świetle Johnny może się lepiej przyjrzeć matce Vicki. To atrakcyjna kobieta o siwych włosach i przenikliwie błękitnych oczach, identycznych jak u jej córki. Sądząc po

fartuchu i podciągniętych rękawach, pani Sanders właśnie oderwała się od pracy w kuchni.

Vicki odwraca się do Johnny'ego i bierze od niego swoją torbę.

- Mamo, to Johnny. Mój przyjaciel z Providence.

- Bardzo miło cię poznać, Johnny. - Matka Vicki wyciąga do niego rękę. - Dziękuję, że bezpiecznie przywiozłeś mi córkę.

- E, drobiazg, proszę pani. - Johnny energicznie potrząsa ręką pani Sanders. - Cała przyjemność po mojej stronie.

- Proszę, mów mi po imieniu. Elizabeth albo Sandy jeśli wolisz.

- Sandy?

- Jasne, nie wstydź się. Wszyscy przyjaciele tak mnie nazywają, to takie przezwisko.

- Dobrze - mówi Johnny i odchrząkuje. - Niech będzie Sandy.

Zerka na Vicki, która robi, co może, żeby nie patrzeć w jego stronę.

- Co szykujesz, mamo? - pyta, żeby zmienić temat.

- Chodźcie, pomożecie mi. - Matka Vicki rusza do kuchni.

Johnny uważnie się rozgląda, idąc za nimi. Dom jest naprawdę ładny, stary, o wysokich sufitach i drewnianych podłogach. Kiedy mijają salon, Johnny pozwala sobie zajrzeć do środka i widzi przytulny pokój z wygodnymi meblami i kominkiem, w którym płonie ogień. Najbardziej jednak rzucają się w oczy książki, zajmują chyba każdy centymetr regałów pod ścianami, leżą też na stoliku koło sofy, w stosikach na pianinie w kącie, są po prostu wszędzie. Johnny nie może się nie uśmiechnąć.

- Już wiem, skąd tak masz - mówi do Vicki.

- Co? - Vicki ogląda się na niego przez ramię.

- Nieważne.
- Usiądź, Johnny - proponuje matka Vicki po wejściu do kuchni. - Zrobię ci kawę.
- Nie, proszę sobie nie... Nie rób sobie kłopotów, Eliz...
To znaczy...
- Jest już zaparzona - przerywa mu pani Sanders. - No dobrze, siadaj przy stole, a ja jeszcze ukroję ci ciasta. Na pewno jesteś zmęczony po takiej długiej podróży.
- Mówisz jak moja matka - chichocze Johnny.
- Wszystkie jesteście ulepione z tej samej gliny, mój drogi.

Johnny posłusznie siada przy stole, a po sekundzie ląduje przed nim talerz z szarlotką i kubek parującej kawy. Przy okazji, oto przykład tego, co nazywam wsparciem randkowym. Wszystkie matki to robią, kiedy ich córki wreszcie przyprowadzą do domu chłopaka, który im się podoba. Bo widzicie, kobiety wyrabiają sobie opinię o facecie w ciągu nanosekundy i zazwyczaj ich wstępne rozpoznanie jest całkiem do rzeczy. Nie wiem, jak to robią, to wrodzona umiejętność, którą mężczyźni nie dysponują. Jeśli matce chłopak się spodoba, od razu znajduje sposób, żeby zaciągnąć go do kuchni i dać mu coś smacznego do jedzenia. Wie, że typowy mężczyzna jest znacznie mniej skomplikowany niż kobieta. Mężczyźni działają pod wpływem kilku podstawowych impulsów, a najważniejszy z nich to pragnienie jedzenia. Niemal nigdy nie zapominają, gdzie dostali dobry posiłek, więc wystarczy tylko raz porządnie ich nakarmić, a na bank wrócą po więcej. To działa zarówno w przypadku chłopców, jak i dorosłych facetów. Vicki wkłada fartuch, a jej matka wyciąga warzywa z toreb stojących na podłodze.

- Vicki wspomniała, że jesteś z Providence, Johnny - mówi, układając wszystko na blacie. - Też pracujesz na uniwersytecie?

- Nie, nie - śmieje się Johnny. - Nie jestem, jakby to powiedzieć, typem akademickim. Sprzedaję różne techniczne rzeczy.

- Johnny ma własny sklep - wyjaśnia Vicki, pomagając matce sortować warzywa.

- Ach, przedsiębiorca - uśmiecha się pani Sanders. - Kiedy byłam nauczycielką, zawsze marzył mi się własny sklepik.

- Też byłaś nauczycielką? - - pyta Johnny.

- Drugiej klasy szkoły podstawowej, przez trzydzieści dwa lata. I uwielbiałam każdą minutę swojej pracy. Nie było z tego dużych pieniędzy, rzecz jasna, dlatego od zawsze próbowałam zainteresować Vicki jakimś innym zawodem, ale uparła się, że też będzie uczyć. Moja córka jest bardzo uparta, zwłaszcza jeśli wbije sobie coś do głowy. Odziedziczyła tę cechę po ojcu.

- Dziękujemy ci za tę interesującą pogadankę, mamó - burczy Vicki.

- Ej, nie czepiaj się jej. - Johnny mruga do Vicki.

- Wiesz, zawsze uważałam, że miło jest mieć własny sklep - ciągnie jej matka. - Człowiek jest swoim własnym szefem, nie musi się przed nikim tłumaczyć.

- Możesz mi wierzyć, że mając własny sklep, musisz się tłumaczyć przed tłumem ludzi. Przede wszystkim przed klientami. Czasem człowiek czuje, że ma dziesięć tysięcy szefów zamiast jednego.

- Nigdy tak o tym nie myślałam. Widocznie niezależnie od tego, co robimy, zawsze musimy się komuś tłumaczyć.

- Na to wygląda - wzdycha Johnny.

- Powiedzcie, jak się poznaliście?

Po tym niewinnym pytaniu zapada milczenie. W cichej desperacji Johnny patrzy na Vicki, a ona na niego. Johnny powoli otwiera usta, chociaż jest całkiem jasne, że nie ma pojęcia, co powiedzieć.

- Przedstawił nas sobie wspólny znajomy - śpieszy mu na ratunek Vicki. - Potem wpadliśmy na siebie kilka tygodni później, kiedy szłam na wieczorek poetycki i Johnny postanowił pójść ze mną.

- Rozumiem. Jak miło - mówi pani Sanders. Widzę, że domyśla się, że między tą dwójką coś się święci, ale jest dość bystra, żeby się nad tym za długo nie zastanawiać. - Lubisz takie spotkania, Johnny?

- Ech, czasem bardziej, czasem mniej. Zależy.

- Co będzie jutro, mamó? - wtrąca Vicki, próbując skierować rozmowę na mniej poetyckie tematy.

- Hm, zastanówmy się - przyjedzie twój brat i Jocelyn z dziećmi, ciocia Sara i wuj Charlie. Twój kuzyn David z żoną też będzie w mieście w ten weekend, więc ich zaprosiłam. Mildred z biblioteki siedziałaby sama w domu, dlatego także przyjdzie do nas. Do tego ty, oczywiście, no i mam nadzieję, że Johnny.

- Ja? - zdumiewa się Johnny. - O nie, nie mogę, pani... pani San... Sandy. Dziękuję za zaproszenie, ale jeszcze dzisiaj muszę wrócić do Providence.

- Taki kawał drogi do Providence po tym, jak moja córka zmusiła cię do przyjazdu tutaj? Nonsens. Możesz spędzić noc u nas, mamy mnóstwo miejsca.

- Już proponowałam Johnny'emu, żeby się u nas zatrzymał, mamó - mówi Vicki. - Ale on chce spędzić Święto Dziękczynienia ze swoją rodziną.

- Rozumiem. Po prostu przykro mi, że tak długo jechał, a teraz musi wracać. Robi się późno.

- Nic mi nie będzie, naprawdę, nie przejmuj się tym - uspokaja ją Johnny.

Po tej wymianie zdań Vicki i jej mama pogrążają się w rozmowie, a Johnny spokojnie popija kawę i je szarlotkę. Nie zwraca na nie uwagi, w końcu dorastał z trzema siostrami i babska gadanina to dla niego niewiele więcej niż hałas w tle. Powinien spróbować z żoną i trzema córkami - to zupełnie inna historia. I tak Johnny tylko zajada szarlotkę i rozgląda się wokół siebie. W powietrzu unosi się aromat piekących się ciast, na patelni na kuchence coś się dusi. Z dwóch dużych garnków bucha para, która osadza się na oknach. Na ladzie leżą pęczki marchewki, buraki i selery, torba ziemniaków, kabaczek oraz inne warzywa. Właściwie widok jest podobny do tego, który Johnny oglądał w Providence kilka godzin wcześniej.

Kiedy kończy jeść i pić kawę, wstaje i zbiera naczynia ze stołu.

- Ciasto było pyszne, Sandy - mówi.

- Dziękuję, Johnny. Niezbyt często gotuję, ale kiedy już to robię, staram się jak najlepiej.

- Poczekaj, ja się tym zajmę. - Vicki zabiera Johnny'emu talerz i kubek i niesie je do zlewu. Po umyciu ich z całej siły zakręca kurek, ale woda i tak kapie.

- Co się dzieje z kranem? - pyta Johnny.

- Och, to trwa od kilku tygodni - wyjaśnia matka Vicki. - Jakoś nie mogę się zebrać i zadzwonić po hydraulika.

Johnny podchodzi do kranu i zerka na niego. Przez chwilę zmagają się z kurkiem, po czym nagle bez słowa wychodzi z kuchni.

- Dokąd to? - woła za nim Vicki.

- Zaraz wracam.

Rzeczywiście, szybko zjawia się z powrotem, tym razem ze skrzynką z narzędziami, którą trzyma w bagażniku. Stawia

ją na ladzie obok zlewu, otwiera i wyciąga klucz francuski i śrubokręt.

- To zajmie jedną chwilę - mówi. Sięga pod zlew i zamyka dopływ wody, a potem śrubokrętem odkręca kurek. - Wygląda na to, że wystarczy wymienić uszczelkę.

W krótkim czasie Johnny wyciąga z kranu głowicę, przetrząsa rzeczy w skrzynce z narzędziami i chwytając uszczelkę. Pasuje, więc kilka minut później kran działa jak należy. Zadowolony z siebie, Johnny wrzuca narzędzia do skrzynki. Szczerze mówiąc, sam jestem zadowolony, że dzieciak przynajmniej czegoś się nauczył, pętając się wokół mnie przez te wszystkie lata.

- Cudownie - zachwyca się Vicki. - Ile bierzesz za wizyty domowe?

- Zwykle wystarcza kawa i kawałek ciasta.

- Wobec tego możesz być pewien, że kiedy wysiądzie bojler, na sto procent cię wezwę. - Matka Vicki uśmiecha się do niego szeroko.

- Bardzo mnie to cieszy.

Kiedy nadchodzi czas, żeby się pożegnać, Vicki odprowadza Johnny'ego do drzwi. Sandy napełnia termos kawą, zakręca i stawia na ladzie w kuchni. Wrzuca garść ciastek, jabłko i serwetki do plastikowej torby i biegnie do sieni, żeby wręczyć prowiant Johnny'emu.

- Bardzo się cieszę, że cię poznałam, Johnny - mówi. - Zobaczę cię jeszcze?

To pytanie skierowane jest raczej do Vicki niż do Johnny'ego. Vicki jednak milczy, obdarzając matkę pełnym irytacji spojrzeniem.

- Nie takie rzeczy się zdarzały - odpowiada w końcu Johnny i wzrusza ramionami.

- No cóż, mam nadzieję, że się zobaczymy. - Sandy wręcza mu torbę. - Weź to ze sobą i przynajmniej wypij w drodze trochę kawy, dzięki temu nie zaśniesz.

- Dziękuję. Nie musiałaś tego robić.

- Koniecznie zadzwoń po powrocie - nalega matka Vicki.
- Inaczej będziemy się martwiły.

- Jasne. - Johnny znowu się uśmiecha. Vicki otwiera drzwi.

- Chodź, Johnny, odprowadzę cię do auta.

- Dobranoc, Johnny! - woła za nimi pani Sanders. - Szerokiej drogi i miłego Święta Dziękczynienia!

Johnny macha jej na pożegnanie, kiedy idą po schodkach, a potem po trawniku do podjazdu. Po chwili wsiada do samochodu, kładzie obok siebie torbę z jedzeniem i opuszcza okno, żeby pożegnać się z Vicki. Drżąc w bladym świetle księżycy, Vicki pochyla się i całuje go w policzek.

- Dziękuję. Wiesz, że nie musiałeś...

- Wiem, wiem - przerywa jej Johnny. - Nie musiałem cię wieźć taki kawał drogi aż tutaj. Nie przejmuj się tym, po prostu chciałem to zrobić, w porządku?

- W porządku. - Vicki milknie i spogląda w kierunku zatoki, gdzie promienie księżycy odbijają się w wodzie. - Wiesz, pewnie byłoby miło, gdyby sytuacja była inna i moglibyśmy spędzić jutrzejszy dzień razem, u jednej z naszych rodzin.

- Co poradzić - wzdycha Johnny. - Trzeba grać kartami, które dał nam los. I tak nagięliśmy sporo zasad.

- Ale według czyich zasad gramy?

- Pewnie boskich. To przed Nim odpowiemy, no nie? Więc chyba możesz wszystko na Niego zwalić - tyle że wiele to nie da.

Po tych słowach uruchamia silnik i włącza światła.

- Zadzwoń, jeśli będziesz potrzebowała transportu z dworca autobusowego w niedzielę.

- Już załatwiłam sobie dojazd, ale dzięki.

- No to chyba do zobaczenia.

- Na razie, Johnny.

Po chwili Vicki i jej matka stają w drzwiach wejściowych domu i patrzą, jak Johnny odjeżdża. Kiedy znika im z pola widzenia, pani Sanders odwraca się i idzie do kuchni.

- Bardzo miły człowiek - rzuca przez ramię. - Radzi sobie w domu, ma własny sklep. Może jest trochę nieokrzesany, ale to się da bez trudu naprawić. Mogłaś trafić o wiele gorzej.

- Nie zaczynaj, mamo - burczy Vicki.

Przez dłuższą chwilę ponuro wpatruje się w przestrzeń i dopiero potem zamyka drzwi i idzie za matką do kuchni, żeby przygotować warzywa.

ROZDZIAŁ trzydziesty drugi

Powiem wam, że ze wszystkich świąt w roku zawsze najwyżej ceniłem Święto Dziękczynienia. Boże Narodzenie i Wielkanoc, a także wszystkie inne, też są przyjemne, ale co zdoła przebić dzień w całości poświęcony radowaniu się z bożego dostatku i opychaniu bez opamiętania samymi smakołykami? Jakby tego było mało, przez resztę dnia można leżeć na kanapie w salonie i oglądać futbol amerykański, póki się nie zaśnie. To najbardziej odprężające święto w roku, przynajmniej dla mężczyzn. Jeśli chodzi o kobiety, to inna sprawa. W dziewięciu przypadkach na dziesięć obowiązki kucharskie spadają na ich barki, więc ten dzień nie jest dla nich tak relaksujący jak dla facetów. Ale przecież właśnie tak to było u Ojców Pielgrzymów, zgadza się? Tradycja to tradycja.

Jedną z ważnych świątecznych tradycji w domu Catinich zawsze były wrzaski Teresy i dziewcząt w kuchni, kiedy wspólnie usiłowały przygotować i podać dania, zanim ich bliscy się znudzą. Tegoroczne Dziękczynienie jest identyczne jak poprzednie, wszystkie cztery panie na przemian wietrzą płuca. Gdybyście stanęli przed wejściem do kuchni i przytknęli ucho do drzwi, nasunąłby się wam tylko jeden wniosek: te kobiety najwyraźniej rzuciły się sobie do gardeł. A tak naprawdę to jest zaledwie nieszkodliwa paplanina, bo żadna z nich nie zwraca szczególnej uwagi na to, co mówią pozostałe. Wrzaski to dla nich sposób na rozładowanie napięcia.

- Z drogi! - ryczy Teresa i przeciska się do zlewu, żeby odcedzić ziemniaki w parującym garze.

- Nie będę robiła piure! - krzyczy Maria.

- Niech ktoś tym się zajmie, nie cierpię gniecienia ziemniaków!

- W ogóle nie cierpisz pracować - prychna Nina.

- Czasami jesteś strasznie leniwa.

- Czy mogłybyście się zamknąć? - wtrąca się Gina. - Z wami trzema w kuchni nie można normalnie myśleć.

- Nami trzema? A ty to co?...

I tak w kółko. Wygląda to i brzmi tak, jakby w kuchni zapanował zupełny chaos, ale wszystko jest pod kontrolą i jedzenie zawsze trafia na stół zgodnie z planem. Do tego czasu emocje opadają, a kobietom przypomina się, co to uprzejmość, więc zgromadzeni mogą raczyć się indykiem bez obawy, że dostaną agita.

Mężczyźni i dzieci siedzą na swoich miejscach przy dwóch stołach, kiedy Teresa i Maria wnoszą pierwsze potrawy, czyli antipasti: dwa półmiski sałaty z bułeczkami ze słodką szynką prosciutto i plasterkami żółtego, wędzonego sera provolone. Środek każdego półmiska jest zwieńczony stosem marynowanych grzybków, oliwkami, pieczoną papryką, kielbaskami pepperoncini, sercami karczochów, anchois i wszelkimi innymi pysznościami, których nie sposób tutaj opisać. Antipasti są tylko sygnałem do startu. Kiedy wygłodniałe hordy pochłoną już przystawki, Teresa podaje zupę z eskarioli z klopsikami, którą zawsze uwielbiałem, a potem makaron w lekkim sosie marinara, żeby zostało jeszcze miejsce na nadziewanego indyka, i warzywa.

Teresa podnosi rękę, żeby zaprowadzić porządek, nim wszyscy zaczną pałaszować.

- Cisza, proszę - mówi głośno. - Isabella przystąpiła do zajęć przygotowujących do pierwszej komunii, więc chciałaby odmówić modlitwę przed jedzeniem.

Wszystkie oczy zwracają się ku małemu stolikowi w kącie, który Teresa ustawiła dla dzieci. Isabella nieśmiało podnosi wzrok, choć niewątpliwie podoba się jej, że uwaga dorosłych nagle skupiła się na niej.

- No, dalej, kochanie - zachęca ją Maria. - Zmów modlitwę tak, jak wczoraj wieczorem za mnie i za tatę.

Isabella z namaszczeniem składa dłonie i przygryza wargę.

- Podziękujmy Bogu za te cudowne potrawy, które będziemy spożywać - zaczyna cicho. - I podziękujmy za to, że są dziś z nami wszystkie nasze rodziny. Niech Bóg błogosławi mamusię i tatusia, i Rosie, i Mikeya, i ciocię Ninę, i wujka Ralpa, i kuzynów Tommy'ego i Joannę, i ciocię Ginę, i wujka Jimmy'ego, i wujka Johnny'ego, i cioteczno go dziadka Victora, i babcię Teresę. - Milknie i rozgląda się dookoła. - Kogoś opuściłam? Ach, tak, i przede wszystkim niech Bóg błogosławi dziadzia Nicka. Brakuje nam ciebie, dziadziu, i mamy nadzieję, że w niebie miło spędzasz Święto Dziękczynienia. W imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego...

- Amen - mówią wszyscy razem.

Zapada chwilowa cisza, przerwana okrzykiem Niny:

- Dobry Boże, Isabella, to było takie słodkie! Rzecz jasna, wszyscy przytakują i w jednej chwili przy stole znowu zapanowuje harmider. Nikt już na nikogo nie wrzeszczy, tak jak w kuchni, ale teraz mówią jednocześnie, wszyscy z wyjątkiem Johnny'ego, jak nietrudno się domyślić. Mój syn siedzi na końcu stołu i gapi się w przestrzeń, jakby nie docierał do niego ani jeden dźwięk.

- Halo, tu Ziemia. - Gina daje mu kuksańca łokciem w żebra. - Chcesz antipasti czy nie?

- Tak, pewnie - mówi Johnny, powracając do rzeczywistości.

- Co się z tobą dzieje, dobrze się czujesz? - chce wiedzieć jego siostra.

- Tak, dobrze. Trochę jestem zmęczony. Wczoraj późno wróciłem.

- A inne nowiny? - odzywa się Teresa z drugiego końca stołu. - Co drugą noc wraca do domu o trzeciej nad ranem.

- Zabalowałeś wczoraj z chłopakami? - pyta Gina, nakładając mu antipasti na talerz. Johnny nie odpowiada, tylko sięga po parę kromek chleba.

- Chcesz trochę grzybków?

- Czemu nie?

- A anchois?

Johnny kręci głową, nigdy nie przepadał za anchois. Potem nieruchomieje na sekundę, widząc figlarny błysk w oczach siostry. To spojrzenie zwykle oznacza, że Gina zamierza podzielić się z nim jakimś niesamowitym sekretem.

- Co tam kombinujesz? - pyta ją Johnny. - Co jest grane?

Gina tylko się uśmiecha.

- Proszę - mówi i stawia przed nim talerz. - Bierz się do jedzenia i nie gryź się przez cały wieczór.

- Mhm - mamrocze Johnny i przypatruje się jej podejrzliwie.

Jakiś czas później, kiedy antipasti zostały sprzątnięte ze stołu, a Teresa nałożyła wszystkim zupę z eskarioli z klopsikami, Gina porozumiewawczo kiwa głową Jimmy'emu, swojemu mężowi. Na ten znak Jimmy wstaje od stołu i opuszcza pokój, a po chwili wraca z dwiema butelkami szampana w dłoniach, otwiera pierwszą i mówi:

- Gina i ja doszliśmy do wniosku, że przed daniem głównym miło będzie wypić po lampce szampana, ponieważ chcemy coś ogłosić.

- To będzie bardzo drobne ogłoszenie - dodaje Gina z uśmiechem.

Wszyscy, łącznie ze mną, zamieniają się w słuch, kiedy Jimmy wędruje wokół i napełnia kieliszki. Gdy w końcu staje za Giną, kładzie jej dłoń na ramieniu, a drugą unosi kieliszek. Dla wzmocnienia efektu robi krótką przerwę.

- Więc jak, powiecie nam, czy nie? - niecierpliwi się Johnny.

- No, dalej! - przyłączają się inni. - Mówcie już!

Jimmy unosi rękę, aby ich uciszyć.

- Zapewne wszyscy chcielibyście wiedzieć, że po starannym rozważeniu sprawy i odpowiednim jej zaplanowaniu, jak również po wielu, wielu tygodniach prób, Gina i ja postanowiliśmy przyłożyć się do rozszerzenia puli genów naszych dwóch rodzin.

- O czym on gada? - Johnny patrzy pytająco na Ginę, którą uśmiecha się szeroko.

- Jimmy mówi, że jestem w ciąży, Johnny.

Zapada krótkie milczenie, po którym rozlega się zbiorowy wrzask radości. Jak sobie wyobrażacie, poziom hałasu w jadalni gwałtownie wzrasta. Wszyscy są szczęśliwi, nawet ja mam ochotę stepować.

Teresa zrywa się z krzesła i pędzi do Giny.

- To cudownie! - przekrzykuje zgiełk. - Tak się cieszę. - Mocno ściska Ginę i szczypie Jimmy'ego w policzek. - Najwyższy czas! - dodaje głośno.

- Fakt - zgadza się Maria. - Dlaczego to tyle trwało?

- Nie myślcie sobie, że się nie staraliśmy - śmieje się Gina.

- Hej, co to za wrzaski przy waszym stole? - krzyczy mały Tommy z kącika dla dzieci.

- Ciocia Gina będzie miała dziecko - informuje je Nina.

Dzieciaki patrzą po sobie.

- W tej chwili? - Wszystkie wstrzymują oddech. - Nie, nie w tej chwili, głuptasy - zaprzecza

rozbawiona Nina. - Za kilka miesięcy.

- Ale kiedy?

- Właśnie - wtrąca się Teresa. - Jaki jest przewidywany termin porodu?

- Dwudziesty kwietnia - wyjaśnia Gina.
- Więc jesteś już w czwartym miesiącu! - oblicza Teresa.
- Kiedy zamierzaliście nam powiedzieć?
 - Uznaliśmy, że to będzie miła niespodzianka dla wszystkich na Święto Dziękczynienia.
 - Połowa kwietnia, czyli wiosna - odzywa się wuj Victor, który nagle postanawia wtrącić swoje trzy grosze. - To dobra pora na narodziny dziecka.
 - Popatrzcie na nią! - woła Teresa. - Czwarty miesiąc ciąży, a ona ani trochę nie przybrała na wadze. Pamiętaj, że rośnie w tobie dziecko. Zjedz coś!
 - Dobrze, dobrze - zgadza się Gina ze śmiechem. - Wszyscy coś zjedzmy!

Kiedy w końcu zapanowuje względny spokój i goście kończą zupę, Johnny trąca Ginę łokciem.

- Dobra robota - mówi cicho i mruga do niej.
- Dzięki.
- Hej, Johnny! - woła wuj Victor. - Wszyscy w okolicy mają dzieci. Kiedy ty się ożenisz i sprawisz sobie własne?
 - Ech, nie zaczynaj, wujku.
 - Uszy do góry - pociesza go Gina i daje bratu kuksańca. - Któregoś dnia na ciebie też przyjdzie pora.
 - Hm. Lepiej nie czekaj z zapartym tchem. Robi dobrą minę do złej gry, lecz w jego głosie pobrzmiewa niepewność, ledwie słyszalna, może tylko dla mnie, ale jednak. Reszta towarzystwa zamierza jeszcze poznać się nad Johnnym, jednak Teresa wnosi makaron i rozpoczyna się następna runda uczy.

Kiedy wszyscy są już pewni, że od pęknięcia z przejedzenia dzieli ich tylko jeden kęs, sztucce lądują na pustych talerzach. Mężczyźni chwiejnym krokiem wędrują do salonu, żeby przetrwać posiłek przed ekranem telewizora, w którym właśnie transmitują mecz futbolu amerykańskiego, a

kobiety sprzątają ze stołu, aby podać kawę i desery. Teresa jak zwykle przyszykowała obowiązkowy wybór ciast: dyniowe, jabłkowe, bakaliowe i z sosem kokosowym. Do tego dochodzi ciasto marchewkowe upieczone przez Marię, ciasteczka kupione przez Ninę w piekarni oraz ptysie posypane cukrem, które Gina upiekła pierwszy raz w życiu.

Rzecz jasna, musi minąć trochę czasu, zanim panowie (i panie również, jak nietrudno się domyślić) będą mogli choćby spojrzeć na desery. Póki co mają ochotę zapaść się w wygodnym fotelu i zdrzemnąć przed telewizorem. Johnny ostatni wchodzi do salonu, więc najlepsze miejsca są już zajęte. W tej chwili w telewizji nadają reklamę piwa, w której żaby rozmawiają z jaszczurkami. Nie bez powodu nigdy nie byłem geniuszem reklamy, ale czy gadające gady i płazy naprawdę mogą poprawić sprzedaż piwa? Zresztą, co ja tam wiem.

Tak czy owak, Johnny siada na dywanie obok kanapy i wyciąga nogi.

- Kto dziś gra? - pyta w przerwie meczu.

- Detroit - odpowiada jego szwagier David. - Niby kto?

- Dobry mecz?

- Indianapolis daje im po tyłkach - ziewa Victor. Sam wygląda tak, jakby dostał po tyłku i jakby za jakieś dwie minuty miał wylądować na deskach. Na razie popuszcza pasa i poprawia się w fotelu.

Niedługo potem do pokoju wmaszerowują Isabella, Michael, Tommy i Joanna. Zwykle na zmianę wdrapują się na wujka Johnny'ego, lecz dzisiaj ledwo się ruszają, więc zamiast znęcać się nad wujem, włączają na kolana ojcom. Rosalina, córeczka Marii, zjawia się ostatnia.

- Hej - krzyczy, widząc, że kolana jej ojca są zajęte. - A ja?

Nadašana, ciężko opada na podłogę obok Johnny'ego.

- Chodź, Rosie - proponuje Johnny i sadza ją sobie na kolanach. - Możesz posiedzieć ze mną.

Reklamy się kończą i wszyscy skupiają uwagę na ekranie, tylko Johnny rozgląda się po twarzach bliskich. Victor odpadł już dawno temu, drzemie z odchyloną głową i szeroko otwartymi ustami. Isabella i Michael tulą się do Davida, który z najwyższym trudem stara się nie zasnąć. Tommy zwisa z kolan Ralpha i usiłuje rozwiązać ojcu but, a Joanna bawi się jego uchem i włosami z boku głowy. Ralph robi, co może, aby nie zwracać uwagi na dzieci, gawędząc z Jimmym o tym, jak Nina miała pierwsze dziecko i jak to jest być ojcem. Gdyby ktoś chciał znać moje zdanie, to Johnny wydaje się trochę przybity, bo tylko siedzi i słucha, jak wszyscy się śmieją i rozmawiają. Kto wie, może po raz pierwszy dociera do niego, że jest w życiu kilka rzeczy, które przechodzą mu koło nosa. Zanim jednak zdąży gruntownie rozważyć tę głęboką myśl, Rosalina spogląda na niego wielkimi brązowymi oczami i szarpie go za kołnierzyk.

- Wujku Johnny, wujku Johnny. Muszę cię o coś spytać.

- O co, kwiatuszku?

- Bo jak wsadzam palec do pępka, a potem go wążam, to śmierdzi - mówi dziecko z powagą.

- Czemu?

Johnny wybucha śmiechem, a pozostali wtórują mu głośno.

- Wiesz co, Rosie - mówi, tuląc siostrzenicę.

- Babcia Teresa zawsze powtarza, że znam odpowiedzi na wszystkie pytania, ale ty zapędziłaś mnie w kozi róg.

- Ale ja chcę wiedzieć!

- Hm - odchrząkuje jej wujek i zamyśla się, pocierając brodę. - Nie wiem na pewno, ale może być tak, że Bóg postanowił cię stworzyć i powiedział sobie: „Powstanie teraz śliczna dziewczynka, kubek w kubek jak aniołek, i dam jej na

imię Rosalina, bo jest ładna jak róża. Ale nie mogę sprawić, żeby była zupełnie idealna, bo wtedy nie wydawałaby się prawdziwa, więc umieszczę w jej pępku odrobinę smrodku, którego nikt nie wyczuje oprócz niej samej". Teraz rozumiesz?

Wyjaśnienie najwyraźniej zadowoliło moją wnuczkę, bo momentalnie zeskakuje z kolan Johnny'ego, daje mu buziaka w policzek i pędzi do kuchni.

- Mamusiu! - krzyczy zachwycona. - Wujek Johnny mówi, że mój pępek śmierdzi, bo Bóg tak chciał!

- Widzisz, Johnny? - śmieje się Ralph. - Masz podejście do dzieci. Byłby z ciebie świetny ojciec.

- Ech, kto wie, może któregoś dnia, Ralphie - wzdycha Johnny i opiera się o kanapę. - Może któregoś dnia.

Potem zamyka oczy i wsłuchuje się w głos komentatora meczu, aż do chwili, gdy Teresa woła wszystkich na deser.

ROZDZIAŁ trzydziesty trzeci

Grudzień bywa dziwnym miesiącem w Nowej Anglii. To najmroczniejszy czas w roku, ale nigdy nie można mieć pewności, jakiej pogody należy oczekiwać. Zdarzają się lata, w których jest zimny od samego początku. Wiatr znad Kanady pędzi jak lokomotywa i ryczy ogłuszająco, więc od razu wiadomo, że zanoszą się na długą, ostrą zimę z mnóstwem śniegu. Kiedy indziej z południa łagodnie dmucha lekki wietrzyk i zdarzają się dni, że temperatura sięga dwudziestu stopni Celsjusza, a powietrze jest wręcz balsamiczne. Można zapomnieć o białej Gwiazdce i o planowanym wyjeździe na narty, lepiej od razu zacząć myśleć o poświętej wycieczce na Florydę albo na jedną z wysp.

Ten rok jest jednym z zimniejszych. Tydzień po Święcie Dziękczynienia rtęć z najwyższym trudem wspina się do wysokości minus siedmiu stopni w najcieplejszej porze dnia. Niebo jest krystalicznie czyste, więc nie zanoszą się na śnieg, lecz wiatr wyje przez cały boży dzień, a mroźne powietrze podgryza człowieka jak wściekły pies, kiedy tylko wystawi się nos na zewnątrz. Może to zabrzmieć dziwnie, ale w głębi serca miejscowi wolą taką pogodę. Ciepły grudzień wydaje się sprzeczny z prawami natury.

Jeśli chodzi o interesy, ten tydzień nie mógłby się zacząć lepiej dla Johnny'ego. W naszych okolicach ludzie tracą rozum na samą wzmiankę o zimowej pogodzie, więc już w środę rozeszło się praktycznie wszystko, co ma jakiś związek z chłodem i śniegiem. Kompletnie szaleństwo. Sól kamienna? Sprzedana, na półkach zostały raptem dwie małe torebki. Samochodowe szczotki do śniegu i skrobaczki do szyb? Ani śladu po nich, znikły w pierwszej kolejności. Łopaty do śniegu? To jakiś żart? Wczoraj sprzedała się ostatnia. Nawet dwa pługi śnieżne, które Johnny postanowił dołączyć do oferty w tym sezonie, znalazły już nabywców, choć jak dotąd

na chodnik spadło zaledwie kilka płatków śniegu. Kasa nawet na moment nie przestaje popiskiwać i dzwonić. Gdyby ktoś pytał mnie o zdanie, mamy teraz najcudowniejsze dni w roku. W połowie tygodnia Johnny gorączkowo zamawia towar, żeby zdążyć odebrać go przed weekendem. Gotówki wpłynęło tyle, że powinien od rana do wieczora pogwizdywać koledy. On jednak przez okrągły tydzień snuje się z kąta w kąt, mechanicznie odbębnia, co trzeba, niby liczy wpływającą gotówkę, lecz nie czerpie z tego żadnej radości. Nawet w ostatnim tygodniu, kiedy siostry i dzieci pomagały mu ozdobić sklep gwiazdkowymi dekoracjami, Johnny był radosny jak Scrooge z Opowieści wigilijnej. Nie umiał wczuć się w świąteczny nastrój i nadal sobie z tym nie radzi. Chłopak musi się uporać z problemami, które go męczą, dopiero wtedy poczuje się lepiej. Gdy tego mrocznego popołudnia nadchodzi pora zamknięcia sklepu, Johnny już wie, co ma zrobić.

Kiedy staje pod drzwiami, Vicki nie wygląda na zaskoczoną jego widokiem. Nie ma jednak na sobie płaszcza ani czapki, a zatem nie jest gotowa zabrać go na koncert fortepianowy, wieczorek poetycki, ani na żadną inną intelektualnie stymulującą imprezę. Zwyczajnie otwiera drzwi i wpuszcza go do środka.

Johnny nie mówi ani słowa, od razu kieruje się do salonu i ciężko siada na kanapie. Vicki znika w kuchni, a on wyciąga nogi i usiłuje się odprężyć. Rozgląda się i pierwszy raz zauważa, jak mocno przygaszone są światła. Z kąta, gdzie stoi odtwarzacz, sączą się ponure dźwięki Requiem Mozarta. Innymi słowy, w tej chwili nikt nie nazwałby tego miejsca szczęśliwym. Johnny bierze głęboki oddech, żeby się uspokoić, i wyczuwa aromat zaparzonej kawy. Po chwili zjawia się Vicki z dwoma gorącymi kubkami w dłoniach. Jeden stawia na stole przed Johnnym, a z drugim siada w

fotelu naprzeciwko niego. Następnie wypija łyk i przez pewien czas tylko wpatruje się w gościa.

- Musimy porozmawiać - odzywa się w końcu.

- Wiem - odpowiada Johnny. Sięga po kubek, żeby się napić, i zdaje sobie sprawę, że mimowolnie zaczyna skubać kącik ust, więc przykłada dłoń do twarzy, aby się powstrzymać.

- Za późno - mówi Vicki. Odstawia swój kubek na stół i przez chwilę wpatruje się w swoje dłonie. - Może zacniemy od ciebie, co? Powiedz, co cię gnębi.

- Nie. - Johnny porusza się niespokojnie. - Najpierw panie, przecież taka jest kolejność, prawda?

- Niech będzie.

- Więc sama powiedz, co cię gnębi. Patrzy mu prosto w oczy.

- Johnny, jestem w ciąży - oświadcza bez ogródek.

Johnny nie odpowiada, ale szczeka opada mu tak nisko, że niemal uderza o podłogę, a kilka kropel kawy wychlapuje mu się na spodnie. Nie porusza się, pomimo bólu, jest jak sparaliżowany.

- Nie, nie jestem - uspokaja go Vicki i uśmiecha się ze smutkiem. - To był tylko kiepski żart. Miałam ochotę się przekonać, co powiesz.

Policzki Johnny'ego stopniowo odzyskują normalną barwę.

- Jak to się dzieje, że ostatnio wszystkie kobiety mi mówią, że są w ciąży? - mówi, gdy w końcu udaje mu się odetchnąć. - Co to ma być, jakaś zmowa?

- Wybacz - przeprasza go Vicki. - To chyba przerażająca wizja, prawda?

- Fakt, można tak to ująć.

- Nie powinnam była tak żartować. Przepraszam.

- Mniejsza z tym. - W jego głosie słycać irytację. - Jest coś, o czym naprawdę chciałaś porozmawiać?

- To może poczekać. Lepiej powiedz mi, co cię trapi.

Johnny odwraca wzrok i przez dłuższy czas na nią nie patrzy. Taka reakcja była do przewidzenia. Znam swojego syna nie od dziś, więc wiem, że zawsze miał problemy z wyjawieniem, co mu leży na wątrobie, zwłaszcza w rozmowie z kobietą.

- Nie wiem, jak to powiedzieć - zaczyna powoli. - Ale... ale...

- Tak?

Johnny bierze głęboki oddech.

- Nie możemy tego dłużej ciągnąć - wyrzuca z siebie. - Musimy przestać się widywać.

Odchyła się, przekonany, że zaraz rozpęta się piekło, ale Vicki tylko ciężko wzdycha.

- Czy właśnie tego chcesz? - pyta cicho. Johnny z rozpaczą unosi ręce.

- Nie mówię, że tego chcę. Po prostu nie mam pojęcia, co innego zrobić. - Opada na poduszki i ukrywa twarz w dłoniach. - Może dobrze by było, tak na pewien czas, dać sobie spokój. Rozumiesz, żeby ochłonać.

- Dlaczego akurat teraz?

- Nie wiem. Odkąd siostra powiedziała mi, że spodziewa się dziecka...

- Twoja siostra jest w ciąży? - przerywa mu Vicki. - To miło.

- Tak - ciągnie Johnny. - W każdym razie nie wiem, co się stało, ale kiedy mi powiedziała, poczułem się tak, jakby coś mi przeskoczyło w głowie. Nagle zacząłem myśleć, że lata lecą, więc może już czas się zastanowić, dokąd zmierzam w życiu.

- Dokąd i z kim.

- Może, sam nie wiem. - Johnny kręci głową. - Nie mówię, że jestem gotowy się żenić, wychowywać dzieci, płacić czynsz i tak dalej.

- Tak - kiwa głową Vicki. - Domyśliłam się tego, gdy zrobiłeś przerażoną minę na wieść o dziecku.

- Właśnie. Ale może już trzeba zacząć przynajmniej myśleć o tych sprawach. I jeszcze coś...

- Tak?

- Nie wiem, jak mi się uda załatwić tę sprawę z mamą i z tobą. Po prostu nie widzę szansy rozwiązania problemu. Jest zbyt dziwaczny, jak na mój gust, i wymknął się spod kontroli. Pewnie sama o tym myślałaś.

- To prawda - przyznaje Vicki. - Myślałam o tym bardzo długo i wydaje mi się, że masz rację.

- Poważnie? - Johnny sam nie wie, czy jest zaskoczony, czy mu ulżyło, czy też może jedno i drugie.

Vicki wstaje i podchodzi do kominka, na którym stoi kilka fotografii rodzinnych. Na jednej z nich widnieje jej ojciec i ona sama, kiedy była niemowlęciem. Vicki podnosi zdjęcie, wpatruje się w nie przez chwilę i ostrożnie odstawia je na miejsce.

- W głębi duszy zawsze wiedziałam, że to, co robiłam z twoim ojcem, było złe. Dręczyło mnie poczucie winy, ale jednocześnie wierzyłam, że tylko my wiemy o naszym związku, więc w pewnym sensie wszystko jest w porządku. Rozumiesz, w czym rzecz? Ale kiedy powiedziałeś mi, że twoja mama wiedziała i że kiedyś zobaczyła nas razem, pierwszy raz dotarło do mnie, jak bardzo się myliłam. Teraz dręczy mnie nieustający ból i chyba zasłużyłam na to, żeby cierpieć, bo ona z pewnością tak samo cierpiała przeze mnie.

- Vicki, to stare dzieje - mówi Johnny. - Nie zadrezczaj się tym. Takie rzeczy po prostu się zdarzają, ale teraz już należą

do przeszłości i nie da się nic z nimi zrobić, więc najlepiej zapomnij o wszystkim.

- Ale przecież przeszłość zawsze powraca, żeby nas prześladować, prawda? Ty też to widzisz, zgadza się?

- Nie. - Johnny kręci głową. - Nie widzę.

- Więc przyjrzyj się nam dwojgu. Gdyby sytuacja była inna, gdybyśmy poznali się w innych okolicznościach, pewnie moglibyśmy...

- Moglibyśmy co? - Johnny przysuwa się bliżej.

Vicki wzrusza ramionami.

- Coś stworzyć. Może coś wyjątkowego. Nigdy jednak nie będziemy mieli okazji się dowiedzieć, bo zrobiłam coś, czego nie należało robić. To jest tak, jakby Bóg zesłał na nas karę za to, że zgrzeszyłam z twoim ojcem.

- E, nie znam się na tym, sama będziesz musiała dogadać się z Bogiem. Ale masz rację, oboje mamy rację. Poza tym, jestem całkiem nieodpowiedni dla ciebie.

Vicki nie odrywa od niego wzroku.

- Dobry Boże - szepcze. - Jakbym słyszała twojego ojca. On zawsze mówił takie rzeczy.

- Ale to prawda. Jestem ci wdzięczny, że pokazałaś mi tyle rzeczy i tak wiele próbowałaś mnie nauczyć, ale pytanie brzmi, jak bardzo możesz mnie zmienić?

- Nie rozumiałaś moich intencji, Johnny - protestuje Vicki. - Wcale nie chcę cię zmieniać. Staralam się jedynie pokazać ci to i owo, żebyś poznał świat poza sklepem i rodziną. Życie nie sprowadza się tylko do tego, co wcześniej widywałeś. Nie potrzebujesz mnie, żeby się zmienić, możesz być taki, jaki zechcesz - kiedy zechcesz.

- Póki co jestem patałachem, nazywam się Johnny Catini i handluję żelastwem i narzędziami. To właśnie ja i nie mam pojęcia, jak to zmienić, zwłaszcza że rodzina patrzy mi na

ręce. Wszystko w moim życiu jest związane z bliskimi i ze sklepem.

Nie daj Boże, abym sprzedał interes albo poszedł z torbami, bo wtedy nazwisko Catini znikłoby z budynku i wszyscy rzuciliby mi się do gardła.

- W takim razie nie zdejmuj nazwiska z budynku.

- Hm?

- Kto mówi, że to musi być „Sklep żelazny Catiniego”? Odkąd się poznaliśmy, powtarzasz mi, że nie cierpisz tego, co robisz. Wobec tego powinieneś zmienić szyld na „Restauracja Catiniego” albo „Sklep z upominkami Catiniego”, albo „Księgarnia Catiniego”, albo na jakikolwiek inny. Przyjmij to, co ci ofiarowała rodzina, ale zrób z tego coś całkowicie własnego, z czego bliscy będą dumni. Moim zdaniem, właśnie tego pragną. Otrzymałeś niezwykle podarunek, Johnny, a ja chciałabym, żebyś w pełni go wykorzystał.

Johnny siedzi w milczeniu. Nagle jego twarz się rozjaśnia. Właśnie tak to bywa w życiu - czujecie, że błądzicie po omacku, aż tu nagle jakaś osoba zapala zapałkę i pokazuje wam, jak prostą drogę możecie obrać. Wydaje się wam, że tkwicie w ślepych zaułku, a w następnej chwili dostrzegacie mnóstwo fantastycznych możliwości.

- Ale co z nami? - Johnny ponownie się chmurzy.

- Potrzebuję czegoś więcej. Zresztą ty również, nawet jeśli uważasz, że jeszcze nie jesteś na to gotowy. Oboje powinniśmy ruszyć naprzód z życiem.

Ciągnięcie tego samego bez nadziei na zmianę jest nie w porządku, i wobec ciebie, i wobec mnie.

- Więc co teraz zrobimy?

Vicki znowu opuszcza wzrok na dłonie.

- Chyba powinniśmy się pożegnać.

Johnny wstaje i idzie do drzwi, lecz po drodze zatrzymuje się i rozgląda, przekonany, że jest w tym mieszkaniu ostatni

raz. Muzyka już umilkła, wokół panuje cisza, zakłócana wyłącznie mruczeniem lodówki w kuchni. Vicki podchodzi i opiera się o ścianę, kiedy Johnny wkłada płaszcz.

- Wiesz, dałabym wszystko, aby zacząć od początku i tym razem postępować jak należy - wzdycha z żalem. - Żałuję, że nie mam czystego konta.

- Czasami też tak myślę - wyznaje Johnny. - Pewnie jak każdy. - Otwiera drzwi i spogląda w mrok. - Ale potem dociera do mnie, że nawet wtedy znalazłbym nowy sposób na zepsucie wszystkiego, więc nie przejmuję się zbytnio.

- Żegnaj, Johnny - mówi Vicki ze łzami w oczach.

- Żegnaj, Vicki.

Mój syn idzie swoją drogą, dokądkolwiek go ona zaprowadzi. Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że na dobry początek zajrzy do baru. Vicki, rzecz jasna, ma inne plany...

Tego samego wieczoru, kiedy wchodzi do kościoła, wszystkie ławy są puste, jeśli nie liczyć pierwszego rzędu, w którym jakaś starsza pani odmawia różaniec. Vicki zajmuje miejsce blisko konfesjonału, klęka i zaczyna się modlić. Wkrótce małe światełko nad konfesjonałem gaśnie i zza zasłony wyłania się kobieta, która narzuca szal na głowę i wychodzi z kościoła.

Vicki bierze głęboki oddech, żegna się i wstaje. Na moment zatrzymuje się przed konfesjonałem, po czym rozchyła zasłony i wchodzi do środka. Klęka w ciemnej kabinie i czeka na swoją kolej, zasluchana we własny oddech oraz ciche głosy księdza oraz spowiadającej się po przeciwnej stronie osoby. Okienko przy twarzy kapłana nagle się otwiera, a zaskoczona Vicki nie wie, co powiedzieć.

- Jestem tutaj - odzywa się ksiądz łagodnym tonem.

- Pobłogosław mi, ojczy, bo zgrzeszyłam.

- Ile czasu minęło od twojej ostatniej spowiedzi, dziecko?

- Całe życie, ojciec - odpowiada przygnębiona. - Całe życie.

- W takim razie przychodzisz do Boga pod koniec jednego życia, żeby rozpocząć drugie, całkiem nowe. Witaj z powrotem na świecie. A teraz powiedz mi, co cię gnębi...

ROZDZIAŁ trzydziesty czwarty

Spójrzmy prawdzie w oczy - wszystko to, co przeciętny mężczyzna wie o kobietach, można bez trudu spisać na karteczce wielkości małego paznokcia. Wiercie mi, nie jest tego dużo. Dlatego nie zamierzam udawać przed wami, że rozumiem, jak funkcjonuje kobiecy umysł, bo wiem tyle samo, co każdy inny facet. Nauczyłem się jednak tego, co mogło być pomocne, gdybym wykorzystał to za życia. Jeśli kiedyś traficie do zakładu fryzjerskiego, nawet na chwilę, to istnieje spora szansa, że poczynicie kilka obserwacji dotyczących tego, jak funkcjonuje kobiecy umysł.

Nie uwierzcie, o czym paplają kobiety, kiedy ktoś zajmuje się ich włosami. Sam nie miałem o tym pojęcia. Rzecz jasna, to nie mój interes, ale czasami nie udaje mi się powstrzymać ciekawości, więc wpadam tam i nadstawiam uszu. Lubię pośmiać się raz na jakiś czas, dla urozmaicenia monotonii, kiedy mam na głowie inne sprawy, sami rozumiecie.

U fryzjera zwykle panuje chaos, ale prawdziwe pandemonium rozpętuje się wtedy, gdy kobiety biorą się do obgadywania mężczyzn. Na przykład dzisiaj. Jest typowy sobotni ranek i wszystko zaczyna się od tego, że jakaś kobieta mówi:

- Mój mąż myśli, że jest niesamowitym twardzielem, ale wystarczy lekki ból brzucha i natychmiast kładzie się na kanapie, leży przez cały dzień i palcem nie ruszy.

- Wszyscy są tacy sami, kochana - śmieje się inna. - Mężczyźni zachowują się jak niemowlęta, kiedy coś im dolega. Szkoda, że nie dostają okresu, wiedzieliby, co to są prawdziwe skurcze.

- Okres to za mało - wtrąca się trzecia. - Niech jeden z drugim urodzi dziecko.

- Ale byłby numer! - Wszystkie trzy wołają jednym głosem. - Wyobrażacie to sobie?

Innymi słowy, wyścigi się rozpoczęły. Najbardziej na świecie ekscytuje je rozmowa o tym, jak różni mężczyźni zachowywaliby się, wiedząc, co to znaczy urodzić dziecko i czym jest autentyczny ból. Dodam od siebie, że ktoś, kto nie dostał solidnego, celnego kopniaka w rodowe klejnoty, nie będzie mi mówił o prawdziwym bólu.

Dość już o tym.

Tak czy owak, zakład przypomina teraz dom wariatów, wszystkie kobiety chcą wiedzieć, dlaczego mężczyźni to takie dzieci. Każda z nich ma własną opinię, każda z wyjątkiem dwóch pań, które siedzą z głowami w suszarkach. Jedna z tych kobiet to moja Teresa. Trwa przedświąteczny tydzień, więc przed Gwiazdką postanowiła doprowadzić włosy do porządku. Druga, młoda i bardzo atrakcyjna, tkwi pod małą, plastikową kopułką, a na głowie trzyma plastikową torbę. Nawiasem mówiąc, ciągle nie mam pojęcia, do czego służy ta torba, ale dam wam znać, jak tylko się dowiem. Ładna kobieta nie zwraca praktycznie żadnej uwagi na otoczenie i spokojnie siedzi z nosem utkwionym w podniszczonej książce zatytułowanej Barchesler Towers.

Teresa bez zainteresowania wertuje stary numer „New Yorkera”, od czasu do czasu podnosząc wzrok i z uśmiechem zerkając na jazgoczące sąsiadki. Dyskretnie spogląda również na młodszą kobietę, która siedzi naprzeciwko niej. Wiem, że obie wielokrotnie widywały się w tym salonie, ale właściwie nigdy ze sobą nie rozmawiały.

Już po minucie nietrudno się domyślić, że młodszą kobietą jest inna niż pozostałe. Wydaje się miła, ale rzadko otwiera usta, a jeśli już coś powie, to nie zdradza nic konkretnego na swój temat. Na podstawie własnych obserwacji mogę zareczyć, że to w zupełności wystarczy, aby kobieta

wyobcowwała się z otoczenia. Chodzi mi o to, że panie opowiadają fryzjerkom historie, których nigdy nie wyznałyby w konfesjonale, a z tą młodą jest inaczej: lubi siedzieć cicho.

Teresa pierwsza powiedziała by wam, że na ogół lepiej jest nie wyjawiać ludziom zbyt dużo o sobie i o tym, co się posiada, bo ktoś mógłby się niepotrzebnie tym zainteresować. Mimo to widzę, że ją korci, aby wydobyć z dziewczyny cokolwiek, byle co. Teresa nic na to nie poradzi, to pragnienie jest elementem jej kobiecej psychiki.

Młoda kobieta nagle podnosi wzrok i zauważa, że Teresa wpatruje się w nią z uwagą.

- Książka, którą pani czyta, jest z pewnością interesująca - odzywa się Teresa uprzejmie.

Dziewczyna zamyka książkę i wychyla się spod suszarki.

- Przepraszam, nie usłyszałam, co pani mówi. To urządzenie robi strasznie dużo hałasu. Czy mogłaby pani powtórzyć?

- Powiedziałam, że pani książka musi być interesująca. Skupiła pani na niej całą uwagę, choć te wszystkie chiacchieressy robią mnóstwo hałasu.

- Te wszystkie... ?

- Chiacchieressy.

Dziewczyna robi dziwną minę, jakby nie rozumiała.

- Te wszystkie puple - tłumaczy Teresa i ruchem głowy wskazuje pozostałe kobiety. - Lubią dużo gadać.

- Och - mówi młoda kobieta, a na jej twarzy pojawia się uśmiech. - Nie słyszałam dotąd tego słowa. Jak się je wymawia? Kakiereza?

- Nie. Inaczej. Kija - kie - re - ssa.

- Chiacchieressa - poprawia się młoda kobieta, tym razem wymawiając słowo niemal idealnie.

- No i proszę.

- To słowo oznacza kogoś, kto bardzo dużo gada?

- Tak jest.

Młoda kobieta znowu się uśmiecha.

- Ciekawe, człowiek codziennie uczy się czegoś nowego.

- Właśnie po to jest każdy nowy dzień - odpowiada Teresa, niewątpliwie zadowolona, że udało się jej skłonić dziewczynę do wypowiedzenia choć kilku słów. - Wygląda na to, że całkiem zmienia pani fryzurę - kontynuuje, zanim młodsza kobieta zdąży powrócić do lektury. - Wybiera się pani dzisiaj wieczorem w jakieś szczególne miejsce?

- W pewnym sensie. - Dziewczyna wydaje się niespokojna. Opuszcza wzrok na książkę i przez chwilę wygląda na to, że ponownie zamknie się w sobie. Ku zaskoczeniu Teresy, odkłada jednak powieść i podnosi głowę.

- Prawdę mówiąc, dzisiaj wieczorem nigdzie się nie wybieram, a już na pewno w żadne szczególne miejsce. Po prostu uznałam, że potrzebna mi zmiana. Chcę wyglądać inaczej, chyba z okazji Nowego Roku.

- Właśnie zerwała pani z chłopakiem, co? Młoda kobieta wpatruje się w nią przez moment. - Jak się pani tego domyśliła? - pyta z niedowierzaniem.

- Kochana. W moim wieku będzie pani świetnie wiedziała, jak odczytywać znaki.

- Dobry Boże, pewnie tak. Nie sądziłam, że tak to widać.

Atmosfera w zakładzie fryzjerskim sprawia, że każdy robi się ciekawski. Teresa nie jest wyjątkiem, więc żadną miarą nie może się pohamować. Jak się należało spodziewać, chce teraz sprawdzić, ile jeszcze zdoła wyciągnąć z rozmówczyni.

- Co się stało? - pyta wprost. - Sprawy nie układają się po pani myśli?

- Prawdę mówiąc, minęło już parę tygodni - wyznaje młoda kobieta. - To jedna z historii, jakich wiele. Chyba po prostu tak musiało być, i tyle. Nie kłóciliśmy się, ani nic podobnego, wręcz przeciwnie. Ale widzi pani, nie

moglibyśmy się bardziej różnić. Może teraz to nieistotne, ale w końcu nabrałoby znaczenia.

- I uznaliście, że lepiej się rozstać teraz, bo potem będzie zbyt trudno - domyśla się Teresa. - To tylko moja opinia, ale z pani tonu wnioskuję, że być może wcale nie chcieliście podejmować tej pochopnej decyzji.

Młoda kobieta sama nie wydaje się przekonana o słuszności swoich słów i milczy, wpatrzona w przestrzeń.

- W grę wchodziły także inne okoliczności - dodaje z wahaniem.

- Jakie inne okoliczności?

- Powiedzmy, że są problemy, których nigdy nie będziemy w stanie rozwiązać, i co do tego oboje się zgadzamy.

- Dwoje kochających się ludzi poradzi sobie z wszelkimi przeciwnościami - zapewnia ją Teresa.

- Życie chyba nigdy nie jest takie proste.

- Jest, jeśli na to pozwolimy. - Teresa wychyla się spod suszarki i przysuwa do rozmówczynie. - Kocha go pani?

Młodsza kobieta nie odpowiada, tylko wzrusza ramionami i wzdycha.

- A on? - naciska Teresa. - Czy on panią kocha?

Oczy dziewczyny zachodzą łzami. Znowu nie odpowiada, tylko przygryza wargę.

- Myślę, że wam obojgu przydałoby się porządnie zmyć głowy - decyduje Teresa z przekonaniem.

Dziewczyna uśmiecha się przez łzy.

- Może i rzeczywiście - przyznaje, pociągając nosem.

Teresa ponownie sadzi się pod suszarką i otwiera czasopismo.

- A teraz niech pani wraca do swojej książki - komenderuje. - Wydobyłam z pani wystarczająco dużo

sekretów jak na jeden dzień. Przy następnej okazji pozwolę pani mnie pociągnąć za język.

- Umowa stoi.

- Tak na marginesie, jak pani myśli, dlaczego mężczyźni niekiedy zachowują się jak dzieci? - pyta Teresa.

Dziewczyna myśli przez sekundę, a potem jej twarz rozjaśnia naprawdę piękny uśmiech.

- Moim zdaniem dlatego, że czasami lubią, kiedy ktoś się o nich troszczy.

- Ha! - śmieje się Teresa, - To akurat lubią przez cały czas. - Przysuwa się i mruga. - Pytanie brzmi, czy chciałybyśmy, żeby byli inni.

- Zapewne nie - pada odpowiedź i teraz obie śmieją się do rozpuku.

- Mówmy sobie po imieniu. Jestem Teresa - przedstawia się moja żona.

- A ja Vicki.

- Miło cię poznać, Vicki.

- I ciebie, Tereso.

Teresa powraca do przeglądania pisma, Vicki zaś do czytania. Pozostałe kobiety bezustannie paplają, a świat kręci się dalej, tak jak w każdy sobotni poranek.

I bądź tu człowieku mądry.

ROZDZIAŁ trzydziesty piąty

Kto mieszka w Rhode Island, ten wie, że dzieje się tutaj sporo dziwnych rzeczy, a jedną z nich jest to, że dokądkolwiek pójdziesz, właściwie zawsze wpadniesz na znajomego albo na kogoś, kto zna twojego znajomego. Aż trudno uwierzyć. Zatrzymajcie na ulicy pierwszego z brzegu przechodnia i jeśli się okaże, że jest z Rhode Island, to na pewno macie wspólnych znajomych albo jesteście dalekimi krewnymi, głowę daję. To dlatego, że nasz stan jest mały i ścieżki krzyżują się tu praktycznie co krok.

Przeciętny mieszkaniec Rhode Island nie jest specjalnie zdziwiony, kiedy wpada na znajomą osobę, bez względu na to, gdzie akurat przebywa. Ci spoza miasta nie są do tego przyzwyczajeni i pewnie dlatego Horace jest tak zaskoczony, widząc któregoś popołudnia Johnny'ego w Rejestrze Pojazdów Mechanicznych, na kilka dni przed Gwiazdką. Horace wykłada na Uniwersytecie Browna od niepamiętnych czasów, ale przyjechał spoza stanu i rzadko kiedy opuszcza kampus. Facet żyje tam sobie we własnym świecie.

Johnny właśnie idzie do Ala, swojego kumpla, żeby zrobić porządek z mandatem za przekroczenie prędkości, który dostał w wieczór przed Świętem Dziękczynienia. Niemal zapomniał o tej sprawie, ale przypadkiem znalazł druczek przy okazji sprzątania foteli w samochodzie. Wystarczyłby telefon, ale Johnny lubi załatwiać sprawy osobiście, jeśli jest taka możliwość, ma to po mnie. Poza tym chce wyrwać się na moment ze sklepu i ewentualnie zafundować sobie lunch w śródmieściu.

Wchodzi do holu i z miejsca zauważa Horace'a, który stoi nieruchomo na samym środku i wydaje się trochę oszołomiony i zdezorientowany, kiedy usiłuje wykombinować, dokąd iść. Mówię wam, facet może i jest

szychą w kampusie, ale poza nim zachowuje się nieporadnie jak ryba wyrzucona na brzeg.

- Hej, Horace! - woła Johnny. - Co tu robisz? Horace momentalnie się odwraca, a na widok

Johnny'ego oblewa się rumieńcem w sześciu odcieniach czerwieni.

- Och, witaj, Johnny - odzywa się tym swoim nosowym głosem, który brzmi jeszcze gorzej niż zwykle, bo nabawił się kataru. - Cóż za... niespodzianka.

- Tak, fakt. Mam tu mały interes do załatwienia - wyjaśnia Johnny. - A ciebie co sprowadza?

Horace unosi szarą teczkę.

- Moje mandaty za parkowanie - przyznaje ze zboląłą miną. - Zupełnie o nich zapomniałem, więc muszę teraz płacić odsetki za zwłokę, a na domiar złego grozi mi tymczasowa utrata prawa jazdy. Zdaje się, że wpadłem jak śliwka w kompot. Nawet nie wiem, z kim powinienem porozmawiać, aby ostatecznie załatwić tę sprawę.

- Ciągłe cię ścigają za mandaty? Daj, rzucę okiem.

- Obawiam się, że na tym etapie jest już za późno na jakąkolwiek interwencję - wzdycha Horace i podaje Johnny'emu teczkę. - Chyba najprościej będzie, jeśli zapłacę mandaty i wreszcie położę temu kres.

- Co ci tak śpieszno? - Johnny przez chwilę przegląda mandaty, po czym podnosi wzrok i ruchem głowy wskazuje ławkę pod ścianą, w głębi holu. - Wiesz co? Siądź sobie tam i zaczekaj, aż wrócę.

Horace nie wie, co innego miałby zrobić, więc posłusznie siada, a Johnny rusza na górę, do biura Ala. Mija dziesięć minut, kwadrans, dwadzieścia minut. Horace już zamierza dać za wygraną i wracać do domu, kiedy z tłumu wyłania się Johnny uśmiechnięty od ucha do ucha.

- Jesteś załatwiony - oznajmia.

- Jak to?

- No, możesz iść do domu. Sprawa się wyjaśniła.

- Nie rozumiem.

Johnny odprowadza go do wyjścia.

- Chodźmy - mówi i kładzie mu rękę na ramieniu. -

Wyjaśnię ci na zewnątrz.

Jest ciemno i chłodno, szare chmury zwisają nisko nad miastem. Taka pogoda zaczęła się przed paroma dniami, niemal daje się wyczuć nadciągającą śnieżycę. Póki co jednak śniegowi się nie śpieszy i tylko drażni się ze wszystkimi, jak to czasem ma w zwyczaju. Kiedy obaj idą na parking, Johnny usiłuje zapoznać Horace'a z faktami ze swojego życia, ale jednocześnie stara się nie mówić za dużo. Rzecz jasna, nie ma zamiaru pakować w tarapaty Ala, który przecież dopiero co podjął pracę w urzędzie.

- Czy mógłbyś powiedzieć mi, co to znaczy, że sprawa się wyjaśniła? - nalega Horace.

- To znaczy, że mandaty znikły z twoich akt w Rejestrze.

- Jak to?

Johnny odchrząkuje.

- Powiedzmy, że doszło do pewnej usterki w komputerze i dlatego twoje mandaty zostały omyłkowo wykasowane.

Horace spogląda na niego sceptycznie.

- Zapewne problem ze sprzętem?

- Hej, w sumie jestem facetem od technicznego sprzętu.

Pamiętasz?

- Tak, istotnie. - Horace kiwa głową. - Cóż, ogromnie ci dziękuję. Chętnie jednak dowiedziałbym się, skąd się wziął wspomniany przez ciebie problem.

- Popatrz na to tak. Powiedzmy, że opłaca się mieć przyjaciół, i niech na tym stanie. Capisc'?

Przed nimi stoi furgonetka z kanapkami, a sprzedawca przytupuje i chucha w dłonie, żeby się rozgrzać. Dochodzi

południe, więc niedługo wszyscy urzędnicy wylegną z biur, żeby zjeść lunch.

- Masz chwilę na kawę? - pyta Johnny.

- Tak. Ale pozwól, że cię zaproszę. Przynajmniej tyle mogę dla ciebie zrobić.

Obaj biorą swoje kawy i stają z boku, żeby nie przeszkadzać urzędnikom, którzy właśnie zaczęli opuszczać Rejestr i pobliskie urzędy państwowe, żeby ustawić się w kolejce po kanapki. Powiem wam, że to niesamowite, jaki interes robi ten gość, nawet zimą. Kiedyś słyszałem, że ma dobre kanapki z kielbasą i papryką, ale w życiu nie czekałbym na mrozie, żeby coś u niego kupić. Inna rzecz, że to pewnie wygodne - ludzie zgarniają kanapki praktycznie sprzed drzwi, a potem pędzą z powrotem do środka, żeby nie dostać odmrożeń. W każdym razie Johnny i Horace stoją przez pewien czas, sączą kawę i gawędzą o pogodzie.

- Ostatnio rzadko cię widuję - zauważa w końcu Horace.

- No tak, byłem zajęty - odpowiada Johnny, niezbyt przekonująco. - Wiesz, jak jest.

- Tak, chyba tak. - Horace popija kawę i spogląda na gmach Rejestru po drugiej stronie parkingu.

- Nie wiem, jak mógłbym ci się odwdzięczyć za to, że mi dzisiaj pomogłeś.

- Och, prosta sprawa. Pomóż Vicki zdobyć ten etat na uczelni.

Horace się uśmiecha.

- Sprawa jej etatu nigdy nie stanowiła problemu, Johnny. Vicki to jedna z naszych najlepszych wykładowczyń. W pełni zasłużyła na stałe zatrudnienie na uniwersytecie i moja pomoc nie jest jej do niczego potrzebna.

- To dobrze. - Johnny również się uśmiecha.

- Będzie zadowolona.

- Z pewnością - przyznaje Horace. Spogląda z zadumą na Johnny'ego i waha się przez moment. - Wiesz - mówi w końcu. - Kiedy cię poznałem, naprawdę nie sądziłem, że...

- Że co?

- Mniejsza z tym. - Horace kręci głową. - To nie jest specjalnie ważne.

Johnny wzrusza ramionami i patrzy w niebo.

- Sam nie wiem, Horace, ale moim zdaniem tam w górze jest fura śniegu, który koniecznie chce spaść, ale Bóg mu nie pozwala. Trudno dać wiarę, że już jutro Wigilia.

- W rzeczy samej.

- Pewnie wszyscy w kampusie na święta znikają z miasta - domyśla się Johnny.

- Owszem. Większość studentów wyjedzie jeszcze tego popołudnia, a reszta, razem z pracownikami naukowymi, zniknie do jutra rana. Na koniec semestru zawsze dochodzi do zmasowanej ucieczki w ostatniej chwili.

- No, wyobrażam sobie - mówi Johnny i znowu spogląda na ciemne chmury. - Chyba powinienem już się zwijać do roboty. Zostawiłem w sklepie siostrę na zastępstwie, a ona nie lubi za długo siedzieć sama. Miło było cię widzieć, Horace.

Tym razem Horace podnosi wzrok ku chmurom.

- Cieszę się, że cię spotkałem, Johnny. Czy w przyszłym semestrze będziesz częstszym gościem w kampusie?

- Nie liczyłbym na to.

- Rozumiem. - Horace wyciąga rękę. - W takim razie pozwól, że ponownie podziękuję ci za pomoc.

- Drobiazg. - Johnny potrząsa jego dłonią. - Wesołych Świąt.

Odwraca się i rusza do samochodu.

- Powodzenia, Johnny Catini! - woła za nim Horace. - Dobry człowiek z ciebie.

Johnny tylko macha uniesioną ręką. Wsiada do auta, uruchamia silnik i w tym samym momencie zauważa pierwsze płatki śniegu, które powoli opadają na ziemię. Rusza, ale zamiast wrócić prosto do sklepu, postanawia zboczyć z trasy, kupić kwiaty i zajrzeć do Vicki, żeby zdążyć przed jej wyjazdem do Maine. To będzie miły, spontaniczny i nieszkodliwy gest z okazji Świąt. Rzecz jasna, kiedy gna do East Side, nie ma zielonego pojęcia, że w tej samej chwili Vicki jedzie prosto do jego sklepu, aby podrzucić mu świąteczny prezent i dopiero potem popędzić autostradą do domu.

Gdybym mógł, dałbym znać jemu albo jej, co się święci, ale cóż - zasady są po to, żeby ich przestrzegać. Tych dwoje jest już w drodze i sami muszą zająć się swoimi sprawami, wicie, w czym rzecz.

ROZDZIAŁ trzydziesty szósty

Coś wam powiem - inspiracja to dziwna rzecz. Im bardziej gorączkowo jej szukacie, tym mniej prawdopodobne, że ją znajdziecie. To trochę jak z tą chińską pułapką na palce - im mocniej ciągniecie, tym trudniej będzie wam się uwolnić. Jeśli jednak dacie sobie spokój i postanowicie się zrelaksować, palce same się wyślizną. Tak jest również w życiu, kiedy szukacie rozwiązania naprawdę poważnego problemu. Wychodźcie ze skóry, żeby coś wymyślić, ale nic z tego, a potem, kiedy robicie coś bez znaczenia i w ogóle się nie zastanawiacie nad tym, co was gryzie, odpowiedź pojawia się sama. Wtedy szczęka wam opada i mówicie do siebie: przecież to oczywiste, dlaczego wcześniej na to nie wpadłem! Cóż, Bóg w takich sprawach czasem dziwnie się zachowuje. Ma własne zdanie we wszystkim i dopóki nie zechce, nie podrzuci wam potrzebnego pomysłu. No co, może sobie na to pozwolić, nie?

Tak czy owak, jest Wigilia i tak jak co roku Teresa przygotowała na stole w jadalni szwedzki bufet z połowy mieszkańców Atlantyku i innych rzeczy. Są kalmary (smażone i nadziewane, rzecz jasna), sałatka ze ślimaków, całkiem ładne baccala, szaszłyki z osmażanych krewetek, smażone stynki, szyjki rakowe, nadziewane małże, ostrygi na półwkach muszli, a całość wieńczy wielki pieczony homar. Do tego Teresa gotuje jeszcze wielki gar linguine oraz sos z czerwonych i białych małży.

Wkład Johnny'ego w tę kompozycję to bardzo ładny bukiet na środku stołu. Przyniósł te kwiaty wczoraj po pracy i naprawdę dobrze wyglądają, chociaż w zasadzie miały trafić w zupełnie inne miejsce. Czasem jednak układa się nie tak, jak zaplanowaliśmy, i okazuje się, że tak jest nawet lepiej, prawda? W salonie Teresa nastawiła świąteczną muzykę, Elvis śpiewa właśnie Blue Christmas. Johnny opiera się o ladę

w kuchni i spogląda w okno z tym smętnym wyrazem twarzy, z którym obnosi się od rana.

Teresa wchodzi do kuchni, sprawdza, czy linguine już się ugotowały, i gasi palnik.

- Hej, uaglio, obudź się! - mówi do syna. - - Zaraz wszyscy się zjawia, pomóż mi odlać linguine.

Johnny podchodzi do kuchenki, zdejmuje garnek z palnika i wylewa jego zawartość do durszlaka, który Teresa ustawiła w zlewie. Linguine w durszlaku wyglądają jak mop.

- Przynajmniej postaraj się uśmiechnąć - fuka Teresa. - Przecież jest Wigilia.

- Dobra, dobra - burczy Johnny. Teresa kręci głową i przewraca oczami.

- A mówią, że to kobiety są humorzaste. Reszta gości zjawia się już po kilku minutach.

Wszyscy umierają z głodu i są zestresowani po przedświątecznej bieganinie, więc rzucają się na jedzenie niczym szarańcza. Dzieciaki jednak są zbyt podniecone, żeby jeść, i tylko biegają po domu jak szalone. Tak jest rok w rok.

- Ładna dekoracja. - Maria wskazuje kwiaty na stole.

- Faktycznie - przytakuje Nina. - Skąd je masz, mammo?

- Wierzcie albo nie, ale to wasz brat przyniósł je tu wczoraj.

- Johnny? - dziwi się Gina. - O kurczę, jestem pod wrażeniem.

- Bardzo śmieszne - mamrocze Johnny.

- Nieźle, Johnny - mówi Maria. - David, dlaczego ty nigdy nie przynosisz mi kwiatów?

- Bo nie jesteś moją matką - odpowiada natychmiast jej mąż i wrzuca do ust krewetkę.

- Romantyk z ciebie.

- Boże, umieram z głodu - wzdycha Gina, nakładając sobie linguine na talerz.

- A czemu tu się dziwić? Jesz teraz za dwoje - zauważa Teresa.

- A mam ochotę jeść za szóstkę.

Johnny bierze talerz i nakłada sobie łyżkę sałatki ze ślimaków. Kropi ją odrobiną sosu tabasco, łapie kromkę chleba i idzie do salonu.

- A dziś co go ugryzło? - pyta Nina.

- Kto go tam wie - wzdycha Teresa.

Johnny wchodzi do salonu i siada na skraju kanapy, tuż obok choinki. Na podłodze bawią się dzieciaki, zerkając nerwowo na bileciki z imionami przywiązane do prezentów. Tylko Isabella potrafi czytać, więc jest liderką grupy.

- Ta jest dla Tommy'ego! - wykrzykuje radośnie. - A ta dla Rosie! A ta dla Michaela! Są prezenty dla wszystkich! Wesołych Świąt!

Johnny uśmiecha się po raz pierwszy tego wieczoru i podnosi widelec z sałatką do ust. W tej samej chwili widzi, że jedna z lampek migocze, jakby lada chwila miała się wypalić. Johnny na moment nieruchomieje i tylko gapi się na maleńkie niebieskie światełko.

I wtedy to do niego dociera.

Ni stąd, ni zowąd Johnny wpada nagle na genialny pomysł na biznes. Wydaje się tak prosty, że początkowo usiłuje go zlekceważyć, przekonany, że nic z tego nie będzie. Jednak jak wszystkie dobre pomysły, ten nie daje się zapomnieć, więc Johnny siedzi nieruchomo, wpatrzony w lampkę choinkową i przetrawia to, co wykombinował. Przez cały czas widelec z sałatką wisi przed jego ustami.

- Sprzęt techniczny - mówi do siebie. - Jestem facetem od techniki. A sprzęt techniczny to sprzęt techniczny, nie?

- Na co patrzysz, wujku Johnny? - dopytuje się Joanna.

Johnny odstawia talerz z sałatką, po czym sadza sobie siostrzenicę na kolanach. Przez cały czas wpatruje się w drzewko, a ciepły blask lampek rozświetla jego twarz.

- Na przyszłość, Joanno. - Mocno ściska dziewczynkę. - Patrzę na przyszłość.

Ostrożnie stawia ją na podłodze, obok innych dzieci.

- Kto dzisiaj przyjdzie? - pyta je.

- Święty Mikołaj! - wykrzykują zgodnym chórem.

- Macie rację - śmieje się Johnny. - Macie rację.

I nagle wszyscy zaczynają śpiewać Jingle Bells, Johnny najgłośniej. Dwie sekundy temu był niepoczyszony, ale teraz, całkiem nieoczekiwanie, jest mu odrobinę lżej na duszy.

ROZDZIAŁ trzydziesty siódmy

Cieżko mi się do tego przyznać, ale w głębi duszy obawiałem się, że Johnny nie ma dość rozumu, by przejąć po mnie interes. Wiem, wiem, że mnie też żaden Einstein, ale Johnny był zawsze znudzony i nieuważny, jeśli chodzi o sklep, i martwiło mnie, że schrzani wszystko przy pierwszej nadarzającej się okazji.

Kiedy spoglądam wstecz, widzę, że popełniłem kilka błędów wychowawczych. Pewnie powinienem był dać synowi więcej swobody, możliwość wypróbowania własnych pomysłów i popełnienia własnych błędów, dzięki czemu mógłby się czegoś nauczyć i wyciągnąć wnioski. Czasem jednak ojcu trudno jest zrozumieć, że dziecko nauczy się więcej z życia niż z wykładów. Trzeba po prostu spuścić je ze smyczy i dać mu się wybiegać, bo niezależnie od waszych wymagań i tak będzie robiło wszystko po swojemu, przynajmniej na początku. Zanim jednak się człowiek obejrzy, dzieciaki wykombinują, jak coś robić milion razy lepiej niż rodzice, bo właśnie po to dzieci przychodzą na ten świat.

Gdybyście mnie spytali o zdanie, powiedziałbym, że pomysł na sprzedawanie komputerów w sklepie z artykułami żelaznymi to szaleństwo i w życiu nie wypali. Muszę jednak przyznać Johnny'emu, że naprawdę ma łeb na karku.

Przychodzi Nowy Rok, a mój syn pracuje za dwóch. Zima jest okropna, lodowata i śnieżna, do tego dochodzi jeszcze poświąteczne przygnębienie, ale mój syn biega jak nakręcony. Przez cały miesiąc uczy się wszystkiego o komputerach, czyta podręczniki, rozmawia ze sprzedawcami i analizuje. Tkwi w tym po uszy i bardzo mu się to podoba, bo, być może po raz pierwszy w życiu, wpadł na dobry pomysł. Wie, czego chce, i wie dokładnie, jak to osiągnąć.

W połowie lutego Johnny dochodzi do wniosku, że już lepiej nie wybada sytuacji i że nadszedł czas pierwszy ruch.

Uprząta fragment sklepu pod ścian z tyłu, montuje tam nowe półki, przemeblowuje całość, a potem wstawia towar.

Pięknie wyglądają te lśniące komputery, monitory, skanery i drukarki, same najnowsze modele. Jest tylko jeden problem - nikt nie chce ich kupować. Cóż, biznes to nie Boisko marzeń, ludzie nie zjawiają się w magiczny sposób pod drzwiami. Trzeba ich tam ściągnąć i opowiedzieć im swoją historię, pokazać, co się ma, sprawić, żeby was polubili i chcieli do was przychodzić i kupować wasz towar. Musi minąć kilka tygodni, podczas których cały ten piękny lśniący sprzęt siedzi na półkach i zbiera kurz, nim Johnny uświadamia sobie, że jeśli chce cokolwiek sprzedać, musi zaangażować się w ostrą kampanię reklamową. Właśnie wtedy znowu dopada go inspiracja.

Tego wieczoru reklama ma zostać wyemitowana po raz pierwszy i Gina zaprasza wszystkich do siebie. Cała rodzina zbiera się wokół telewizora, podjadając popcorn i cukierki, całkiem jak na premierze filmowej. Teresa, dziewczyny i dzieci tłoczą się na kanapie, a Johnny pęta się z chłopakami po kuchni i próbuje udawać, że wcale nie jest zdenerwowany.

- Jak to będzie, Johnny? - pyta Jimmy - Ile razy pokażą tę reklamę?

- Trzy razy dziennie przez miesiąc, a potem się zobaczy.

- Mnie najbardziej interesuje, ile to wszystko kosztowało!
- woła Teresa.

- Pieniądze, pieniądze, ciągle tylko pieniądze! - odkrzykuje jej Johnny. - Jesteś jak twój mąż, bez przerwy się przejmujesz wydatkami. Wiesz, gdyby tato spędzał mniej czasu na martwieniu się o forszę, to by pewnie nie zachorował. Brzmi znajomo, mamo?

- Pomóżcie mi wstać z kanapy - żąda Teresa.

- A po co? - chce wiedzieć Tommy.

- Bo zamierzam trzasnąć waszego wujka w łeb.

- Daj spokój - uspokaja ją Maria. - I wszyscy się uciszcie, nie chcę tego przegapić.

Kiedy w końcu nadchodzi chwila prawdy, wszyscy gromadzą się przed ekranem.

- No dobra, wszyscy się zamknijcie - komenderuje Johnny. - Puszczą ją lada moment.

- Jest! - krzyczy Nina.

- O, sklep! - wtóruje jej Gina.

Reklama to czysta poezja - chcę przez to powiedzieć, że to stuprocentowy Johnny. Kamera pokazuje front sklepu, a następnie widać środek sklepu, gdzie mój syn upozował się na tle półki z ręcznymi narzędziami. Obok niego stoi jego kumpel Al i udaje klienta, a Johnny udaje z kolei, że pomaga mu wybrać piłę elektryczną. Al z miną pełną zadumy kiwa głową, całkiem jakby Johnny był ostatecznym autorytetem w kwestii pił. Tymczasem za nimi, w tle, Vinny i Tony biegną po alejkach, symulując nadzwyczajne zainteresowanie towarem.

Nagle Johnny patrzy w kamerę.

- Witajcie, jestem Johnny Catini - zaczyna. - Odkąd pamiętam, moja rodzina sprzedaje artykuły żelazne dobrym ludziom w Providence. Teraz, po czterdziestu latach, doszliśmy do wniosku, że czas na zmiany. Dlatego właśnie, oprócz artykułów żelaznych, zwanych ogólnie sprzętem technicznym, sprzedajemy - teraz mamy ujęcie tyłu sklepu, gdzie Johnny stoi przed tymi wszystkimi komputerami - inny sprzęt techniczny, czyli komputery.

Tak jest, najnowsze komputery osobiste, a także monitory, drukarki, skanery i wszystko, czego wam potrzeba, po najlepszych cenach w mieście. Dlatego właśnie, jeśli szukacie sprzętu technicznego, zapraszamy do sklepu żelaznego Catiniego na Federal Hill w Providence, a jeśli szukacie

innego sprzętu technicznego, czyli komputerów - pokazuje ręką komputery - to wieście, że i tego nam nie brakuje.

I już po trzydziestu sekundach chwały. Wszyscy zaczynają klaskać, klepać Johnny'ego po plecach, a siostry targają go za włosy.

- Ostrożnie, ostrożnie! - śmieje się. - W końcu teraz jestem gwiazdą.

- I tyle? - dziwi się Teresa. - To wszystko, co masz do powiedzenia?

- A czego się spodziewałaś po trzydziestu sekundach? Miałem przeczytać na głos Wojnę i pokój?

- Spodziewałam się trochę więcej za te pieniądze, które z pewnością zapłaciłeś!

- Wierz mi, pieniądze do nas wrócą, sama zobaczysz.

- A co z resztą nas? - dopytuje się Maria. - Kiedy my wystąpimy w reklamie?

- No właśnie, niby dlaczego Vinny, Tony i Al wystąpili w tej reklamie, a my nie? - oburza się Nina.

- Mam tylko nadzieję, że przeszukałeś im kieszenie, zanim wyszli ze sklepu - burczy Gina. - Ta ekipa pewnie zwinęła ci połowę towaru.

- Spokojnie, kazałem im przejść obok wykrywacza metalu, dopiero potem ich wypuściłem - śmieje się Johnny. - I obiecuję wam, jeśli wszystko się ułoży po mojej myśli, każdy, kto będzie chciał, wystąpi w następnej reklamie. W porządku?

- Hurrrra! - wykrzykują chórem małe dzieci.

Duże dzieci też są bardzo szczęśliwe.

Powiem wam, że nie wszystko wychodzi dokładnie tak, jak to sobie zaplanował Johnny - bo wychodzi o wiele lepiej, milion razy lepiej. Pozwólcie, że opowiem, jak się to zaczęło.

Reklama leci już dwa albo trzy tygodnie, jednak zupełnie nic się nie dzieje. Przychodzą zwykli klienci, od śrubek i gwoździ, i ledwie raczą zerknąć na te wszystkie komputerowe

cuda. W końcu, pewnego dnia drzwi się otwierają i wchodzi Angela, która jak zwykle wygląda, jakby właśnie zeszła z wybiegu, i dumnym krokiem zmierza do lady.

- Witaj, nieznajomy - mruczy uwodzicielsko. - Kopę lat.

- Cześć, Angela, jak się miewasz? - Johnny pochyła się ku niej i dostaje całusa w policzek. - Trzeba przyznać, że nie najgorzej dziś wyglądasz.

- Dziękuję. - Angela lekko przechyla głowę, wyraźnie zadowolona.

- Co ty tutaj robisz z samego rana?

- Mój szef planuje zakup nowego sprzętu komputerowego do biura. Kiedy zobaczyłam twoją reklamę i okazało się, że teraz sprzedajesz komputery, powiedziałam mu, że jesteśmy starymi kumplami i że wpadnę tu przed pracą sprawdzić, co masz i czy uda nam się dogadać. - Milknie dla podkreślenia efektu. - Poza tym chciałam się przywitać, dawno się nie widzieliśmy.

- No tak. Fajnie, że wpadłaś, Angela - mówi Johnny. - Chodź, pokażę ci, co mam.

Prowadzi Angelę na tyły sklepu i zaczyna recytować wyliczankę o dyskach, czipach, kartach pamięci, megahercach i wszystkich tych bzdetach. Dla mnie równie dobrze mógłby mówić po chińsku, wyrzucając z siebie słowa z szybkością karabinu maszynowego.

- Powoli, powoli - śmieje się Angela. - Przyznam ci się do czegoś. Dla mnie obsługa komputera jest jak jazda samochodem. Ruszam i jadę, ale nie pytaj mnie, co jest pod maską, bo nie mam pojęcia.

Johnny przechodzi do wyjaśnień, ale w tym momencie słyhać dzwonek przy drzwiach, Johnny spogląda nad ramieniem Angeli i widzi, że do sklepu wchodzi jeszcze jedna atrakcyjna młoda kobieta. Podobnie jak Angela, jest elegancko ubrana, zapewne wpadła tu w drodze do pracy. Rozgląda się

po całym sklepie i dopiero wtedy zauważa Johnny'ego i Angelę.

- Za chwilę do pani podejść! - woła do niej Johnny.

- Nie ma pośpiechu - odpowiada.

- No dobrze. - Johnny zaczyna od początku: - Musisz myśleć o swoim komputerze jak o własnym gabinecie. Miejsce na dysku to wszystkie szafki, które masz dookoła siebie. Im więcej masz szafek, tym więcej akt możesz w nich schować. Tak samo jest z komputerem. Im większa pojemność, tym większe archiwum z dokumentami.

- A czy to to samo, co pamięć? - Angela trzepocze rękami.

Druga młoda dama zdążyła już się przemieścić do działu z komputerami i słucha teraz wykładu Johnny'ego. Angela zerka na nią, bynajmniej nie życzliwie, a dziewczyna odpowiada jej identycznym spojrzeniem. Johnny jest kompletnie nieświadomy tej wymiany ciosów.

- Nie - odpowiada. - Twoja pamięć jest jak blat biurka w twoim gabinecie. Im większa powierzchnia biurka, tym większe pliki dokumentów, które możesz otworzyć i zmieniać, i tym więcej tych plików możesz otworzyć jednocześnie. Jeśli blat jest za mały, dokumenty spadają na podłogę i robi się bałagan. Mniej więcej tak samo jest z komputerem. Najlepiej mieć jak największą pamięć, żeby na blacie było mnóstwo miejsca. Rozumiesz?

- Chyba tak - potakuje Angela niepewnie. Johnny bierze do ręki ulotki na temat komputerów i listę z cenami.

- Masz. - Wręcza to wszystko Angeli. - Przejrzyj to przez moment. - Odwraca się do drugiej młodej kobiety. - Mogę w czymś pomóc?

- Tak - odpowiada dziewczyna miłym głosem i rzuca Angeli spojrzenie z ukosa. - Zamierzam kupić sobie komputer, ale nie za bardzo się na tym znam. Niechcący podsłuchałam

pana wyjaśnienia na temat tego, jak to działa. Mógłby to pan powtórzyć raz jeszcze?

- Jasne. Widzi pani, więc tak...

I tak się to wszystko zaczyna. Każdego dnia przychodzą kobiety pooglądać komputery i Johnny'ego. Najważniejsze, że nawet jeśli nie kupują komputera, niemal nigdy nie wychodzą bez jakiejś żarówki, ogrodniczych rękawic czy innego drobiazgu, byleby tylko coś kupić. Dzięki temu nie tylko komputery dobrze się sprzedają, mnóstwo innych rzeczy też.

Nie mija wiele czasu, a wszyscy stolarze, elektrycy i inni stali bywalcy zauważają nową klientelę w sklepie i, możecie mi wierzyć, nie mają nic przeciwko obecnym porządkom. To, co kiedyś było dla nich banalną częścią dnia, teraz zamieniło się w bardzo przyjemną wyprawę. Nim się obejrzę, faceci wpadają do sklepu pogapić się na dziewczyny, które gapią się na wgapionego w komputer Johnny'ego. Hm, może pora zawiesić srebrzystą kulę pod sufitem i puścić jakieś disco? Najlepsze jest jednak to, że tak jak kobiety, mężczyźni też zawsze coś kupują, żeby zachować twarz.

Trzeba przyznać, że Johnny zupełnie ignoruje to nowe damskie zainteresowanie swoją osobą, bo jest zbyt zajęty utrzymywaniem się na fali. Robi co może, żeby kasa brzęczała. Widzicie, moi drodzy, Johnny wreszcie poznał smak zwycięstwa - zyskał nie tylko pieniądze, ale i życiową pasję. Mówiłem już wam, że kiedy soki płyną, życie jest dobre. Rozumiecie, prawda?

ROZDZIAŁ trzydziesty ósmy

Jak, wierzcie mi na słowo, kiedy płyną w was życiowe soki, świat może być naprawdę dobry. Wszystko wydaje się jaśniejsze, wiatr zawsze wieje w plecy, deszcz zrasza wasze pola, słońce ogrzewa wam twarz, a Bóg trzyma was na swej dłoni. Rozumiecie, o co mi chodzi, prawda? Chyba zapożyczyłem ten cały kawałek od Dickiego McDougala, ale to wszystko szczerą prawdą. Do tego teraz otacza was szczególna aura i nagle wszyscy chcą być blisko was, całkiem jakby dzięki temu soki mogły zacząć krążyć szybciej także i w nich. To dziwne i nieco upajające, jeśli się nie wie, jak z tym postępować.

Jednak nawet w najlepszych chwilach soki nie płyną non stop i przychodzi moment, gdy wszystko wydaje się ciągnąć w nieskończoność. Na moment życie zwalnia, a wy macie wreszcie dwie sekundy na relaks i złapanie oddechu. Właśnie w takich krótkich chwilach, kiedy Johnny samotnie krąży po sklepie, co pewien czas przystaje i ponuro wygląda przez frontowe okno na ulicę, w kierunku East Side. Dzień w dzień staje w tym samym miejscu i patrzy, jak ubywa śniegu i w końcu zima zamienia się w wiosnę. Bo widzicie, wszystko smakuje znacznie lepiej, kiedy macie się tym z kim podzielić. Johnny właśnie to odkrył.

To jedna z tych cichych chwil, o których wspomniałem, poniedziałkowy poranek, i Johnny zamiata jedną z alejek. Jest początek kwietnia, dopiero niedawno zaczęło się robić trochę cieplej. Resztki śniegu zniknęły, jednak ludzie nadal wchodzą w butach ubrudzonych solą i piaskiem, więc szybko robi się bałagan. Nagle drzwi się otwierają i do środka wkracza dwóch mężczyzn w marynarkach i krawatach. Johnny nie rozpoznaje żadnego z nich, ale ze strojów domyśla się, że pewnie przyszli po komputery. Obaj jednak stają przy drzwiach i rozglądają się dookoła, mówią do siebie przyciszonymi głosami, a potem

jeden z nich coś zapisuje. Johnny odstawia miotłę i idzie sprawdzić, o co chodzi.

- Czym mogę służyć?

- Dzień dobry - wita się jeden z nich, przysadzisty, łysy gość, na oko po czterdziestce, i wyciąga wizytówkę. - Ned Featherstone, Amerykańskie Sklepy Żelazne. Słusznie zakładam, że rozmawiam z panem Catinim?

- Tak mi się wydaje - oznajmia Johnny i bierze wizytówkę.

- Proszę wybaczyć, że tak wpadamy bez zapowiedzi, ale akurat byliśmy w okolicy - mówi Featherstone i kiwa głową na swojego pomagiera, który trzyma notatki. - To mój asystent.

- Lester Potts. - Mężczyzna wyciąga rękę. - Miło mi pana poznać.

Potts to chudy mały człowieczek z potarganymi włosami i w okularach ze szklami jak denka od coca - coli.

Johnny potrząsa jego ręką.

- W czym mogę pomóc? - pyta. Featherstone odchrząkuje.

- Jak być może przypomina pan sobie z naszej wymiany korespondencji, chcemy rozszerzyć działalność w tym rejonie. Pańska lokalizacja znajduje się na szczycie naszej listy i, szczerze mówiąc, jesteśmy bardzo zainteresowani.

Johnny w końcu załapuje.

- O Jezu, Amerykańskie Sklepy Żelazne. - Kiwa głową. - Pewnie, teraz już pamiętam.

Lester zerka do notatek.

- Jesteśmy pod wrażeniem tego, co pan zrobił ze swoim przedsiębiorstwem, panie Catini. Połączenie sprzętu technicznego i komputerowego - doskonały pomysł.

- Dzięki.

- Świetna sztuczka - dodaje Featherstone.

- Tak, wygląda na to, że pomysł chwycił - przyznaje Johnny.

- Biznes się rozkręca, co? - pyta Featherstone z ogromnym zainteresowaniem.

- Nie narzekam. Ostatnio jakoś trudno mi nadażyć z obsługą klientów. Chyba będę musiał zatrudnić pomoc, i to szybko.

- Być może uwolnimy pana od kłopotów. - Featherstone uśmiecha się szeroko.

Johnny sceptycznie spogląda na gości.

- Co pan ma na myśli?

Featherstone kładzie mu na ramieniu tłuste łapsko i porozumiewawczo mruga do asystenta.

- Może poszukamy jakiegoś spokojnego miejsca, żeby usiąść i zamienić parę słów - proponuje z nieskrywaną pewnością siebie.

- Dziesięciokrotność czystego dochodu? - powtarza Johnny i podnosi wzrok znad broszur Amerykańskich Sklepów Żelaznych, które Featherstone rozłożył na jego biurku w gabinecie na zapleczu.

- Średni dochód z ostatnich trzech lat - dodaje pośpiesznie Potts. - To nasza standardowa oferta za taki sklep.

- Mhm. Johnny usiłuje zachować zimną krew, ale po jego minie widzę, że kalkulator w głowie pracuje pełną parą. Myśli o nowym samochodzie, zastanawia się, czy wystarczyłoby mu na własny dom, planuje kupno działki na Florydzie, dokąd zimą jeździłby z rodziną na wakacje. Czuje, że już nigdy nie musiałby tyrać jak osioł. Wiem to wszystko, bo nie tak dawno temu sam byłem na jego miejscu. Na to nic się nie poradzi. Jeśli ktoś pomacha wam pieniędzmi przed nosem, trybiki w głowie same zaczynają się obracać.

- Oczywiście, musielibyśmy obejrzeć pańskie zweryfikowane zeznania podatkowe za ostatnie lata - dodaje Featherstone.

- Jasne.

Wszystko to wydaje się zbyt piękne, żeby było prawdziwe, ale widzę, że Johnny zapala się do pomysłu. W tej samej chwili słyhać dzwonek u drzwi i do środka wchodzi klient, więc Johnny przeprosza gości i wraca do sklepu. Pod nieobecność właściciela dyrektorzy Sklepów Żelaznych wymieniają porozumiewawcze spojrzenia.

- Chyba mamy gościa w kieszeni - odzywa się Potts.

- Wygląda na to, że się nie mylisz - oznajmia Featherstone z uśmiechem pełnym satysfakcji.

Johnny szybko wraca i sadowi się za biurkiem.

- Na czym stanęliśmy? - pyta, podnosząc jedną z ulotek Amerykańskich Sklepów Żelaznych.

- Rozmawialiśmy o przyszłości - przypomina mu Featherstone. - Pańskiej przyszłości, ściśle biorąc.

Johnny odchyła się na krześle i cicho wzdycha. Przez moment milczy i tylko wpatruje się w blat.

- Tak - mówi w końcu do siebie. - Moja przyszłość. Chyba właśnie o to chodzi, co? Nie byłem przygotowany na taką rozmowę dzisiaj z rana.

- Nigdy nie wiadomo, kiedy życiowa szansa zapuka do drzwi - zauważa Featherstone krzepiącym tonem. - Ale kiedy już tak się stanie, należy ją wpuścić do środka.

- I powitać z otwartymi ramionami - dodaje Potts.

- Mogę zadać jedno pytanie? Powiedzmy, że sprzedam panom mój biznes. Co będzie dalej?

- Sklep Żelazny Catiniego dostanie szyld Amerykańskich Sklepów Żelaznych - objaśnia Featherstone. - Poza tym niewiele się zmieni. Przejmiemy wszystkie pańskie problemy,

a pan będzie mógł robić wszystko, na co panu przyjdzie ochota.

- Brzmi obiecująco.

- W takim razie mogę założyć, że wyraża pan chęć kontynuowania rozmów z nami? - dopytuje się Featherstone.

Johnny spogląda na niego, potem przenosi wzrok na Potts, a na koniec znowu wbija spojrzenie w blat biurka. Następnie mój syn robi to, co zawsze, kiedy nie może się zdecydować. Wzrusza ramionami.

Wkrótce Johnny odprowadza gości do drzwi i w tej samej chwili na progu staje Gina. Świetnie wyczuła moment, bo w sklepie znowu robi się ruch. Gina będzie rodziła już za parę tygodni, lecz mimo to idzie prosto do kasy, żeby pilnować interesu, kiedy jej brat kończy rozmowę z grubymi rybami od sklepów żelaznych. Johnny żegna się pośpiesznie i natychmiast wraca do pracy. Szybkim krokiem podchodzi do klientów, stara się im pomagać w wyborze towaru. Ma urwanie głowy, jak to bywa od czasu do czasu. Powiem wam, że w takich chwilach prowadzenie sklepu przypomina nadzór nad cyrkiem o trzech arenach. Niedługo jednak sytuacja się uspokaja, więc można sobie pozwolić na krótką przerwę. Gdy ostatni klient opuszcza lokal, Johnny wlecze się do kasy i kładzie głowę na kontuarze.

- Dzięki, Gina - wzdycha ze znużeniem. - Uratowałam mi życie.

- Nie ma sprawy. - Gina uśmiecha się do niego. - Kim byli ci dwaj, których wcześniej odprowadzałeś do wyjścia?

Johnny podnosi wzrok i obraca głowę, żeby rozruszać zeszywniałą szyję.

- Featherstone i Potts.

- Kto? - śmieje się Gina.

- Kolesie z dużej sieci żelaźniaków. Chcą kupić sklep.

- Dobry Boże. - Gina wstrzymuje oddech. - Mam nadzieję, że im odmówiłeś.

- Póki co nie dałem im żadnej odpowiedzi.

- Dlaczego? Trzeba było ich poinformować, że nie jesteś zainteresowany.

- A co za różnica? Tylko ja tutaj tkwię i prowadzę biznes.

- To bez znaczenia. - Gina kręci głową. - Nie rozumiesz? Nawet jeśli któregoś dnia przejmiesz sklep na własność, to i tak będzie należał do nas wszystkich. Po prostu nie możesz go sprzedać. Jest częścią rodziny, bardzo ważną częścią.

Johnny jęczy i znowu opuszcza głowę na ladę.

- Proszę, nie praw mi dzisiaj kazań. Przecież tylko rozmawiałem, nic więcej.

- Przepraszam, nie chciałam prawić ci żadnych kazań. Zajrzałam, bo potrzebuję paru rzeczy do domu.

- Bierz, co chcesz.

Gina wstaje ze stołka i wychodzi zza lady. Ponieważ to już prawie dziewiąty miesiąc ciąży, moja córka porusza się dość wolno. Johnny tylko zerka na jej okrągły brzuch i podnosi rękę.

- Stój! - rozkazuje jej. - Siadaj z powrotem na tym stołku. Co ja sobie myślałem? Każę ci pracować przy kasie, a przecież w ogóle nie powinnaś wstawać, musisz odpoczywać. Zaraz podam ci, co potrzebujesz. Nie chcesz może napić się wody albo czegoś?

- Johnny, nie jestem chora, tylko ciężarna - śmieje się Gina. - To nie to samo.

- Po co ryzykować?

- Jesteś tak samo niemożliwy, jak Jimmy. Ostatnio tak się przejmuję, że nie pozwala mi kiwnąć palcem.

- Dobry z niego mąż. A teraz siadaj wreszcie i mów, czego potrzebujesz.

- Jak sobie życzysz, w końcu ty tu rządzisz. I tak Johnny wędruje po sklepie i wkłada do koszyka gumowe rękawiczki, nowe końcówki do raopów i inne akcesoria do sprzątania, wyliczane przez siostrę. Nie wytrzymuję i śmieję się pod nosem, bo zachowywałem się identycznie za każdym razem, kiedy Teresa była w ciąży. Dwa lub trzy tygodnie przed spodziewanym porodem zawsze odwiedzała mnie w sklepie i wręczała mi listę artykułów do sprzątania domu. To, że był nieskazitelnie czysty, nie miało najmniejszego znaczenia. Johnny układa wszystko na ladzie i zaczyna szukać pudła, żeby zapakować zakupy.

- Wygląda na to, że szykujesz wielkie, wiosenne porządki - zauważa.

- Wszystko przez dziecko. Jak Bóg da, zjawi się za dwa tygodnie. Chyba odezwał się we mnie instynkt macierzyński i muszę przyszykować gniazdo.

Johnny znajduje puste pudło po komputerze i wkłada wszystkie rzeczy do środka.

- I jak? - dopytuje się. - Będzie chłopiec czy dziewczynka?

- Przekonamy się po porodzie.

- Po co czekać? Przecież to można poznać, jak się zrobi to, no, uzetgie.

- USG, głuptasie - chichocze Gina. - Fakt, mogliśmy sprawdzić płeć dziecka, ale wolimy, żeby to była niespodzianka.

- Niespecjalna ta niespodzianka, skoro urodzi się jedno albo drugie, no nie?

- Póki co, jeszcze nie istnieje trzecia płeć. - Gina zagląda do pudła, żeby sprawdzić, czy niczego nie brakuje.

- Zadowolona? Nie potrzebujesz niczego więcej?

- Chyba wszystko gra. Muszę jeszcze dokupić trochę ubranek.

- Przykro mi, dzisiaj sprzedałem ostatnie. - Johnny rozkłada ręce i mruga żartobliwie. - Poza tym, po co chcesz kupować dodatkowe ciuchy, skoro dostałaś ich mnóstwo od krewnych i znajomych?

- Ech, sam wiesz, jaka jest mama - wzdycha Gina. - Koniecznie chce kupić coś specjalnego, bo dziecko może się urodzić w Wielkanoc.

Johnny drapie się po głowę.

- Hm, faktycznie, w ten weekend jest Niedziela Palmowa.

- Właśnie. Dlatego mama postanowiła w sobotę iść z Niną i Marią kupić jakieś ciuszki u Jeana Pierre'a.

- Gdzie?

- To taki nowy sklep w East Side, przy Thayer Street, naprzeciwko księgarni. Słyszałam, że sprzedają tam same śliczności, ale naprawdę drogo.

- Życ nie umierać. - Johnny udaje, że ziewa.

- A żebyś wiedział, mądralo. Poczekaj, aż sam się ożenisz i twoja żona będzie w ciąży.

- Żartuję. Szkoda tylko, że jeszcze przez dwa tygodnie będziemy żyli w niepewności, czy w rodzinie pojawi się nowy piłkarz.

- Niech Bóg da, żeby dziecko było zdrowe, tylko na tym nam teraz zależy. Poza tym sama wolę nie wiedzieć, jakiej jest płci. Dowiem się po porodzie, tak będzie fajniej.

- Tak, chyba mogę to zrozumieć. Na tym polega niepewność wszechświata.

- Co takiego?

- Nic, nic - uspokaja ją Johnny. - Myślałem o czymś, co kiedyś powiedział mi tatko.

Nagle Gina przestaje się uśmiechać, zrywa się ze stołka i wkłada kurtkę.

- Co jest? Obraziłaś się, czy co?

- Nie, nie chodzi o ciebie. - Gina pociąga nosem i bierze głęboki oddech. - Po prostu dzisiaj rano rozmyślałam o tatusiu, nic więcej. - Jej oczy lśnią od łez. - Szkoda, że nie będzie go tutaj z nami i nie zobaczy mojego dziecka.

Johnny jedną ręką podnosi pudło, a drugą otacza ramiona siostry, po czym oboje idą do drzwi.

- Hej, nie martw się tym - pocieszają. - Tatusiu będzie na miejscu, kiedy przyjdzie czas.

- Jak to?

- Mam taką teorię - zaczyna Johnny. - Moim zdaniem po śmierci ludzie kręcą się po okolicy, żeby troszczyć się o tych, z którymi byli blisko. Nie widzimy ich ani nie słyszymy, ale i tak tutaj są.

- Naprawdę w to wierzysz?

- Na sto procent.

Gina staje i, przejęta, rozgląda się dookoła.

- Ale chyba nie zamierzasz sprzedać sklepu, prawda?

- Na razie nie mam jeszcze żadnych zamiarów - oświadcza Johnny. - Zwyczajnie biorę pod uwagę wszystkie możliwości.

- To miejsce jest tak ściśle związane z nami. Chcę, żeby nadal było nasze, kiedy moje dzieci dorosną. Wszyscy tego pragniemy.

- Bez obaw, nikogo nie zawiodę.

Gina uśmiecha się i całuje go w policzek. Johnny odprowadza ją do samochodu, wkłada pudło do bagażnika i patrzy, jak siostra odjeżdża. Po chwili wraca i staje pośrodku sklepu.

- Hej, uaglio! - woła, zadzierając do góry głowę.

- Zwracasz uwagę na to, co się tutaj wyprawia? Milknie, jakby naprawdę oczekiwał jakiejś odpowiedzi. Ponieważ jednak nic się nie dzieje, tylko kręci głowę, idzie do

pomieszczenia na zapleczu i wyrzuca do śmietnika wszystkie ulotki Amerykańskich Sklepów Żelaznych.

ROZDZIAŁ trzydziesty dziewiąty

Wiecie, Ned Featherstone i jego pomagier Lester mieli słuszość pod jednym względem. Kiedy okazja puka do waszych drzwi, naprawdę trzeba ją powitać z otwartymi ramionami. Z tego, co widzę, w życiu bardzo niewiele jest dziełem przypadku. Pewne moce skrycie nam sprzyjają, podrzucając takie czy inne wskazówki. Rzecz jasna, nie mogą powiedzieć nam wprost, co powinniśmy zrobić, bo gdzie wówczas podziałaby się radość życia? Jedyny problem polega na tym, że na ogół jesteśmy za mało spostrzegawczy, żeby zauważyć te drobiazgi, więc dzień za dniem bładzimy po omacku. Gdy jednak naprawdę nadarza się szansa na istotną zmianę, a my wreszcie ją dostrzegamy, trzeba działać. Tak jest ze wszystkim, nie tylko z pieniędzmi i interesami, ale także z życiem i z miłością.

W następną sobotę rano na progu naszego domu pojawia się taka okazja w postaci codziennej gazety. Słońce ledwie wychyla się zza horyzontu, kiedy Johnny schodzi na parter i otwiera drzwi wejściowe, żeby ją podnieść. Ptaki ćwierkają i na niebie nie ma ani jednej chmury. Zapowiada się piękny dzień, ale dla Johnny'ego to bez znaczenia, bo do wieczora będzie tkwił w sklepie. Dobrodziejstwo inwentarza, sami rozumiecie. No więc ziewa i wraca do środka, żeby zaparzyć sobie kawy.

Chwilę później, z kubkiem w dłoni, siada przy kuchennym stole i rozkłada gazetę. Zazwyczaj pobieżnie przegląda pierwszą stronę, żeby być na bieżąco ze wszystkimi katastrofami, a potem skupia uwagę na rubrykach sportowych. Akurat tego poranka coś go jednak skłania do zerknięcia na strony o kulturze. Otwiera gazetę w odpowiednim miejscu i od niechcienia zapoznaje się z weekendowymi wydarzeniami w mieście, bo chce wiedzieć, co traci. W naszych okolicach kwiecień nie jest najbardziej atrakcyjnym miesiącem roku,

więc niewiele imprez budzi zainteresowanie Johnny'ego. Już ma sobie dać spokój z kulturą i wrócić do sportu, kiedy nieoczekiwanie pewna drobna wzmianka przyciąga jego uwagę. Chodzi o spotkanie z pisarką, które odbędzie się dzisiejszego popołudnia w księgarni uniwersyteckiej przy Thayer Street w East Side. Jak myślicie, kto jest tą pisarką? Jasne, to Emily, ulubiona poetka Johnny'ego. Chyba pamiętacie Emily, prawda? Wygląda na to, że jej najnowszy tomik jest w końcu gotowy i ma trafić na półki, więc uniwersytet postanowił zorganizować huczną premierę.

Johnny odkłada gazetę i wbija wzrok w przestrzeń. Nie trzeba być jasnowidzem, aby się domyślić, że mój syn nie jest ani trochę zainteresowany kupnem tomiku poezji. Trudno nawet powiedzieć, kiedy ostatni raz przekroczył próg księgarni. Ciekawi go coś zupełnie innego: kto przybędzie na to wielkie wydarzenie. Wiecie, o kogo mu chodzi - o literatów, wielbicieli poezji, a w szczególności o wykładowców literatury porównawczej. Nadażacie za mną?

Johnny przypomina sobie również, że przecież dawno temu złożył Emily pewną obietnicę. Zobowiązał się wtedy, że przyjdzie na spotkanie autorskie, kiedy wiosną książka ukaże się na rynku. Mówimy o rozmowie, która odbyła się jesienią. Johnny zaczyna się zastanawiać, czy stałoby się coś złego, gdyby tego popołudnia zajrzał do księgarni, choćby po to, żeby przywitać się ze starymi znajomymi. Po chwili słyszy, jak jego matka kręci się na górze, i wówczas wraca mu zdrowy rozsądek.

- Daj sobie z tym spokój - mamrocze pod nosem i wypija resztkę kawy, a następnie wędruje do siebie, żeby się wyszykować do pracy.

I tak oto Johnny przez cały ranek w sklepie usiłuje dać sobie z tym spokój, tak jak sobie przykazał. Jedyne problem w tym, że „to” nie chce dać spokoju jemu. Pomysł wyprawy do

księgarni na spotkanie autorskie brzęczy w jego głowie niczym natrętna mucha. Im intensywniej usiłuje przepędzić tę myśl, z tym większą mocą ona powraca, żeby dalej go gnębić. Na domiar złego tego dnia w sklepie jest pustawo, więc Johnny nie ma się na czym skupić.

W porze lunchu drzwi się otwierają i do środka wchodzi Vinny.

- Siema, Johnny C! - wita go jowialnie i zmierza prosto do lady.

- A już myślałem, że dzisiaj nic gorszego mnie nie spotka - jęczy Johnny.

- Johnny, co ci leży na wątrobie? Powiedz staremu kumpłowi.

- Ech, to zwyczajnie jeden z takich dni. Vinny zatrzymuje się i przez chwilę patrzy na przyjaciela.

- Wiesz co, stary, coś ci powiem - zaczyna ze śmiertelną powagą. Tylko kilka razy w życiu widziałem, żeby się tak zachowywał. - Będziesz ich miał znacznie więcej, jeśli nie zaczniesz częściej ruszać tyłka ze sklepu.

- O czym ty gadasz?

Vinny wchodzi za ladę i pakuje się na taboret, po czym opiera nogi na kontuarze.

- Powiem ci jedno - oświadczam, dla większego efektu podnosząc palec w górę. - Wiem, że od pewnego czasu interes idzie świetnie, ale zapominasz o normalnym życiu. Tkwisz w sklepie przez siedem dni w tygodniu i tyrasz jak wół. Ilekroć cię widzę, zawsze wyglądasz, jakbyś miał na twarzy maskę, a to dlatego, że jesteś wypompowany. Wypaliłeś się i masz doła. I nie patrz tak na mnie, bo wiem, że mam rację.

Johnny stoi nieruchomo i spogląda na przyjaciela groźnym wzrokiem. Po chwili jednak nie wytrzymuje i wybucha śmiechem.

- Nie żartuję - mówi Vinny. - Sprawa jest poważna.

- Więc niby co mam zrobić, twoim zdaniem, panie Chodząca Powaga?

- Masz się stąd wynieść. Idź gdzieś, wystaw twarz do słońca. Zajmij się czymś przez parę godzin.

- Tak, już pędzę - śmieje się Johnny. - Zamykam sklep na cztery spusty i idę do parku.

- Nic z tych rzeczy - mówi Vinny z chytrą miną. - Wcale nie musisz zamykać sklepu. Zostanę na posterunku, kiedy pójdziesz, i dopilnuję interesu.

- Litości. Nie stać mnie na to, żeby zatrudniać cię do pilnowania sklepu.

- Johnny, odpręż się, dziś pilnuję za friko. I nic nie zwinę, słowo harcerza. A teraz zafunduj sobie długi lunch i nie wracaj, póki nie przewietrzysz sobie mózgu. Poza tym dzisiaj wieczorem idziesz z chłopakami, bez gadania. Capisc'?

Johnny przez moment tylko drapie się po głowie.

- Jak się nad tym zastanowić, to dziś po południu mam pewną sprawę do załatwienia - przyznaje w końcu. - To by się dobrze składało.

- Więc korzystaj z okazji - radzi mu Vinny. - Ruszaj, póki możesz, bo w najbliższym czasie następna pewnie ci się nie przytrafi.

I tak oto Johnny korzysta ze sposobności. Wskakuje do samochodu i pędzi prosto do East Side, a potem jedzie Thayer Street i 'wypatruje miejsca parkingowego blisko księgarni, lecz wszystkie są pozajmowane. Po obu stronach jednokierunkowej ulicy stoją samochody, a na chodnikach roi się od przechodniów. Tak tutaj wygląda typowe, sobotnie popołudnie. Johnny zatacza koło i ponownie mija księgarnię, licząc na to, że ktoś odjechał. Ponieważ znowu nic nie znajduje, ostatecznie daje za wygraną i skręca w boczną uliczkę. Dopiero kilka przecznic dalej w końcu natrafia na wolne miejsce.

Gdy wreszcie wchodzi do księgarni, okazuje się, że w środku panuje niebywały ścisk. Jak już wspomniałem, mój syn od pewnego czasu nie pojawiał się w takich miejscach, więc nieruchomieje, wodzi wzrokiem dookoła i usiłuje zorientować się w sytuacji. Pośrodku księgarni stoi kolejka, ciągnąca się do stołu, przy którym siedzi Emily Wokół niej piętrzą się stosy egzemplarzy jej nowej książki, przypominające miniaturowe drapacze chmur. Za plecami Emily stoi młoda dziewczyna, uzbrojona w wielkie nożyczki, i szykuje się do rozpakowania następnego pudła. Emily uśmiecha się na lewo i prawo, i ma powody, bo ludzie z kolejki nieustannie podsuwają jej książki do podpisania. Moim zdaniem właśnie w taki sposób poeci zyskują na wartości, rozumiecie, o co mi chodzi.

Johnny nie zamierza jednak sterczeć w kolejce jak jakiś palant, postanawia więc przejść się po księgarni i rozejrzeć między półkami w oczekiwaniu, aż tłum się przerzedzi. Pierwszy przystanek robi sobie przy stoisku z kalendarzami i nie ma w tym nic dziwnego, bo niby od czego miałyby zacząć mój syn? Jest kwiecień, wszystkie kalendarze są przecenione, ale ku rozczarowaniu Johnny'ego nie ma ani jednego z panienkami w bikini. Zamiast na roznegliżowane dziewczyny, natrafia na dzieła wielkich mistrzów: Moneta, Renoira i innych delikwentów. Johnny gmera w stercie i w końcu wynajduje kalendarz z fotografiami pustyni, pełnymi węży oraz krowich czaszek. Podnosi go wysoko, przerzuca kartki i kręci głową. Zdjęcia nie zrobiły na nim wrażenia, więc ciska kalendarz z powrotem na stertę, przy okazji strącając kilkanaście innych na podłogę.

Kryjówka Johnny'ego jest spalona, bo teraz niemal wszyscy w księgarni spoglądają w jego stronę, żeby sprawdzić, kto jest sprawcą tego zamieszania. Mój syn z rumieńcem na twarzy klęka, aby posprzątać bałagan, którego narobił. Gramoli się z opuszczoną głową i zbiera kalendarze,

więc w pierwszej chwili nie zauważa młodej kobiety, która kuca tuż obok niego i usiłuje pomóc.

- Często tutaj przychodzisz? - pyta go dziewczyna.

Johnny zamiera i podnosi wzrok, bo z miejsca rozpoznaje ten głos. Vicki pomaga mu zrobić porządek i uśmiecha się od ucha do ucha, podając mojemu synowi kalendarz ze zdjęciami węży i krowich czaszek, który stał się przyczyną problemu.

- Postanowiłeś się zainteresować sztuką Południowego Zachodu? - pyta, cały czas z kalendarzem w dłoni.

- Skąd. - Johnny usiłuje mówić możliwie nonszalanckim tonem. - Martwe bydło, to nie dla mnie.

- Dla mnie też nie - śmieje się Vicki.

Przez chwilę oboje milczą, klęcząc na podłodze, jedno obok drugiego, jakby szykowali się do złożenia ślubnej przysięgi. Wierzcie mi, między nimi nadal iskrzy, co potwierdzi każdy, kto ma oczy. Wreszcie Johnny wyciąga rękę do Vicki i oboje wstają.

- Nie sądziłam, że cię tutaj spotkam - mówi w końcu Vicki. - Zaskoczyłeś mnie, ale to przyjemna niespodzianka.

- No tak. - Johnny wzrusza ramionami. - Tak jakby obiecałem Emily kiedyś dawno, że przyjdę, więc...

- Więc jesteś.

- Właśnie. Ale powiem ci, parkowanie przy Thayer Street to dzisiaj mordega.

Vicki uśmiecha się do niego szelmowsko.

- Trzeba kogoś znać - mówi, starając się jak najlepiej naśladować ton jego głosu.

Mój syn jednak okazuje się niezbyt lotny.

- Hm? - chrząka.

Vicki teatralnie wzrusza ramionami i skubie kącik ust.

- Znam gościa z działką w śródmieściu, który pozwala mi parkować za friko - recytuje. - Oczywiście, kopsam gościowi parę dolców za pilnowanie wozu, ale warto.

- Kto z kim przestaje, takim się staje - śmieje się Johnny i przypatruje się jej uważnie. - Co właściwie zrobiłaś z włosami? Są jakieś takie krótkie.

- Prawdę mówiąc, właśnie zapuszczam je na nowo. - Vicki przyczesuje włosy palcami. - Szkoda, że nie widziałeś, jakie krótkie były zimą.

- Nie zrozum mnie źle - dodaje Johnny pośpiesznie. - Nadal wyglądają dobrze. Właściwie wyglądasz świetnie.

- Dziękuję - odpowiada cicho Vicki. - Ty również nieźle się trzymasz. Wiesz, widziałam cię w telewizji. Twoja reklama jest urocza.

- Fakt, dobrze się sprawdziła. Ale co u ciebie, jak sobie radzisz?

- W porządku. Zbliża się koniec semestru, więc w pracy mam urwanie głowy.

- Jak tam sprawa etatu?

Vicki się wzdyga i wznosi oczy ku niebu.

- Boję się o tym myśleć - przyznaje. - Ale mam nadzieję, mocno wierzę...

- Hej, niech twój Horace zrobi coś dla ciebie - Johnny uśmiecha się porozumiewawczo. - Przecież chcemy tutaj zatrzymać wszystkich dobrych profesorów.

- Staram się, jak mogę. A propos, Horace jest na drugim końcu księgarni. Muszę porozmawiać z nim przez kilka minut. Zostaniesz tutaj jeszcze trochę?

- Och, pewnie. Idź śmiało, a ja ustawię się w kolejce po autograf Emily. Nigdzie się nie wybieram.

- Świetnie.

Vicki powoli odchodzi.

- Hej, Vicki! - woła za nią Johnny.

- Tak?

Mój syn pociera kark.

- Wiesz - zaczyna niepewnie. - Tak się zastanawiałem, czy może później, jak nie będziesz zajęta, to bo ja wiem, poszlibyśmy gdzieś razem, czy coś. Może na kawę?

Vicki posyła mu promienny uśmiech.

- Pewnie. Kawa to świetny pomysł. Odchodzi porozmawiać z Horace'em, a Johnny idzie spotkać się z Emily i wygląda na to, że już niedługo z tej mąki będzie chleb. Na pewno rozumiecie, co mam na myśli.

ROZDZIAŁ czterdziesty

Czytaliście kiedyś rubrykę astrologiczną w gazecie? Co jakiś czas zapowiadają w niej, że tego dnia stanie się mnóstwo dziwnych rzeczy, bo planety i gwiazdy ustawione są w linii, albo Wenus jest w koniunkcji z Marsem, albo Saturn wschodzi w konstelacji Skorpiona, albo Pluton pozostaje w opozycji do Tobogana. Wygląda na to, że w tę konkretną sobotę poustawiały się w jednej linii nie tylko Ziemia, Księżyc i Słońce, ale także wszystkie inne planety i razem wskazują East Side w Providence. Najwyraźniej trafiło się nam miasto koniunkcyjne. Innymi słowy, to pewne, że lada chwila dojdzie do silnego zaburzenia Mocy.

Teresa i dziewczyny właśnie wychodzą z restauracji, prosto na jaskrawe słońce. Dzień jest fantastyczny, co już nadmieniłem wcześniej: ciepły, nieco wietrzny i przyjemny, jak na kwiecień przystało.

Wszystkie cztery idą na spacer wzdłuż Thayer Street, i bezustannie gadają w drodze do sklepu Jeana Pierre'a, gdzie chcą kupić ubranka dla dziecka Giny.

- Rozmawiałaś już z Jimmym o imionach? - pyta Maria.

- Niespecjalnie - przyznaje Gina.

- Nie czekajcie zbyt długo - ostrzega ją Nina. - Dziecko urodzi się lada moment, a wy nie będziecie wiedzieli, jakie imię wymyślić.

- Absurd - sprzeciwia się Teresa. - Nie miałam imienia dla żadnego z was, dopóki nie wzięłam was na ręce. Wystarczy pierwszy raz spojrzeć na niemowlę i imię samo przychodzi do głowy.

- Daj spokój - mówi Maria. - Chcesz powiedzieć, że tatko nie miał nic do powiedzenia w sprawie imion, kiedy się urodziliśmy?

- Hej, to ja musiałam odwalić całą robotę ze sprowadzeniem was na świat. Wasz ojciec musiał tylko

siedzieć w poczekalni i rozdawać cygara. Kiedy w końcu wszedł do środka, powiedziałam mu, jak ma dać wam na imię, a on zrobił, co mu kazałam.

W tym momencie wszystkie cztery wybuchają śmiechem. Gina jednak zatrzymuje się nieoczekiwanie i kładzie dłoń na brzuchu.

- Och, ten był mocny - oświadcza z uśmiechem.

- Dziecko cię kopnęło? - domyśla się Maria.

- Prawdę mówiąc, poczułam się tak, jakby przerobił mi klatkę piersiową na huśtawkę.

- Dlaczego powiedziałaś „przerobił”, a nie „przerobiło”? - wypytuje Nina z entuzjazmem. - Myślisz, że to chłopiec?

- Na pewno, skoro tak we mnie skacze.

- Nie bądź tego taka pewna - uprzedza ją Teresa. - Maria kopała mnie codziennie przez prawie całą ciążę. Byłam absolutnie pewna, że noszę chłopca, więc kazałam waszemu ojcu pomalować pokój dziecięcy na niebiesko.

- Biedny tatko.

I tak sobie idą powoli w kierunku sklepu Jeana Pierre'a, co pewien czas przystając, żeby popatrzeć na wystawy. Wkrótce docierają w okolice księgarni, zatrzymują się przy przejściu dla pieszych i czekają na zmianę światła.

- Co tam się dzieje? - pyta Gina i ruchem głowy wskazuje księgarnię.

- Bo ja wiem? - odpowiada Maria i zerka przez ramię na jednostajny strumień ludzi, wchodzących do środka i wychodzących na zewnątrz. - W środku jest potworny ścisk.

Teresa zauważa mały plakat na drzwiach wejściowych. Widnieje na nim informacja o tym, że w środku trwa spotkanie z autorką, która dzisiaj rozdaje autografy. Na plakacie zamieszczono również zdjęcie Emily wraz z komplementami wygłoszonymi pod jej adresem przez innych poetów. Teresa szeroko otwiera oczy i podchodzi bliżej, żeby

lepiej się przyjrzeć. Nagle cała się spina i niemal widać, jak jeżą się jej włosy na karku. Przypomina teraz wielką, gotową do ataku kocicę.

- Chodź, mammo! - popędzają Maria. - Światło się zmieniło.

- Idźcie przodem, dziewczyny! - woła za nimi. - Chciałabym zatrzymać się tu na sekundę.

- Ale po co?

- Chcę sprawdzić, czy mają jakieś pocztówki z życzeniami szybkiego powrotu do zdrowia.

- A kto choruje? - dziwi się Nina.

- Nie twoja sprawa! - warczy Teresa. - Idźcie już, spotkamy się na miejscu.

Dziewczyny dobrze wiedzą, że jeśli matka odzywa się do nich takim tonem, dyskusja jest bezcelowa, dlatego wszystkie trzy posłusznie przechodzą przez ulicę. Tymczasem Teresa podchodzi do wystawy księgarni, nachyla się i z uwagą zagląda do środka. Emily ciągle siedzi przy stole i z zadowoleniem podpisuje jedną książkę za drugą. Ustawiła się do niej całkiem spora kolejka łowców autografów, a po księgarni kręci się mnóstwo ludzi. Teresa stoi przez moment bez ruchu, aż nagle jej wzrok przypadkiem pada na młodego mężczyznę w głębi pomieszczenia. Jest tak zdumiona, że nie może się powstrzymać i stuka w szybę.

- Johnny! - krzyczy.

ROZDZIAŁ czterdziesty pierwszy

Pamiętam, jak kiedyś oglądałem w telewizji program o narodzinach i dzieciństwie. To było interesujące. Naukowcy odkryli, że już w pierwszych chwilach świadomego życia w łonie głos matki wywołuje emocjonalne i fizjologiczne reakcje dziecka. To po prostu niesamowite - na przykład serce płodu mocno przyśpiesza, gdy matka zaczyna mówić, a do tego dziecko robi się dużo bardziej aktywne. Noworodki natychmiast zaczynają się ślinić na dźwięk głosu matki, jakby spodziewały się posiłku. Nawet w późniejszym życiu potrafi on dać dziecku poczucie radości, zadowolenia i bezpieczeństwa. Cudowne, prawda? Cóż, głos matki może też działać całkiem inaczej, i teraz fizjologiczne oraz emocjonalne reakcje Johnny'ego należałoby mierzyć po przeciwnej stronie skali. Na przykład w tej chwili popada w mrozące krew w żyłach otepienie, jakby dotknął przewodu pod napięciem. Jest w tym coś znajomego, coś, co dociera do najbardziej zakurzonych zakątków jego pamięci, i nagle Johnny uświadamia sobie, że to panika, identyczna jak w trakcie koszmaru o dinozaurze. Teraz, kiedy Johnny odwraca się w kierunku źródła głosu i na nie patrzy, nie widzi słodkiej twarzy mamy Teresy, tylko pysk tyranozaura!

Johnny zamiera. Najchętniej by uciekł, ale nie ma się gdzie schować. Chce nakryć głowę kołdrą, ale doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że bezpieczne łóżko znajduje się bardzo daleko stąd. Koszmar, którego tak się obawiał, w końcu się ziszcza. Chłopak staje jak wryty i trzęsie się jak galareta, kiedy patrzy, jak jego matka rusza do drzwi wejściowych księgarni. Johnny wie, że lada chwila tyranozaur wsadzi łeb przez okno i pożre go w całości.

- Wróciłam! - Nagle wyrasta za nim Vicki. - Hej! - protestuje, kiedy Johnny chwyta ją za ramię i ciągnie za regały z książkami. - Co ty wyprawiasz?

- Ciiii! - szepcze Johnny. - Przepraszam, ale musisz stąd uciekać, i to w tej chwili.

- Uciekać? Dlaczego?

- Bo zaraz przyjdzie moja matka, jest przed drzwiami.

- Twoja matka? Co ona tu robi, na litość boską?

Johnny ukrywa twarz w dłoniach.

- Kompletnie zapomniałem, że ten zakichany sklep z ubrankami jest na tej samej ulicy, co księgarnia. Matka i siostry dzisiaj się tu wybierały.

- O mój Boże! - truchleje Vicki. - Co teraz?

Johnny zerka nad książkami ustawionymi na jednej ze środkowych półek i widzi, że jego matka właśnie wchodzi do księgarni.

- Sam nie wiem - mówi w końcu. - Najlepiej znajdź jakieś drzwi z tyłu i uciekaj, jeśli ci życie miłe. Ja coś wymyślę, a spotkamy się później.

Vicki decyduje się zaryzykować i spojrzeć na drzwi wejściowe, a potem odwraca się do niego ze zdumionym wyrazem twarzy.

- Czy twoja matka to kobieta, która teraz stoi w drzwiach?

- pyta.

- To ona. Schowaj się.

- Johnny...

- Nic nie mów, po prostu zabieraj się stąd.

- Johnny, nie rozumiesz...

- Uciekaj!

Johnny odsuwa się od niej i idzie do drzwi wejściowych na spotkanie z matką. Przez całą drogę zastanawia się, czy Teresa widziała Vicki, i, co ważniejsze, czy widziała ich oboje razem. Przygotowuje się na jedną z tych możliwości albo na obie, gdy z wymuszonym uśmiechem podchodzi do Teresy.

- Co ty tu robisz, mamó? - Od razu przechodzi do ataku.

- Co ja tu robię? - Teresa patrzy na niego podejrzliwie.

- Ja przyszedłem przejrzeć książki o komputerach - kłamie Johnny. - Wiesz, sprawdzić, czy któreś nadają się do sprzedaży w sklepie.

- No to lepiej stąd wyjdź, Johnny - mówi Teresa tym swoim złowieszczym głosem. - Zaraz będą kłopoty.

- Kłopoty? O czym ty mówisz? - pyta Johnny, udając zaskoczenie.

Teresa odciąga go na bok.

- To ona - warczy cicho i rusza ku centralnej części sklepu.

Johnny czuje okropny ucisk w żołądku. Oto przyszedł moment, którego tak się obawiał. Ma wrażenie, że tyranozaur już dyszy nad jego karkiem.

- Kto? - Z trudem przełyka ślinę i robi, co może, żeby spowolnić matkę. - Jaka ona?

- Ta putanna, którą wtedy widziałam z twoim ojcem, we własnej osobie. Jest tutaj, w tej księgarni!

Mimo wysiłków Johnny'ego, Teresa wyrywa do przodu, w stronę ludzi, którzy ustawili się w kolejce do Emily. Johnny ogląda się przez ramię. Emily nadal siedzi za stołem, uśmiecha się i podpisuje książkę za książką, podczas gdy towarzysząca jej dziewczyna otwiera nożyczkami kolejne pudło. Wyjmuje z niego stos książek i kładzie go na blacie, a obok nożyczki. Johnny zerka na nie i przenosi spojrzenie na tył sklepu, jednak nigdzie nie widać Vicki. Kiedy znowu patrzy na matkę, dostrzega jej dzikie, niebezpieczne spojrzenie. Sam je widziałem w oczach mojej żony przy więcej niż jednej okazji i za każdym razem wzbudzało we mnie potworny strach.

- Z drogi, Johnny - mówi Teresa cichym głosem.

Johnny wyciąga ręce i chwyta ją za ramiona. W tej chwili Teresa przypomina bardzo mocno zwiniętą sprężynę, gotową się rozwinąć. Johnny czuje napięcie w jej ciele.

- Mamo, nie rób żadnych głupot. Tu jest mnóstwo ludzi, postaraj się opanować.

- Masz rację - mówi Teresa ku jego zdumieniu. Nagle się odpręża i spływa na nią lodowaty spokój. - Poczekam w kolejce, jak wszyscy inni - dodaje nieobecny głosem.

- To dobry pomysł, mamo. Poczekaj tu chwilę, a ja tylko coś sprawdzę.

Johnny zostawia Teresę i przepycha się przez tłum na tyły księgarni. Biega dookoła, modląc się, żeby za jednym z regałów nie natknąć się na skuloną Vicki. Wygląda na to, że jakoś udało się jej wydostać, więc, nieco uspokojony, wraca do Teresy. Teraz w kolejce do Emily stoją przed nią tylko dwie osoby.

- Może już pójdziemy, mamo, i o wszystkim mi opowiesz? - proponuje Johnny. - Muszę już wracać do sklepu.

- Wracaj - odpowiada Teresa z tym lodowatym spokojem.
- Ja też zaraz idę.

Johnny raz jeszcze rozgląda się po księgarni, by się upewnić, że Vicki na pewno zniknęła. Ku jego uldze, nigdzie jej nie ma. Odwraca się i wygląda na ulicę, ale nie widzi jej także na chodniku, więc dochodzi do wniosku, że pewnie zmyła się do domu. Po ulicy chodzą studenci i wyglądają tak, jakby nie mieli żadnych problemów. Przez jedną krótką chwilę Johnny myśli sobie, że chciałby być tam razem z nimi. Nie zauważa, że Teresa w końcu stanęła przed Emily jednak powoli dźwięk głosu matki przywołuje go do rzeczywistości. Słyszy, jak Teresa mówi do Emily coś o tym, żeby zadedykowała książkę Teresie Catini. Nagłe zamieszanie ostatecznie wyrywa Johnny'ego z otępienia.

- O Boże, ona ma nożyczki! - wrzeszczy ktoś. Johnny obraca się w samą porę, żeby zobaczyć,

jak Teresa z nożyczkami w uniesionej ręce pochyla się nad Emily. Emily tylko patrzy na nią z bezradnym przerażeniem,

całkiem sparaliżowana. Johnny też tylko spogląda na matkę, zastanawiając się, co do diabła ona wyprawia. Dopiero kiedy ręka Teresy opada niczym gilotyna na zdjętą strachem poetkę, do Johnny'ego dociera, że jego matka zapewne próbuje zabić Emily.

- Putanna! - krzyczy Teresa, a nożyczki tną powietrze.

Słysząc okropny głuchy odgłos i w całej księgarni zapada cisza jak makiem zasiał. Johnny biegnie do stolika, pewien, że ujrzy Emily z nożyczkami w sercu. Okazuje się, że małeńka poetka fiknęła kozła do tyłu i teraz leży na podłodze, w całkowitym bezruchu, lecz, ku zdumieniu Johnny'ego, nigdzie nie widać krwi. Po chwili przekonuje się, że nożyczki bynajmniej nie tkwią w sercu Emily, tylko w kartkach książki, którą Teresa podsunęła Emily do podpisania. Nożyczki przebiły się przez cały tomik i utknęły w blacie. W księgarni nadal panuje ogłuszająca cisza, a Teresa odwraca się z tym swoim złowróżbnym uśmiechem, który sprawia, że wszyscy mimowolnie robią krok do tyłu.

- Tak naprawdę wcale nie chciałam jej zabić.

- Wzdycha z zadowoleniem. - Chciałam tylko zobaczyć minę tej małej putanna. - Pociera rękę.

- Teraz jej wybaczam - oznajmia z satysfakcją. Johnny patrzy na matkę z niedowierzaniem.

- Czekaj no - mówi, a kącik jego ust drga, więc zaczyna go skubać. - Chcesz mi powiedzieć, że to o niej mi mówiłaś? To ją widziałas wtedy w restauracji razem z tatkiem?

- Jasne. A niby kogo?

Zanim Johnny zdąży odpowiedzieć, słyszy jęk, więc odwraca się i widzi, jak ludzie skupieni wokół Emily pomagają jej wstać.

- Będziemy po drugiej stronie ulicy - mówi Teresa, zbierając się do wyjścia. - Wpadnij, kiedy już kupisz tę swoją

komputerową książkę. A przy okazji, kto się zajmuje sklepem?

- Vinny. - Johnny uśmiecha się do niej niepewnie.

Teresa cmoka i z niezadowoleniem kręci głową. Nic jednak nie mówi, tylko rusza prosto do wyjścia, a tłum ludzi rozstępuje się przed nią z nabożnym podziwem. Gdy tylko Teresa znika za drzwiami, wszyscy zaczynają się przekrzykiwać, tylko Johnny nadal stoi w miejscu i usiłuje zebrać myśli. Po chwili patrzy na Emily, która już siedzi na swoim miejscu, popijając wodę, i wydaje się nawet bledsza niż zazwyczaj, jednak niewątpliwie żywa.

- Czekaj no - odzywa się do niej Johnny. - Chcesz mi powiedzieć, że ty i mój ojciec byliście... że wy...

Emily patrzy na niego ze smutkiem.

- Zawsze powtarzałam, że wyglądasz znajomo. - Wzrusza ramionami. Nachyla się ku Johnny'emu i dodaje szeptem: - Nie ma potrzeby wspominać o tym Vicki, prawda?

- Rhode Island. - Johnny kręci głową. - Ten stan jest naprawdę o wiele za mały.

Spogląda na stolik, gdzie nożyczki nadal tkwią w książce niczym miecz w kamieniu. Ludzie nawet nie chcą do nich podchodzić, ale Johnny spokojnie wyciąga ręce i uwalnia nożyczki, po czym je podnosi, żeby się im lepiej przyjrzeć. Ku jego zdumieniu (mojemu też) starcie ze stołem ani trochę ich nie wygięło, nie ma nawet zadrapania.

- Nieźle - mamrocze Johnny, rzucając nożyczki na blat. - Chyba zacznę sprzedawać tę markę w sklepie.

Chwilę później przechodzi przez ulicę i zjawia się w sklepie Jeana Pierre'a. Czuje się zupełnie wyczerpany, ale myśli sobie, że najgorsze już minęło, przynajmniej dzisiaj. Kiedy wchodzi do sklepu, widzi matkę i siostry zachwycające się jakimś uroczym dziecięcym ciuszkiem. Johnny już ma powiedzieć coś złośliwego, kiedy nagle zza wieszaka z

ubrankami wyłania się Vicki. Ku jego zaskoczeniu, idzie prosto do Teresy i dziewczyn i pokazuje im inne ubranko, które trzyma w dłoni.

- Już to widziałyście? - pyta.

- Cudowne! - wykrzykuje Gina, a reszta natychmiast zaczyna jej wtórować.

- Co tu się dzieje? - Johnny jest jeszcze bardziej skołowany niż przed chwilą w księgarni.

- Oglądamy sobie dziecięce ubranka - wyjaśnia Gina. - A myślałeś, że co?

W odpowiedzi Johnny bełkocze coś niezrozumiałego, a Teresa daje mu znak, żeby podszedł bliżej.

- Johnny, nie stój tutaj jak mammalucc', tylko podejdź i przedstaw się mojej znajomej z salonu fryzjerskiego.

Johnny nie rusza się z miejsca, ale gorączkowo rozgląda się po sklepie, jakby spodziewał się ujrzeć człowieka z ukrytą kamerą. Vicki odkłada ubranko, które trzymała, i wyciąga rękę do Johnny'ego.

- Cześć. - Uśmiecha się szeroko. - Mam na imię Vicki.

- Wykłada na uniwersytecie - oznajmia Teresa.

- Witaj Vicki, ja jestem Johnny. - Johnny ujmuje jej rękę w swoją. - Sprzedaję sprzęt techniczny... różnego rodzaju.

- Tak, słyszałam.

ROZDZIAŁ czterdziesty drugi

No dobrze, powiem wam, jak jest. Myślicie sobie, że czas zapisać nową kartę, zapomnieć o dawnych urazach i zacząć życie od początku. Jeśli chcecie to zrobić jak należy, najpierw wyprostujcie sprawy z Tym Najważniejszym, jasne? Kiedy już to załatwicie, reszta pójdzie jak z płatka. Na to przynajmniej liczy Johnny, kiedy stoi na schodkach plebanii i wpatruje się w dzwonek. Jest środowy wieczór, a od weekendowych wydarzeń w księgarni chodzą mu po głowie różne rzeczy. Myśli sobie, że pora coś z tym zrobić, jednak nie bardzo wie co, więc równie dobrze może zacząć właśnie od tej wizyty.

Johnny bierze głęboki oddech i potrząsa rękami, jak koszykarz szykujący się do rzutu wolnego. Nieco uspokojony, wyciąga rękę i naciska guzik. Po chwili drzwi się otwierają, a na progu staje starsza drobna kobieta o sympatycznej i spokojnej twarzy, ale przenikliwych błękitnych oczach. Ma na imię Maggie, ilekroć tu przychodziłem, natykałem się na nią. To typowa parafianka, uwielbia pomagać w plebanii, gdy tylko nadarzy się okazja.

- Dobry wieczór - mówi niezwykle opanowanym głosem.

- Witam. Przyszedłem zobaczyć się z ojcem Giuliano - wyjaśnia Johnny. - Muszę z nim porozmawiać.

Maggie kiwa głową i szerzej otwiera drzwi, żeby go wpuścić. Johnny idzie za nią przez ciemny korytarzyk do małej poczekalni, pogrążonej w posępny półmrok. Pomieszczenie jest skromnie umeblowane, znajdują się tu tylko cztery krzesła i niewielki stolik, na którym leży egzemplarz Biblii oraz najnowszy numer „Gościa z Providence”, naszej miejscowej katolickiej gazety. Wyłożone ciemną boazerią ściany są niemal nagie, wisi na nich jedynie obrazek z Chrystusem i niewielki krucyfiks nad drzwiami do sąsiedniego pomieszczenia.

W poczekalni siedzą jeszcze dwie osoby. Jedna z nich to atrakcyjna, stylowo ubrana kobieta, zapewne po trzydziestce, a druga to młody mężczyzna, mniej więcej w wieku Johnny'ego. Chociaż kobieta skromnie trzyma dłonie na kolanach, jej nogi skrzyżowane są w taki sposób, że spod sukienki wзира smukła łydka i fragment uda. Młody człowiek obok niej pociera z zadumą brodę, żeby przypadkiem nikt się nie domyślił, że gapi się na sąsiadkę. Maggie wskazuje Johnny'emu miejsce i jednocześnie gestem daje kobiecie do zrozumienia, żeby wstała.

- Ojciec panią prosi - mówi tym samym cichym głosem.

Kiedy kobieta rusza do drzwi, za którymi czeka ojciec Giuliano, Johnny nie może się powstrzymać i jego wzrok automatycznie wędruje ku jej łydkom i krągłym biodrom. Zerka na drugiego mężczyznę, który również podziwia te piękne widoki i obaj z aprobatą kiwają głowami. Drzwi za kobietą się zamykają, a Johnny siada wygodniej, podobnie jak ten drugi. Nie jest w nastroju na czytanie, więc zabija czas, gapiąc się w podłogę.

- Znam cię - odzywa się po pewnym czasie młody mężczyzna.

Johnny podnosi wzrok.

- Tak?

- Jesteś synem Nicka Catiniego, tak? Johnny?

- Zgadza się. A skąd mnie znasz?

- Widziałem cię. To ty masz ten żelaźniak, prawda?

- Tak. A ty jak się nazywasz?

- Eddie Carlone - przedstawia się mężczyzna.

- Eddie Carlone - powtarza Johnny. - Jesteś krewniakiem tego człowieka od płyt kartonowo - gipsowych?

- To mój ojciec, ja jestem Eddie Junior.

- Mały Eddie! - wykrzykuje Johnny. - Ilekroć twój ojciec przychodzi, ciągle o tobie gada.

- Zabawne, bo twój ojciec też ciągle mówił o tobie, kiedy do nas zaglądał - mówi Eddie. - Oczywiście, same miłe rzeczy - dodaje z uśmiechem.

- Taa, jasne - parska Johnny z rozbawieniem.

- Poważnie. Nasi staruszkowie znali się od wieków. Twój był naprawdę miłym facetem. Wpadał do nas za każdym razem, kiedy potrzebował biletów.

- Biletów? - powtarza Johnny. Eddie wzrusza ramionami.

- Ojciec zna w mieście parę osób, które mu podrzucają bilety na różne imprezy. Te, których nie chce dla siebie, sprzedaje. - Eddie urywa. - Właściwie to sprzedaje wszystkie. Takie ma hobby, rozumiesz, o co mi chodzi.

- Wiesz co? - śmieje się Johnny. - Przez te wszystkie lata nie miałem pojęcia, jak mój ojciec to robił.

- To nie jest coś, czym się przechwalamy, sam rozumiesz. Musimy mieć pewność, że ci, którym sprzedajemy, są... no wiesz, dyskretni. Bo widzisz, kiedy dostajemy bilety od...

- Przestań. - Johnny unosi rękę. - Nie mów mi, skąd macie bilety, nie chcę wiedzieć.

- Dobra, nie ma problemu - śmieje się Eddie.

- Twój ojciec dalej to robi?

- I tak, i nie. Prawdę mówiąc, niedługo chce przejść na emeryturę, więc w pewnym sensie wskakuję w jego buty. Można powiedzieć, że przejmuję rodzinny interes. Bo wiesz, w sumie tylko to się liczy.

- Pewnie. - Johnny kiwa głową.

Eddie sięga do kieszeni kurtki i wyciąga z niej długopis i świstek papieru. Pisze coś na nim i wręcza go Johnny'emu.

- Masz, to mój numer. Jeśli będziesz kiedyś potrzebował biletów, po prostu zadzwoń, coś wymyślę.

- Dzięki. Będę o tym pamiętał. - Johnny składa papier i wsuwa do kieszeni.

Eddie krzyżuje ręce na piersi.

- Co cię sprowadza do tego pokoju cierpień? - pyta.
- Do czego?
- Chyba niezbyt często tu przychodzisz, co? - Eddie uśmiecha się do niego.
- Pierwszy raz. Dlaczego nazywasz to pokojem cierpień?
- Nie ja, tylko ojciec G tak to nazywa. Ludzie przychodzą tu i mówią mi, co im chodzi po głowie, co ich gnębi, co jest nie tak w ich życiu, a on stara się ich naprawić. Mówisz o tym i tamtym, i całą resztę, a on próbuje namówić cię, żebyś przestał robić to, co cię rani, i podzielił się z nim swoim bólem. To coś jak spowiedź, tyle że bez konfesjonału.
- Nie byłem u spowiedzi od stu lat.
- Więc co cię tu sprowadza?
- Sam nie wiem - wzdycha Johnny. - Od śmierci mojego ojca wydarzyło się dużo rozmaitych rzeczy, więc pomyślałem, że warto pogadać z księdzem, zanim sytuacja wymknie się spod kontroli. A ty? Z czym tutaj przychodzisz?
- W sumie z tym samym co ty. Co jakiś czas zaglądam tu, żeby spotkać się z padre. Gawędzimy przez moment, opowiadam mu, co jest grane, on usiłuje skierować mnie na prostą drogę i każe zmówić kilka modlitw. Na koniec daję mu parę dolców, żeby zmówił modlitwę lub dwie w mojej intencji, i wychodzę. Ja się czuję lepiej, on się czuje lepiej. A potem stara śpiewka, natychmiast wpierniczam się w te same kłopoty, co wcześniej. Mija kilka tygodni i znowu ląduję w pokoju cierpień.
- W sumie to nudne.
- W sumie tak, jak się dobrze zastanowić - potakuje Eddie. - Więc się nie zastanawiam. Poza tym, wszyscy nie możemy być świętymi, nie? Kurczę, Bóg nie miałby żadnej frajdy, jakby po ziemi chodzili sami święci. I pomyśl jeszcze o księżach, takich jak ojciec G. Jakby nie było grzeszników,

takich jak ty albo ja, to księża trafiliby na bruk i szukali roboty, jak my wszyscy.

- Nigdy o tym nie myślałem w taki sposób - śmieje się Johnny.

W tej samej chwili otwierają się drzwi do pokoju cierpień i ze środka wychodzi elegancko ubrana kobieta. Odwraca wzrok, żeby nie patrzeć na Johnny'ego i Eddiego, przystaje na moment i ze skrepowaniem obciąga przekrzywioną spódnicę oraz bluzkę, a następnie pośpiesznie wychodzi. Eddie spogląda na Johnny'ego i unosi brwi.

- Daje do myślenia, co?

Maggie wraca do pokoju.

- Ojciec czeka na pana - zwraca się do Eddiego, który wstaje i kiwa głową Johnny'emu.

- Do rychłego - mówi. - Muszę iść pogadać.

Johnny zostaje sam, więc poprawia się na krześle i spogląda na obrazek z Jezusem na przeciwległej ścianie. To ta sama twarz, którą zawsze widujecie, ta, która wpatruje się w was niepokojącymi, udreńczonymi oczami. Ich spojrzenie sprawia, że za każdym razem przebiegają wam ciarki po plecach. Johnny wie, że ten wzrok będzie podążał za nim niezależnie od miejsca, które zajmie, dlatego próbuje patrzeć na podłogę. Mimo to nie udaje mu się powstrzymać i mimowolnie zerka do góry. W końcu wzdycha z rezygnacją, wstaje, idzie na drugą stronę pokoju i nieruchomieje przed obrazkiem.

- I co myślisz? - zwraca się do portretu. - Powinienem powiedzieć księdzu wszystko, czy raczej trzymać gębę na kłódkę? A może inaczej: powiem mu to, co moim zdaniem powinien wiedzieć, a reszta zostanie między Tobą a mną, dobra? W ten sposób z czasem wszystko razem poukładamy. Umowa stoi?

Rzecz jasna, nie pada żadna odpowiedź, więc Johnny wraca na krzesło. Siada, znowu wyciąga nogi, drapie się po brodzie i usiłuje zdecydować, jaką częścią cierpienia naprawdę chce się podzielić z księdzem.

Tego samego wieczoru Johnny dołącza do Vinny'ego, Ala i Tony'ego przy barze Haven Brothers. Na zaśmieconym chodniku stoi kolejka ludzi, którzy chcą dotrzeć do okna i zamówić efki. Sally zakutana w te same łachmany co zawsze, włączy się w pobliżu i podnosi papiery oraz kubki. Za rogiem motocykliści siedzą na swoich maszynach i pałaszują, nie zwracając uwagi na mijające ich samochody, z których dobiega głośny łomot. Johnny wraz z resztą brygady siedzi na schodach ratusza, delektując się efkami oraz arizonami. Wszyscy rozmawiają i śmieją się, tylko Tony siedzi cicho.

- Co z tobą dzisiaj? - pyta go Johnny. - Jesteś smętny, odkąd przyjechałem.

- Nie zwracaj na niego uwagi - odzywa się Al.

- Wkurza się, bo nie ma jak skołować biletów na imprezę.

- Jaką imprezę?

- Występ Tony'ego Bennetta - rechoce Vinny - Dasz wiarę?

- Hej, co ci się nie podoba w Tonym Bennecie? - burczy Tony.

- Tak się składa, że nie lubię muzyki z epoki lodowcowej, i tyle - wyjaśnia Vinny.

- Ech, co ty tam wiesz. - Tony macha ręką.

- Kiedy występuje? - chce wiedzieć Johnny.

- W sobotę wieczorem - wyjaśnia Tony ponuro. - Wszystkie najlepsze miejsca są już dawno wykupione.

Johnny przez chwilę pociera brodę.

- Wiesz, może znam kogoś, kto umiałby znaleźć ci dobre miejscówki.

- Poważnie? - Tony nagle się rozpromienia.

- No, tak mi się wydaje. Niczego nie gwarantuję, ale zobaczę, co się da zrobić.

Tony wyciąga rękę i przybija z Johnnym piątkę.

- Super ziom z ciebie, J.C. - mówi. - Nie mam pytań.

Johnny tylko się uśmiecha i patrzy na księżyc, który oświetla go jak punktowy reflektor. Wieczór jest ciepły, ale rześki. Tak wygląda idealna wiosenna noc, kiedy wiadomo, że chłody już przeminęły, a wraz z nimi odeszła najcięższa część roku. Johnny rozsiada się wygodnie i delectuje chwilą.

Później, kiedy w końcu wraca do domu i mocno zasypia we własnym pokoju, postanawiam złożyć mu krótką wizytę. Johnny otwiera oczy i widzi, że siedzę na skraju łóżka. Za moimi plecami dostrzega mojego ojca, a za nim jeszcze jednego mężczyznę, który do złudzenia przypomina Johnny'ego. Wtedy mój syn uświadamia sobie, że patrzy na swojego pradziadka. Za pradziadkiem stoi jeszcze jeden człowiek, mój pradziadek, który z wyglądu przypomina mnie. Ten schemat powtarza się w rozmaitych kombinacjach, wielokrotnie, a rząd mężczyzn ciągnie się w nieskończoność, jak lustrzany obraz odbity w innym lustrze.

- Chodź ze mną - mówię do Johnny'ego i wyciągam rękę.

- Pokażę ci, jak mogłoby być.

Scena się zmienia i Johnny widzi siebie u szczytu stołu w jadalni, przy którym zasiadają wszyscy, cała rodzina, łącznie z Vicki. Wokoło biegają radośnie dzieci, całkowicie nieznane Johnny'emu. Przy przeciwległym końcu stołu Teresa napelnia talerze makaronem, jeden po drugim, a za jej plecami wisi mój portret, z którego pilnuję zebranych. Nagle cała rodzina spogląda na Johnny'ego, jakby wszyscy czekali na jego znak.

Mój syn unosi kieliszek z winem.

- Salute - mówi po prostu. - Jedzmy.

Patrzy, jak jego bliscy z zapalem przysuwają talerze i nagle uświadamia sobie, że znowu jestem u jego boku, choć

wie, że inni mnie nie widzą. Wskazuję dłonią skromny bukiet kwiatów, zdobiący środek stołu.

- Podoba mi się znacznie więcej rzeczy niż kiedyś - wyjaśniam i podsuwam mu kwiaty. - Ty też powinieneś je doceniać.

Wtedy Johnny ponownie zamyka oczy i bierze głęboki oddech, żeby słodka woń kwiecica napełniła go optymizmem. Odpływa z powrotem w sen i jest szczęśliwy, bo w głębi serca wie, że nadeszła wiosna i wszystko będzie dobrze. Wkrótce kwiaty znowu się narodzą, świat odżyje, a jak wiecie, wszystko może się zdarzyć tam, gdzie jest życie.

Wierzcie mi na słowo.

Epilog

To właśnie, przyjaciele, chciałem wam opowiedzieć. Co, chcecie więcej? Liczycie na to, że powiązę wszystkie wątki w jedną, zgrabną całość? Mowy nie ma, takie rzeczy nie zdarzają się w życiu, tylko w filmach. Poza tym, gdyby tak się działo, nie byłoby ciekawie. Powiem wam tylko tyle, że powinniście cieszyć się tą szaloną przejażdżką, zwaną życiem. Trzymajcie się blisko ludzi, których kochacie, choćby było to możliwe tylko w myślach. Postępujcie tak, a oni zawsze będą tuż przy was.

Wiecie, może Bóg naprawdę ma jakiś swój wielki plan, a może wszystko wymyśla na bieżąco. Nie mam pojęcia. Jedno życie to za mało, żeby dowiedzieć się całej prawdy. Kto wie, może w miarę rozwoju sytuacji pozwala nam na samodzielne decyzje. Tak czy owak, to naprawdę nie ma większego znaczenia, dopóki On utrzymuje nad głową te wirujące talerze.

Pewnie, raz na jakiś czas jeden lub dwa z nich spadną i rozbiją się na kawałki, ale nic na to nie poradzimy, więc najlepiej nie zaprzętać sobie tym głowy. Dopóki macie własne życie, miłość, rodzinę i przyjaciół, wszystko będzie w porządku. Rozumiecie, o co mi chodzi?